

SARAH DUNN

Przystanek Szczęście



Dla Petera

Szczęśliwe małżeństwo

- Chcesz poznać sekret szczęśliwego małżeństwa?

- No, słucham.

- Podawaj żonie paxil*.

Ludzie opowiadali Holly najróżniejsze rzeczy. Doprawdy nie rozumiała, dlaczego. Być może zachęcała ich jej twarz, otwarta i obiecująca przychylność, twarz znacznie miłsza niż właścicielka. Holly miała duże zielone oczy, bardzo jasną cerę i pogodny uśmiech, ale prawdziwy jej problem stanowiły dołki w policzkach. Była jedną z siedmiu kobiet na całym Manhattanie, które jeszcze je miały, i dlatego obcy ludzie zawsze właśnie do niej zwracali się z prośbą o rozmienienie dwudziestki albo popilnowanie laptopa w Starbucks. Pewnego razu jakaś zupełnie obca kobieta poprosiła, żeby pottrzymała dziecko, zanim ona zamocuje fotelik na tylnym siedzeniu taksówki. Kłopoty Holly z mężczyznami również wynikały częściowo z błędnej oceny jej twarzy, bo widząc w niej osobę o niewyczerpanej wyrozumiałości, opowiadali najbardziej obrzydliwe i wstydlive szczegóły ze swego życia, a potem, dostrzegając już tylko krytyczny grymas, brali nogi za pas. Holly odkryła, że umiejętność skłaniania ludzi do

*Środek antydepresyjny. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

zwierzeń jest darem dla pisarza, w związkach natomiast sieje spustoszenie.

- Amanda bierze paxil? - zdziwiła się teraz. Mark pokiwał głową i zniżył głos prawie do szeptu.

- To nie ta sama osoba. Zupełnie jakbyś obudził się któregoś ranka i niespodziewanie ujrzał słodką, cudowną kobietę. Amanda zawsze była trochę... hmm, nie chcę powiedzieć „upierdliwa"... - Podniósł na moment wzrok, szukając odpowiedniego słowa. - No, umówmy się, trudna. Nie mam nic złego na myśli; jest naprawdę inteligentna, niezależna, godna podziwu i naprawdę ją kocham, ale coraz trudniej mi się z nią żyło.

- Dobra, lecz czy to nie jest niepokojące? No, że tabletki ma aż taki wpływ?

- Niepokojące? Chyba żartujesz. To najlepsza rzecz, jaka mi się trafiła.

Amanda wyłoniła się z kuchni z miseczką czarnych oliwek. Należała do tych kobiet, które, zawsze szczupłe, po trzydziestce systematycznie chudną. Holly nie potrafiła zgłębić, jak ona to robi. Zupełnie jakby odkryła cudowną pigułkę albo praktykowała jakieś niesamowite voodoo, z czym nie chciała się zdradzić. Amanda chudła, coraz bardziej stroszyła coraz krótsze włosy, a jej oczy, przecząc wszelkim prawom anatomii, robiły się coraz większe. Była piękna. Holly musiała to przyznać, ale istniało niebezpieczeństwo, że któregoś dnia przemieni się w kościstego wypłosz z wytrzeszczem oczu.

- Nie wiedziałam, że zaczęłaś łykać paxil - powiedziała teraz.

- Uwielbiam go - odparła Amanda. - Ty też powinnaś spróbować.

- Po co? Nie mam depresji.

Amanda i Mark spojrzeli na nią równocześnie.

- Czemu wszystkim się wydaje, że coś jest ze mną nie

w porządku? - spytała Holly. - Wczoraj wieczorem rozmawiałam przez telefon z macochą. Powiedziałam, że zastanawiam się, czy nie zafundować sobie psa, a ona na to: „Och, dobrze, to znaczy, że znowu jesteś otwarta na miłość”.

- Tak powiedziała? - zainteresowała się Amanda.

- No. A ja na to: „Och Ellen, nie przejmuj się mną. Byłam i jestem otwarta”. - Wrzuciła oliwkę do ust. - Chłonę miłość wszelkimi otworami. ,

- Tego nie powiedziałaś! - krzyknęła Amanda.

- Ale chciałam.

- O co jej właściwie chodziło? Z tym, że jesteś otwarta na miłość - zastanawiała się Amanda.

Mark siedział na brzegu kanapy z butelką pinot noir, którą przyniosła Holly, oraz z korkociągiem w kształcie króliczych uszu.

- Jakiego psa chcesz mieć? - zainteresował się.

- O tym jeszcze nie myślałam - odparła Holly. - Pewnie wezmę jakiegoś ze schroniska.

- Zanim ocaliliśmy Peppo - zaczęła Amanda - szukałam w różnych źródłach informacji, które psy dobrze się czują w mieszkaniu i jakie rasy sprawdzają się w Nowym Jorku, ale jak się nad tym zastanowić, to chciałam takiego psa, jakiego miałam w dzieciństwie.

Holly spojrzała na nią.

- No co? - spytała Amanda.

- Peppo jest rasowym portugalskim psem wodnym. Musiałaś polecieć po niego do hodowcy, do Oregonu. Gdzie tu ocalenie?

- Tak jest w wypadku rasowych psów. Ludzie, biorąc je, muszą podpisać umowę, że w razie gdyby się rozmyślili, zwrócą zwierzaka hodowcy. I wtedy on znajduje takiemu psu nowy dom.

- To nie jest ocalenie. Przed niczym go nie uchroniłaś. To po prostu pies z odzysku.

- Holly, Peppo został ocalony.

Holly obejrzała się na Marka, licząc na wsparcie - wydał przecież tysiąc dolców na psa i samolot; wiedziała o tym, bo swego czasu otwarcie narzekał - lecz on, pochylony nad ławą, zmagał się z korkociągiem, nie zważając na otoczenie. Z doświadczenia wiedziała, że dyskusja z Amandą do niczego nie doprowadzi, postanowiła więc zmienić temat.

- Co twój mąż ma właściwie na nogach?

- Och! Zauważyłaś antypoślizgowe skarpety Marka. Urocze, prawda?

Antypoślizgowe skarpety Marka miały wierzchy z jasno-kremowej wełny i doszyte do nich spody z brązowej skóry; zupełnie jak w piżamach ze stopkami, tyle że brakowało piżamy.

- Wiem, że jestem dla was prawie jak rodzina - zaczęła Holly - lecz nie sądzę, że powinno się aż tyle oczekiwać od rodziny.

- Astronauci takie noszą - oświecił ją Mark. - To standardowe papucie astronautów, produkowane od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku.

- Zostałaś astronautą? - zaciekawiła się Amanda. - Czyżby mi coś umknęło? Zrezygnowałaś z pracy w banku inwestycyjnym na rzecz eksploracji kosmosu?

- Uwielbiam te bamboszki - oznajmił Mark. - Chcę zostać pochowany w moich bamboszkach.

Amanda spojrzała na Holly z typowym dla współmałżonków wzruszeniem ramion, w rodzaju „co ja na to poradzę”.

- Ach, byłabym zapomniała - rzuciła Holly. - Chcę wam coś pokazać. Mogę pożyczyć twój laptop?

- Jasne.

Usiadła na kanapie z komputerem Amandy na kolanach i otworzyła pocztę.

- Posłuchajcie. „Droga Holly. Może to zabrzmie dziwnie, ale piszę do Ciebie w związku ze Spence'em Samuelsonem. Od ośmiu miesięcy jesteśmy parą, mamy poważne plany na

przyszłość, a teraz wydarzyło się coś okropnego. Nie wiem, czy nie będziesz się czuła niezręcznie, rozmawiając o tym ze mną, lecz bardzo chciałabym poznać Twoje zdanie. Z góry dziękuję, Cathleen Wheeler". I jeszcze numer telefonu z prefiksem Kolorado.

- O mój Boże! - westchnęła Amanda.

- Kim jest Spence Samuelson? - chciał wiedzieć Mark.

- Były przed byłym - wyjaśniła Amanda. - Facet przed byłym mężem. Jeszcze nie za twoich czasów.

- Zaraz. - Mark zwrócił się do Holly: - Czy to ten popapraniec z twojej książki?

- Zgadza się - przytaknęła Amanda.

- Palmer jest postacią fikcyjną - oświadczyła Holly nieco oficjalnym tonem. - W pewien, dość luźny sposób zainspirowaną przez Spence'a.

Amanda przewróciła oczami. Prawda wyglądała tak, że Holly, budując postać Palmera, zmieniła tylko dwa szczegóły, a mianowicie imię i kolor oczu.

- Zadzwońska do niej? - zapytał Mark.

- Jeszcze nie.

- Zwariowałaś? Zrób to zaraz - zaproponowała Amanda. - Przełącz telefon na głośno mówiący.

- Ta kobieta mówi, że wydarzyło się coś okropnego - zauważył Mark.

- Chyba nie powinniśmy włączać głośnika.

- Wiecie co? Po tym e-mailu doznałam objawienia - zwierzyła się Holly. - Właśnie dlatego napisałam tamtą powieść. Żeby czegoś takiego doświadczyć. Dziewczyny facetów, z którymi chodziłam, odszukują mnie i proszą o radę. Zostanę te-rapeutką bez konieczności zdobywania dyplomu.

- Boże! - jęknął Mark.

- No co? - obruszyła się Holly.

- Biedny, żaloszny typ - powiedział Mark. - Nawet nie wie, jak sobie namieszał.

Holly Frick przytrafił się najgorszy rodzaj rozwodu, a mianowicie taki, w wypadku którego jedna strona nadal jest zakochana w drugiej, występującej o rozwód. Nie ma mowy o „lubi”, „czuje przywiązanie” czy też „pragnie budować wspólne życie”, ta pierwsza osoba jest beznadziejnie zakochana. Alex odszedł dokładnie przed rokiem, fakt, który jakoś uszedł jej uwadze do chwili, gdy zatrzymując taksówkę tego wieczoru, spojrzała na sterty uschniętych świątecznych choinek leżących wzdłuż chodnika. Alex porzucił ją trzeciego stycznia. Zachował się jak łaskawy prezes, który wręcza wypowiedzenia dopiero po świętach.

Zostawił ją bez uprzedzenia, ni stąd ni zowąd, nie dla innej kobiety, ani nawet dla mężczyzny, lecz najwyraźniej dla kobiet, tylu, ile zdołał zdobyć. Przez całą wiosnę i lato docierały do Holly różne pogłoski; najróżniejsze plotkarskie źródła donosiły o romansie Alexa z zimną tajsą hostessą z Tao, z doktorantką, która pracowała w podziemiach księgarni Shakespeare & Company, z „modelką” sprzedającą bieliznę w Barneys. Według psychoterapeutki u Holly po rozpadzie małżeństwa wystąpił uraz podobny do traumy ofiar wypadków drogowych i napadów, bo rozwód był równie niespodziewany i błyskawiczny jak kolizja czy brutalny atak, co zdaniem Holly stanowiło dobre wytłumaczenie, dlaczego przez ostatni rok czuła się tak, jakby tkwiła pod wodą.

Miała świadomość, że to, co przeżywa, nie jest niczym szczególnym, ot, zwykłą rozpaczą, czymś, co poetów i pisarzy zajmowało od stuleci, lecz wiedziała także, z tych samych książek, iż niektórzy ludzie po takich przeżyciach nigdy nie dochodzą do siebie i pędzą życie naznaczone bolesną tęsknotą. Dopiero tamtego dnia, gdy zobaczyła na ulicach uschnięte choinki, zdała sobie sprawę, że minął cały rok, i przestraszyła się, iż tak właśnie może być z nią.

Amanda i Mark mieli dziecko, trzynastomiesięcznego Jacoba, który przespał większą część wieczoru w swoim pokoju i pojawił się tylko na chwilę, akurat gdy przyszła pora na ostatniego naleśnika moo shu. Jacob był duży. Na imprezie z okazji ukończenia sześciu miesięcy wyglądał na dwulatka, ponieważ jednak każda jego próba przeniesienia smoczka z rączki do ust kończyła się powodzeniem w mniej więcej trzydziestu procentach, sprawiał wrażenie opóźnionego w rozwoju. A nie był niedorozwinięty, tylko za duży na swój wiek. Wiele lat wcześniej Holly i Amanda wymyśliły określenie na takie niemowlęta - blond kluchy (sami zobaczcie, że te nalane maluchy mają zawsze jasne włoski) - ale to było, zanim jeszcze Amanda sama urodziła kluchę.

Kiedy Jacob na powrót znalazł się w swoim łóżeczku, Holly i Amanda usadowiły się na kanapie z nową butelką wina, a Mark zapadł w drzemkę w swym fotelu.

- Mów - zachęciła Amanda.

- Co? Jest dobrze.

- Dobrze!

- Nie „dobrze” - poprawiła się Holly. - Lepiej.

- To nadal tylko dobrze.

- Dziwna sprawa - zadumała się Holly. - Parę tygodni temu obudziłam się w sobotni poranek, a ponieważ z nikim się nie umówiłam i nie miałam żadnych planów, zobaczyłam przed sobą cały dzień, ciągnący się i pusty, co zwykle wprawiało mnie w panikę, budziło niepokój i ponure myśli na własny temat...

- Powinnaś była zadzwonić - przerwała jej Amanda. - Mogłaś wpaść do nas.

- Taak, wiem. Dzięki. W każdym razie ubrałam się, pojechałam do miasta, porobiłam trochę świątecznych zakupów, około czwartej poszłam do kina na film, który planowałam obejrzeć podczas Forum Filmowego, a potem wróciłam do domu, zrobiłam sobie kolację, taką prawdziwą z gotowaniem,

objadłam się i wiesz co? Doszłam do wniosku, że to był bardzo udany dzień. Przez cały czas towarzyszyła mi świadomość, że jestem sama, a jednak nie cierpiałam z tego powodu tak jak dawniej - podsumowała Holly. - Sięgnęła po butelkę i nalała wina do kieliszków. - Wyszłam za męża. Spróbowałam. Nie wypaliło. Może należę do ludzi, którym pisane jest życie w pojedynkę?

- Holly, jeszcze kogoś spotkasz.

- Nawet nie wiem, czy chcę. Poważnie. Dobrze mi samej. Czuję, że pierwszy raz w życiu mogę to powiedzieć, i mówię szczerze - wyznała Holly. - Dobrze mi. Samej.

- Oczywiście, że dobrze.

- Wiesz, to bardzo dobre uczucie w końcu się w tym wszystkim odnaleźć.

- Tak naprawdę nie jesteś sama.

- Jestem. - Holly pociągnęła spory łyk wina i przymknęła oczy. - Tęsknię za Alexem.

- Wcale nie - powiedziała Amanda.

- A właśnie, że tak. Brakuje mi go - wyznała Holly. Zniżyła głos. - Myślę, że nadal go kocham.

- Nie kochasz Alexa.

- Dobra, w takim razie dlaczego, kiedy mijam restaurację, do której razem chodziliśmy, mam łzy w oczach, czuję pustkę w piersiach i muszę wracać do domu, po czym kładę się do łóżka i zakopuję w pościeli? Co innego to może znaczyć poza tym, że nadal go kocham?

- To smutek. Zdrowe uczucie.

- No nie wiem - westchnęła Holly. - Według mnie to miłość.

- Mniejsza z tym - ucięła Amanda. - Nie byliście razem szczęśliwi.

- Może byliśmy...

- Holly, czułaś się nieszczęśliwa w małżeństwie.

- I co z tego? Nie wiem, czy znacznie lepiej być nie-

szczęśliwym w pojedynkę, czy z drugą osobą - powiedziała Holly. - Podniosła wskazujący palec, bo właśnie przyszła jej do głowy pewna myśl. - Nieszczęście kocha towarzystwo -oznajmiła.

- Ubzdryngoliłaś się.

- Lubię się napić.

- Możesz tu przenocować, jeśli chcesz.

- Nie. Czułabym się tylko jeszcze bardziej żałosna - powiedziała Holly. Opadła na oparcie i zapatrzyła się na sufit z tańczącymi cieniami świateł świec. - Boże, spieprzyłam sobie życie. Moja powieść zrobiła efektowną klapę, znowu piszę dla telewizji scenariusze do najbardziej gównianego serialu komediowego na świecie, o ile ktoś prowadzi taki ranking, mam trzydzieści pięć lat, jestem sama jak palec, a tkanka na moich jajeczkach staje się cienka jak bibułka. Tymczasem Alex mnie rzuca i życie cudownie mu się układa. Myślę, że na serio spotyka się z jakąś pięknnością.

- Skąd ta myśl?

- Znikąd. Czuję, że z pewnością tak jest.

Amanda odstawiła kieliszek i spojrzała groźnie na przyjaciółkę.

- Nadal włamujesz się do jego poczty?

- Nie.

- Holly!

- Nie. Przysięgam - zapewniła. - Zmienił kod. Mark uniósł powiekę.

- Czytałaś e-maile byłego męża? - wtrącił ze swego fotela seniora.

- Nie jestem z tego dumna.

Amanda podniosła się z kanapy i ruszyła do kuchni z brudnymi kieliszkami w dłoni.

- Nie zrozum mnie źle, lecz uważam, że powinnaś poważnie się zastanowić nad zmianą terapeutki.

- Hej, ona nie jest niczemu winna! - zawołała za nią Hol-

ly. - Nie opowiadam jej takich rzeczy. Możesz mi wierzyć. Byłaby zniesmaczona.

Kilka minut później Holly zwlekła się z kanapy i dołączyła do Amandy w kuchni. Mark po krótkiej mobilizacji -na tyle jednak długiej, aby podpowiedzieć Holly, żeby: a) pomyślała o randkach internetowych, bo czterdziestotrzylatka z jego biura poznała w ten sposób faceta z Teaneck, a była dość gruba, oraz b) może spróbowała lekcji salsy - zapadł z powrotem w błogi sen. Amanda w gumowych rękawicach stała przy zlewie. Holly wzięła gąbkę i zaczęła przecierać blaty.

- Według twego męża wszystkie problemy same się rozwiążą, jeśli zapiszę się na kurs salsy.

- To nie jest głupi pomysł - orzekła Amanda. - Lubisz tańczyć.

- Moja znajoma, Betsy, zaczęła brać lekcje salsy, a kiedy wyszła na korytarz podczas przerwy, zobaczyła, że jeden z facetów z kursu stoi oparty o ścianę i, jak gdyby nigdy nic, trzyma rękę w spodniach.

- Czy on... no wiesz, zabawiał się sam ze sobą?

- A czy to ważne? - spytała Holly. - Czy w tej historii naprawdę istotne, dlaczego trzymał tam rękę?

- Wiem, o co ci chodzi - powiedziała Amanda. - Słuchaj, muszę z tobą pogadać.

- O czym?

- Hmm, to trochę skomplikowane.

- Zrobiłam coś nie tak? - zaniepokoiła się Holly.

- Nie, nie. Absolutnie nie. To nie dotyczy ciebie.

- W takim razie w czym rzecz?

- A w tym, że cała sprawa wydaje się poważniejsza, niż miała być, ale to nic wielkiego.

- O co chodzi?

- Jakiś miesiąc temu poznałam faceta na imprezie charytatywnej.

- Uhm.
- Ma na imię Jack i zna moją dawną szefową, Theresę. Z początku dużo rozmawialiśmy o Theresie, to walnięta kobieta, no i tak to się rozkręciło. Potem, no wiesz, wspólny lunch, wymiana kilku e-maili. Nic wielkiego.
- Czekam na tę skomplikowaną część.
- No właśnie - westchnęła Amanda. - Zaczyna się komplikować.
- Może jaśniej - powiedziała Holly. - Sypiasz z nim?
- Boże, nie! Nie. Nic z tych rzeczy.
- Dobrze. Co to więc za układ?
- Sama nie wiem. Trochę się pogubiłam - wyznała Amanda. - W grę zaczynają wchodzić uczucia.
- Mark wie?
- Nie - zaprzeczyła Amanda. - To znaczy wie, że istnieje Jack, kilka razy padło jego imię, ale na tym koniec.
- Holly odłożyła gąbkę.
- Z tego, co mówisz, wynika, że umawiasz się z tym Jackiem na randki.
- Wcale nie! - zaprzeczyła Amanda. - Byliśmy na kilku niewinnych lunchach.
- Nie powinnaś o tym rozmawiać ze mną - oznajmiła Holly. - Jestem kiepska, jeśli chodzi o niewierność. Zawsze identyfikuję się ze zdradzaną stroną.
- Holly, nie ma żadnej zdrady.
- W takim razie dlaczego szepczemy w kuchni? Amanda otworzyła szafkę i wyjęła trzy kubki do kawy.
- Czemu mi o tym mówisz? - dopytywała się przyjaciółka.
- Chcę, żebyś go poznała.
- Co? - zdziwiła się Holly. - Po co?
- Nie wiem - odparła Amanda. - Spodoba ci się. Spodobacie się sobie.
- Nie sądzę, abym miała ochotę go poznać - odrzekła

Holly. - Czuję się tak, jakbym maczała w tym palce. Już sama ta rozmowa wywołuje u mnie poczucie winy.

- Czemu?

- Nie wiem - wyznała Holly. - Ktoś powinien czuć się winny, więc biorę na siebie to odczucie.

- Po prostu pójź z nami na lunch w przyszłym tygodniu, dobrze?

- Zobaczymy.

- Czy to oznacza „tak”?

- Oznacza „zobaczymy”.

Były przed byłym

Jakieś czterdzieści przecznic dalej w kierunku przedmieścia na trzydziestym siódmym piętrze Jocastanu, monstrualnego śródmiejskiego apartamentowca o przeszklonych ścianach, który przez większą część roku zabierał słońce sporej części Forty-sixth Street, Spence Samuelson - były przed byłym, facet przed eksmężem alias gnojek w książce Holly - spędzał wieczór samotnie, popijając wódkę i serfując po Internecie. Właśnie przeczytał, że naukowcy z New Jersey budują akcelerator cząstek wielkości stadionu po to, żeby wytworzyć czarną dziurę, która prawdopodobnie później pochłonie naukowców, stadion, stan New Jersey oraz resztę wszechświata, i pomyślał, że owi uczeni zaoszczędziliby sobie sporo kłopotów dzięki kombinacji szybkiego łącza internetowego ze starannie dozowaną osiemdziesięcioprocentową wódką zbożową. Kiedy usłyszał dzwonek telefonu, oderwał wzrok od monitora i zobaczył, że dochodzi dziesiąta. Zupełnie zapomniał o kolacji.

- Nie mogę w to uwierzyć - odezwał się gniewny, nieco nosowy głos. To dzwoniła z Boulder jego dziewczyna, Cathleen, i rozmowa nie zapowiadała się dobrze.

- O co chodzi? Co takiego zrobiłem?

- Co zrobiłeś? Nie wiem, Spence. Może ty mi powiesz?

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.
- O Boże, nie wytrzymam, jeśli dalej mnie będziesz okłamywał.
- Co mam powiedzieć?
- W takim razie otwórz pocztę.

Spence kliknął na ikonkę poczty. Słyszał Cathleen na drugim końcu linii. Dyszała gniewnie. Pieniła się, dokładnie to robiła. Otworzył plik z cyfrowymi zdjęciami, który mu przysłała. O kurde! Cholera, cholera, cholera.

- Rany, Cathleen. Tak mi głupio.
- Nie mam ochoty tego słuchać - oznajmiła. - Chcę poznać prawdę.
- Czy z nią spałem? - upewniał się Spence. Spojrzał na zdjęcia na monitorze. Czy się odważy...? Nie, nie da rady się wymigać. - Tak. Czy cię w tej sprawie okłamałem? Tak. I czy jest mi z obu tych powodów przykro? Bardziej, niż sobie wyobrażasz.
- Spence, potrzebujesz pomocy.
- Pewnie tak.
- Mówię poważnie - oświadczyła Cathleen. - Potrzebna ci profesjonalna pomoc.
- Skonsultuję się z kimś, jeśli ci na tym zależy.
- Wiesz, co mi w tej chwili chodzi po głowie? Siedzę tu i zastanawiam się - właściwie całkiem poważnie rozważam, Spence - czy ty przypadkiem nie jesteś socjopatą. Bo jak inaczej to wytłumaczyć? Nie wiem, jak możesz funkcjonować na takim poziomie zakłamania. Dwa dni temu miałeś okazję powiedzieć mi prawdę, a jednak tego nie zrobiłeś. Dopiero po przedstawieniu dowodów w postaci zdjęć jesteś gotowy przyznać, że spałeś z tą kobietą.
- Jezu, Cathleen, nie jestem żadnym socjopatą! - obruszył się. - Dałem ci ciała. Żałuję, że tak się stało. Przykro mi.
- Dałeś ciała - powtórzyła drętwo.
- Kocham cię. Wiesz, że cię kocham. Ona nic dla mnie

nie znaczy. Sama widzisz, że jej odbiło. Kto robi takie zdjęcia? To wariatka. Cisza na linii.

- Kocham cię, Cathleen - powtórzył. Wciąż cisza.

- Muszę kończyć - oznajmiła Cathleen.

- Porozmawiamy później? - spytał Spence.

- Nie wiem. - Rozłączyła się.

Spence odłożył słuchawkę na widełki i usiadł na kanapie. Właściwie na czym polega jego wina? Spotykał się jednocześnie z dwiema kobietami. A dokładniej: miał randki na odległość z jedną, na której autentycznie mu zależało (Cathleen), i okazjonalnie, aczkolwiek wielokrotnie, sypiał z drugą, która mieszkała bliżej (Szalona Molly). Nigdy nie umawiał się z Szaloną Molly. Wpadał na nią na przyjęciach i wtedy pojawiała się kusząca szansa na seks, a wraz z nią dwie pijacko mieszające się ze sobą myśli: to będzie ostatni raz, byłbym głupi, przepuszczając taką okazję. I na tym polegało całe przestępstwo. A teraz został nakryty.

Spence widział wielką niesprawiedliwość losu w tym, że musiało do tego dojść akurat w tym momencie, ponieważ ów ostatni raz, kiedy przespał się z Molly, rzeczywiście miał być ostatnim razem! Kończył z tym na dobre! Czas oddzielający „orgazm” od „wyrzutów sumienia i odrazy do samego siebie” skurczył się niemiłosiernie. Spence nareszcie poczuł, że nabiera jasności, dostrzegał drogę ku przyszłości, wyobrażał sobie siebie z Cathleen, słodką Cathleen, widział, jak się ustakowuje, dojrzewa, porządkuje życie. W ubiegłym tygodniu rozważał nawet przeprowadzkę do Boulder, żeby z nią zamieszkać. Mógłby znów jeździć na górskim rowerze. Dzieciaki dorastałyby z nartami na nogach.

Tymczasem musiało się to przydarzyć. Dwie doby wcześniej, w noc, która miała być ostatnim razem, Molly podczas

napadu postcoitalnego myszkowania wpadła w ręce kartka, którą przysłała mu Cathleen. (Cathleen należała do kobiet, które mając trzydzieści sześć lat, wysyłają pocztówki do mężczyzn, co mogłoby tłumaczyć, dlaczego brała wszystko tak bardzo serio). Następnego dnia Szalona Molly namierzyła Cathleen, zadzwoniła do niej i chlapięła coś mniej więcej w ten deseń: „odczep się od mojego chłopaka”, no i Cathleen wpadła w furję. Rozhisteryzowana i zabczana zadzwoniła do Spence'a, zarzucając go oskarżeniami. A on popełnił zasadniczy błąd, bo poszedł w zaparte. Oświadczył, że nic takiego się nie zdarzyło, że nigdy się z Szaloną Molly nie przespał, że ta kobieta jest porąbana i stąd wzięła się jej ksywa. Zapewnił Cathleen, że ją kocha, że jest dziewczyną, z którą chce się ożenić, poza tym czy nie ustalili, że będą mieć troje dzieci? Gdyby miał czas opracować strategię, być może wyznałby prawdę, bo, szczerze mówiąc, wcale nie uważał, że prawda jest bardzo zła. Prawda: Spence wierzył, że zakochuje się w Cathleen, jednak kiedy dokonał tego odkrycia, postępował w typowy dla mężczyzn wredny sposób, ale nie ze złej woli, nie uważał też, że takie zachowanie może ujemnie wpłynąć na ich związek. A Cathleen - trzydziestosześcioletnia singielka z Boulder, w topornych górskich butach, z torbą wydzierganą na drutach i z obsesyjną miłością do dwóch psów, sygnalizująca desperackie pragnienie założenia rodziny - prawdopodobnie da mu drugą szansę.

Perspektywy były całkiem dobre. Wypierał się konsekwentnie, i Cathleen mniej więcej kupiła jego kłamstwa. Rzuciła kilka idiotyzmów w stylu: „potrzebuję konkretnych dowodów, że zależy ci na naszym związku”, więc Spence poszedł do sprawy z należytą starannością, jak ktoś skazany na upłynięciu odpadów radioaktywnych. Kupił jej bilet, żeby przyleciała na pięć dni do Nowego Jorku, gdzie będą mogli omówić poziom jego zaangażowania. Wszystko zdawało się wracać do normy.

I wtedy, nieco wcześniej tego samego dnia, Szalona Molly wysłała mailem do Cathleen kilka zdjęć na dowód, że jest dziewczyną Spence'a. Wśród nich najmocniejsze było to, na którym leżała nago w łóżku obok śpiącego Spence'a. Trzymała aparat w wyciągniętych rękach jak jakaś nawalona im-prezowiczka. On miał zamknięte oczy, a ona szczyrzyła zęby w idiotycznym uśmiechu. Kto robi takie zdjęcia? Tylko szaleńcy - odpowiedział sobie w myślach Spence. Niemniej trudno się z tego wytłumaczyć.

Molly miała opinię szalonej nie z powodu psychotropów ani nawet pobytu w psychiatryku podczas studiów, lecz dlatego, że lubiła szalony seks. W pewnym sensie przysporzyło jej to sławy. I przede wszystkim dlatego Spence z nią sypiał. Czasami mężczyzna potrzebuje szalonego seksu. Niestety, wiedział, że absolutnie nie będzie w stanie wytłumaczyć tego Cathleen, Cathleen, która w żadnym razie nie była pruderyjna i lubiła, gdy wsadzał jej palec w pupę, ale nie rozumiała, że to, co robili, wcale nie było szalonym seksem. Prawda wyglądała następująco: Cathleen się wydawało, że uprawia szalony seks. Sądziła, że ona i Spence robią dzikie, wyuzdane rzeczy, i była niesamowicie z siebie dumna. Gdyby wiedziała, że temu wszystkiemu daleko do szaleństwa, co by poczuła? Przewrzenie, odrazę, wstyd? Zapewne wszystko naraz.

Teraz Cathleen szermowała słowem „socjopata”. Spence'a zastanawiało, kiedy właściwie kobiety zaczęły się tym słowem posługiwać w sytuacjach damsko-męskich. Czyżby Oprah zrobiła na ten temat program lub coś w tym rodzaju? Coraz częściej, przynajmniej ostatnio, słyszało się to określenie.

Amanda i Mark lubili się znaleźć w łóżku przed dziesiątą, więc Holly wyszła wkrótce po umyciu naczyń. Małżeństwa, które chodziły wcześniej spać, wkurzały ją, podobnie jak

mażeńskie pary szepczące ze sobą na przyjęciach i takie, które jednocześnie przechodziły na dietę. No i małżeństwa, które mówiły: „jesteśmy w ciąży”. Zapewne gdyby się głębiej zastanowiła, znalazłaby jeszcze kilka innych przykładów wkurzających małżeństw. W taksówce zamieniła parę słów przez telefon, a kiedy kwadrans później zajeżdżała przed dom, Lucas już czekał. Stał z rękami w kieszeniach, oparty o poręcz schodów. Ciekawe - pomyślała - że podczas rozmowy o beznadziei i samotności oraz wylewania żalów rozwiedzionej kobiety jakoś zapomniała powiedzieć o nim Amandzie. Jeśli wziąć pod uwagę parametry jej przyjaźni z Amandą i zawilość związku z Lucasem, było to poważne niedopowiedzenie. Z Amandą mówiły sobie wszystko. Lucas miał dwadzieścia dwa lata i ona z nim sypiała.

Poznała go przed sześcioma tygodniami na imprezie z okazji narodzin dziecka, którą wyprawiła Betsy z kursu salsy, powszechnie znana z tego, że w ośmiomilionowym mieście trafia wyłącznie na mężczyzn z gatunku tych-z-ręką-w-spodniach. Lucas był młodszym bratem Betsy i mieszkał z rodzicami w ogromnym mieszkaniu przy Park Avenue, które ona zarekwizowała na imprezę. Wtedy Holly jeszcze nie wiedziała, że Lucas mieszka u rodziców. Sądziła, że zajrzał, by pomóc przy odbieraniu płaszczy.

Noc poprzedzająca imprezę była trzecią nocą spędzoną przez Holly ze Steve'em, czterdziestotrzyletnim pośrednikiem w handlu nieruchomościami, łykającym lexapro* z powodu napadów lęku, ochrzczonym przez Amandę Teksańczykiem, bo Holly nieopatrznie wspomniała, że na pierwszą randkę przyszedł w kowbojskich butach. Holly wzbraniała się przed nazywaniem Teksańczyka Teksańczykiem, bo wiedziała, że związek z facetem, któremu nadano przezwisko, jest z góry skazany na niepowodzenie. Żadnej z jej koleżanek nie udało

Lek stosowany w depresjach i zaburzeniach lękowych.

się z facetami obdarzonymi ksywą, poza jedyną Fleur, która wyszła za gościa znanego ogólnie jako „Puszka Coli”. Ta sytuacja była dla wszystkich zainteresowanych szalenie niezręczna. Niestety, z powodu lexiapro Tekszańczyk okazał się w sypialni kowbojem w kapeluszu, ale bez bydła. Niezbyt udana metafora. Miał kapelusz i bydło, lecz brakowało mu lassa? A może miał kapelusz, bydło, lasso, żelazo do wypalania piętna oraz paru kowbojów, tylko nigdy nie odzywał się dzwoniący na kolację? Obojętnie, nieważne. Facet nie mógł się spuścić. Podobnie jak większość mężczyzn z takim problemem był bardzo dumny, że może wytrwać tak długo, i widział w tym atut, bo według niego każda kobieta powinna być zachwycona wielokrotnymi przydługimi rundami bez finału, których koniec wyglądał tak, że Tekszańczyk padał w nogach łóżka z twarzą ukrytą w dłoniach. Holly ucięła sprawę dzień wcześniej. To nie tak, że nie lubiła seksu, po prostu wolała widoki na finisz. Poza tym dobrze wiedziała, jak się takie historie kończą - lądujesz z drażliwym, sfrustrowanym, wrogo nastawionym mężczyzną, w dodatku z początkami zaburzeń psychicznych. Na Manhattanie pełno takich.

Musiała wcześniej wyjść z imprezy i brat Betsy, młodszy braciszek Betsy, zaprowadził ją do pokoju gościnnego po płaszcz. Podał go, a potem położył ręce na jej ramionach, odwrócił ją ku sobie i pocałował w usta. Coś takiego jeszcze mi się nie przydarzyło - pomyślała. Nie zamieniła z tym człowiekiem nawet dwóch słów, a teraz całowali się zawzięcie w sypialni pełnej okryć gości. Może to upominek z okazji przyjęcia - pomyślała. Może tak to się robi na Park Avenue.

Dwa dni po imprezie zadzwonił telefon.

- Muszę cię znowu pocałować - oznajmił jakiś głos.
- Kto mówi? - spytała.
- Lucas. To ja cię pocałowałem na sobotnim przyjęciu.
- Brat Betsy.

- Owszem - potwierdził. - Mogę do ciebie wpaść?
 - Raczej nie - odparła.
 - Chcę cię tylko pocałować.
 - Hmm. - Przeszedł jej przez myśl Teksańczyk i jego penis po lexapro.
 - Chyba nie ma w tym nic złego. - Podała mu adres.
 - Świetnie. Zaraz będę.
 - Lucas?
 - Taak?
 - Akurat skończył mi się papier toaletowy - zasygnalizowała.
 - No i...?
 - Mógłbyś kupić po drodze?
- Później, leżąc w skłębionej pościeli, odwróciła się do niego i powiedziała:
- Mogę cię o coś zapytać?
 - Pytaj.
 - Ile masz lat?
 - Dwadzieścia trzy.
 - Dwadzieścia trzy? - powtórzyła. Gdyby się nie opanowała, zrobiłaby duże oczy ze zdziwienia.
 - No. - Wyciągnął rękę, chwycił poduszkę i podłożył ją sobie pod głowę. - Prawie dwadzieścia trzy.
 - O mój Boże! Masz dwadzieścia dwa lata?
 - Formalnie rzecz biorąc. Ale niedługo będą moje urodziny. Czemu pytasz? - zaciekał się. - A ty ile masz lat?
 - Dużo - odparła Holly. - Mogłabym być twoją matką, gdybyśmy żyli w biblijnych czasach albo, no wiesz, na przykład w Appalachii.
 - Nie jesteś stara.
 - Musisz mi coś obiecać - poprosiła. - Przysrzeknij, iż nie powiesz siostrze, że się przespaliśmy ze sobą.
 - Nie rozmawiam z Betsy o swoich prywatnych sprawach.
 - To dobrze. Wiesz co? Najlepiej nie mów o tym nikomu.

Niech to będzie nasz mały sekret - zaproponowała Holly.

- A teraz gadam jak pedofil.

- Jak z podręcznika.

- Strona dziewiąta - dorzuciła. - Zaraz po tym kawałku, kiedy cię zwabiam na tylne siedzenie furgonetki, obiecując pokazać koszyk z kociętami.

Obecnie, sześć tygodni później, Holly i Lucas popadli w coś w rodzaju rutyny. W wieczory, kiedy Lucas wychodził do miasta z przyjaciółmi, przeważnie dzwonił do niej o dziesiątej lub jedenastej, a raz nawet o pierwszej w nocy, a ona zazwyczaj, choć nie zawsze, pozwalała mu przyjść. Okazjonalnie - a dokładnie dwa razy, nie licząc wieczoru z Amandą i Markiem - dzwoniła do niego. Powstał układ. Bez zobowiązań. Właśnie taki, jakiego Holly chciała.

- Czemu to oglądamy? - spytała teraz, wracając z kuchni ze szklanką mrożonej wody.

Lucas siedział w łóżku, oparty o zagłówek, z pilotem w ręce. Akurat przeskoczył na lokalne wiadomości.

- Chcę zobaczyć prognozę pogody.

- Możesz sprawdzić w moim komputerze.

- Za chwilę pokażą.

- Zawsze tak mówią - rzekła Holly. Wsunęła się do łóżka. - Chcą nas zmusić, żebyśmy obejrzeliby reportaż o bakteriach w wodzie u ulicznego sprzedawcy hot dogów, i dlatego mówią, że za chwilę nadadzą prognozę, a przesuwają ją w różne części programu. Gdyby to ode mnie zależało, w niektóre wieczory w ogóle bym jej nie nadawała. To ludzi wkurza.

Dziś rano w dzielnicy Jamaica, Queens, dokonano gwałtu na kobiecie udającej się do pracy. O siódmej rano DeeDee Reynolds ucałowała na do widzenia troje swoich dzieci i wyszła z domu, aby udać się do Mount Sinai Hospital, gdzie pracuje jako pomoc pielęgniarska. Chwilę po zamknięciu frontowych drzwi została brutalnie zaatakowana...

- Kto gwałci o siódmej rano? - zdumiała się Holly.

- O co ci chodzi? - spytał Lucas.
 - Komu się chce gwałcić o takiej porze? - dziwiła się Holly. - Ja o tej godzinie ledwo mogę włożyć szkła kontaktowe.
 - Ktokolwiek to był, musiała rozpierać go energia - zauważył Lucas.
 - Mógł znaleźć dla niej inne ujście! - prychnęła Holly.
 - Jesteś idealną kobietą, wiesz o tym?
 - Wiem - odparła. - Niemniej dziękuję. Lucas wyłączył fonię.
 - Dzwonił dziś do mnie kumpel z Austin - zaczął. -Chce, żebym przyjechał pomóc mu uruchomić klub. Muzyka na żywo, drinki, miejscowe kapele, południowe klimaty. Świetna zabawa, a jednocześnie, być może, dobra okazja. Jego ojciec ma jakieś wejścia i myśli, że mógłby bez większych kłopotów załatwić licencję na alkohol.
 - Powinieneś więc pojechać.
 - Zabierz się ze mną.
 - Mam się przeprowadzić do Austin? Żartujesz?
 - Mówię serio - odparł. - Chyba się w tobie zakochuję.
 - Wcale nie. Uwierz mi. Nawet nie mów takich rzeczy.
 - Czemu nie? To prawda. Według mnie jesteś niesamowita.
 - Trzymaj. - Podała mu szklanę, po czym usiadła, krzyżując nogi po indiańsku. - Wiesz, że teraz nie pozwala się dzieciom używać sformułowania „po indiańsku”? W szkole u mojego siostrzeńca nazywają to siadem skrzyżnym. Nauczycielka mówi: „formujemy krąg i robimy siad skrzyżny”.
- Lucas patrzył na nią w milczeniu.
- O mój Boże! - zreflektowała się. - Proszę cię, tylko mi nie mów, że za twoich szkolnych czasów też się mówiło „siad skrzyżny”.
 - Nie mam ośmiu lat.
 - Racja. A więc... - Podniosła poduszkę i przycisnęła do siebie. - W zasadzie należę do osób, które szybko i nieko-

niecznie trafnie się zakochują, a potem psują to, co było dobre. Taki mam styl. A więc, jak widzisz, wreszcie to do mnie dotarło. Mam wrażenie, że potrafię sobie wyobrazić, co ci wszyscy faceci przeżywali ze mną. I muszę przyznać, że po raz pierwszy w życiu zaczynam im współczuć. - Zaczepnęła tchu. - Właśnie się rozwiodłam, ty masz dwadzieścia dwa lata, i żadne z nas nie jest gotowe na poważny związek.

- Okay.

- Powinniśmy zachować rozsądek i cieszyć się tym, co mamy, bo, wiesz, jest świetnie. Dobra zabawa, żadnych zobowiązań. Nie powinniśmy tego psuć jakimiś oczekiwaniami i tak dalej.

- Taak. W porządku. ^

- Tylko tyle masz do powiedzenia?

- A co tu więcej mówić? - Przewrócił się na brzuch i sięgnął po swoje piwo, stojące na nocnej szafce.

Spojrzała na niego. Chyba coś było nie w porządku.

- O co chodzi? - spytał Lucas.

- Nie wiem. - Wstała z łóżka i ruszyła do łazienki. - Za każdym razem, kiedy byłam tamtą drugą stroną w takiej rozmowie, zawsze miałam o wiele więcej do powiedzenia.

Dzierlatki

- W tej koszuli naprawdę wyglądasz jak gej.

- Dziękuję - odparł Leonard. Pieszczotliwym gestem wygładził przód koszuli. - Była bardzo droga.

- Czy mi się wydaje, czy naprawdę robisz się coraz bardziej homo? - zauważyła Holly.

Nie wydawało jej się. Leonard przez długi czas był gejem o powierzchowności hetero, lecz w ostatnich miesiącach z powodu splotu okoliczności i doboru strojów nabierał coraz bardziej gejowskiego wyglądu. Prawdopodobnie przede wszystkim dzięki chemicznej metodzie prostowania włosów. Wydał czterysta dolarów na jakiś brazylijski specyfik i teraz przylegały mu do głowy jak mokra ścierka, stercząc u nasady szyi, grubej od sterydów, które kupował u farmaceuty pokątnie handlującego anabolikami we własnym mieszkaniu na czwartym piętrze domu stojącego przy tej samej ulicy, gdzie mieszkał Leonard. Leonard dowiedział się o nim w siłowni.

W przeszłości, a i ostatnio, po przerwie, Leonard i Holly pisali razem scenariusze. Przez pięć lat stanowili zgrany tandem, pracujący nad popularnym serialem komediowym, a potem się rozstali, żeby Holly mogła zająć się książką. Wiele lat temu również sypiali ze sobą, lecz teraz byli jak brat i siostra. A dokładniej: jak brat i siostra, którzy kiedyś ze sobą sypiali.

Holly uważała, że ma do niego większe prawa, niż wynikałoby to z racji przyjaźni, a Leonard odnosił się do niej z niepokojąco niejednoznaczną serdecznością, jaką zapewne brat mógł odczuwać wobec siostry, z którą, bardzo dawno temu, dwukrotnie uprawiał seks.

- Możesz się skupić? - spytała Holly.
- Za dobrze się czuję, żeby się skupiać.
- To może wzięłbyś jedną ze swoich pigułek?
- Już wzięłem.

Holly spojrzała na niego. Leżał wyciągnięty na kanapie, a mimo to jakimś cudem kołysał się w tył i w przód.

- Połknąłeś czy wciągnąłeś?
- Przyswoilem.
- Przez nos czy przez usta? Nie odpowiedział.
- Leonard! Nie ma nawet południa.
- Miałem łyknać. Byłem gotowy połknąć, ale poszłaś do łazienki i wtedy niechcący sproszkowałem tabletkę twoją śnieżną kulą z Palm Beach, wciągnąłem nosem i teraz czuję się błogo. I dlatego trudno to uważać za błąd.
- Twego lekarza należałoby zamknąć.
- Lekarzy - poprawił ją. - Moich lekarzy należałoby zamknąć.

Holly objęła twarz dłońmi.

- Leonard, nie chcę pracować w weekend. W poniedziałek musimy pokazać kolejny kawałek, nic nie mamy, a ty jesteś naćpany.
- Mogę pracować. Popatrz na mnie; pracuję. Jestem skupiony. - Usiadł i oparł dłonie na kolanach, jak piłkarz na ławce rezerwowych, w każdej chwili gotowy wrócić do gry. - Powiedz mi tylko, co robimy. Do jakiego głównianego serialu piszemy?

Serial nazywał się *Dzierlatki* i był żenującym gniotem. Opowiadał o dziewczynach z gimnazjalnej drużyny koszy-

karskiej, a leciał o wpół do czwartej po południu na kanale Nickelodeon. Co go jeszcze czeka? Pisanie dla teleturniejów? Ze względów podatkowych serial kręcono w Toronto, lecz autorzy scenariusza pracowali w Nowym Jorku, żeby stacja mogła mieć na nich oko. Zespół składał się z Kanadyjczyków, pisarzy z widokami na przyszłość i z takich, co widoki już mieli za sobą. Leonard i Holly należeli do tej drugiej grupy.

- Musisz poważnie podchodzić do tego scenariusza - tłumaczyła Holly. - Musisz poważnie podchodzić do pracy, Musisz przychodzić tu rano, punktualnie, trzeźwy, ze swoim lekarstwem na nadpobudliwość nadal w postaci tabletek i musisz zapomnieć, że swego czasu pisywałeś do lepszych seriali, dla zdolniejszych aktorów i za znacznie większe pieniądze. Musisz włożyć w tę robotę całe serce, bo inaczej nas wyleją.

Leonard nie zareagował.

- Słyszysz, co mówię? - spytała Holly. - Wyleją nas. I będzie po karierze. I tak już jesteśmy na szarym końcu.

Nadal milczał.

- Leonard!

- Dzień, w którym poważnie podejść do tej pracy - zaczął spokojnie, głosem pozbawionym wszelkich emocji. - Dzień, kiedy wstanę rano i uzmysłowię sobie, że choć trochę obchodzi mnie ten głupi serial o nastolatkach, oglądany przez ośmioletnie dziewczynki, które chcą kupować My Little Pony, będzie dniem mej samobójczej śmierci.

- Leonard!

- Nie mogę przejmować się tą pracą. Wykończyłbym się.

- Dobra - westchnęła Holly. - Ale przynajmniej zachowuj się tak, jakbyś się przejmował.

Przemyślał jej słowa.

- Będę próbował zachowywać się jak ktoś, kto udaje, że się przejmuje

- obiecał.

Na tym polegał problem z lekarami na nadpobudliwość. Leonardowi coraz trudniej było powstrzymać się od rozgniatania tabletek i wciągania ich przez nos. Jeśli zażywał je zgodnie z zaleceniem, potrafił się skupić na tym, co robił. Brał jedną zanim siadał do gry wideo, i wtedy mógł trwać tak całymi godzinami, pochłonięty grą jak dwunastolatek po adderallu*. Osiągał coś w rodzaju pełnej, czystej przyjemności. Czuł się wtedy tak, jak czuje się normalna osoba, kiedy po sześciomilowym biegu ogląda zachód słońca nad oceanem. Kłopot w tym, że ta sama tabletką zgnieciona łyżką, przyciskiem do papieru czy denkiem butelki po wódce Grey Goose działała jeszcze lepiej. Lepiej i inaczej. To było jak oglądanie zachodu słońca nad oceanem na haju po kokainie. I wtedy wszystko się komplikowało.

Nałogi Leonarda nasiliły się w czasie pobytu w Nowym Jorku. W Los Angeles pewne okoliczności zmuszały go do zachowania umiaru. Przede wszystkim było to miasto korporacyjne. Gdziekolwiek się pojawił, spotykał znajomych, agentów, na których mu zależało, oraz pisarzy, z którymi chciał współpracować, tak więc ambitna część jego osoby, w dodatku świadoma, że resztki kariery przeciekają mu między palcami, wiedziała, iż nie może chodzić pijany czy naćpany. Drugą sprawą była jazda samochodem. Leonard miał dom wart milion trzysta tysięcy dolarów na Mulholland Drive, a bary, do których lubił zaglądać, mieściły się na Santa Monica Boulevard w West Hollywood i jedyną drogą prowadzącą do nich z jego domu był Laurel Canyon - dwa wąskie pasy ruchu pełne zakrętów i zdradzieckich odcinków pośród zeschniętych zarośli i eukaliptusów, gdzie łatwo było wylądować w basenie jakiegoś czarnego producenta muzyki. Och tak, Leonard potrafił jeździć po pijanemu. Wypracował metodę,

* Środek wspierający leczenie nadpobudliwości psychoruchowej i zaburzeń uwagi; jednym z jego składników jest amfetamina.

która polegała na zamykaniu prawego oka i opuszczaniu się na siedzeniu, tak aby zgrać podwójną żółtą linię z lewą krawędzią przedniej szyby i znacznikiem mercedesa na masce. Przeprowadzka do Nowego Jorku oznaczała, że nie musiał się dłużej przejmować pozorami i mógł pić prawie na umór, tracić świadomość w taksówkach i w stanie, jaki normalny człowiek nazwałby pijackim zamroczeniem, przetaczać się od krawężnika do drzwi frontowych, od drzwi do windy, a z windy do łóżka. Leonard nie uważał tego za zamroczenie, bo przecież, hmm, dotarł z baru do łóżka, nie? A to nie działo się za sprawą czarów.

Do szóstej po południu coś tam napisali. Niedużo, za mało, ale zawsze coś. Leonard całkiem poważnie rozważał, czy nie powinien się nagrodzić kolejną tabletką adderallu, nie wiedział jednak, jak to zrobić, aby Holly nie zauważyła radykalnej zmiany jego nastroju. Nie potrafił ustalić, czy lepiej pracuje na fazie, czy też raczej dzięki fazie toleruje pracę.

- Ta kobieta nie przestaje bombardować mnie e-mailami - napomknęła Holly.

- Mówisz o dziewczynie Spence'a?

- Zaczynam podejrzewać, że z nią jest coś nie tak.

- Zadzwońska do niej?

- Tak.

- I...?

Holly westchnęła i powoli pokręciła głową.

- Żałosna biedula.

- Co on jej zrobił?

- Muszę ci opowiedzieć całą historię.

- Na to liczę.

Holly położyła stopy na biurku, skrzyżowała nogi w kostkach i oparła podbródek na opuszkach palców w taki sposób, który podsunął Leonardowi myśl, że nadawałaby się na sędzię, kuratorkę sądową albo na kata.

- Dobrze. No więc ona ma na imię Cathleen - zaczęła Holly. - Mieszka w Boulder, a Spence'a poznała rok temu, na wycieczce rowerowej. Po powrocie utrzymywali ze sobą kontakt i wkrótce szaleńczo się zakochali. On co parę tygodni lata do Kolorado, snuje opowieści o małżeństwie i dzieciach, jakby te mrzonki miały przeobrazić się w rzeczywistość. Jej się wydaje, że lada moment się zaręczą i jedynym nierozwiązanym problemem pozostaje to, czy ona się przeprowadzi do Nowego Jorku, czy raczej on przeniesie się do Boulder. Aż tu nagle któregoś dnia dzwoni do niej jakaś kobieta i oznajmia, że chodzi ze Spence'em od września i bardzo się kochają, więc chce, żeby Cathleen odczepiła się od jej chłopaka. Cathleen nie może w to uwierzyć, dzwoni do Spence'a, pyta go wprost, a on się wszystkiego wypiera. Zaklina się na wszystkie świętości, że w opowieści tej kobiety nie ma krzty prawdy. Mówi, że tamta jest pomyłona, i w kółko zapewnia Cathleen o wielkiej miłości. Następnego dnia ta druga wysłała Cathleen maila ze zdjęciami zrobionymi w mieszkaniu Spence'a. Na jednym z nich, jak jednak rozumiem, nie pornograficznym, ona i Spence leżą nędzy w łóżku.

- Sympatyczne.

- Ta Cathleen przeczytała moją książkę i chce zasięgnąć opinii.

- Na temat Spence'a? Holly kiwnęła głową.

- Uważa mnie za eksperta od Spence'a czy kogoś w tym rodzaju. - Uśmiechnęła się skromnie, wzruszając przy tym ramionami. - Którym w pewnym sensie jestem. Zabawne w tym wszystkim, że traktuje moją książkę jako argument przeciwko niemu, jako dowód, że jest seryjnym oszustem, a przecież przy wszystkich swoich wadach Spence nigdy mnie nie oszukiwał.

- Myślę, że jednak tak - powiedział Leonard.

- Nic podobnego! - zaprzeczyła Holly. - Nigdy. Dołoży-

łam to do książki, żeby rozbudować fabułę. Gdy powiedziałam jej o tym wczoraj wieczorem, wydawała się prawie rozczarowana. I nadal chce mojej rady.

- Na jaki temat?

- Chce wiedzieć, czy dać mu szansę. Kiedy mi to wszystko opowiadała, zastanawiałam się, czemu nadal bierze go pod uwagę. Czy na świecie jest aż taka posucha?

- Sama to powiedz.

- Nie wiem, nie bywam w świecie - powiedziała Holly. - Albo siedzę tutaj z tobą, albo w domu i uprawiam obłądny seks z moim dwudziestodwulatkiem.

- No...

- Co? - spytała Holly.

- Nie używaj sformułowania „obłądny seks” - ostrzegł ją Leonard. - Nie przy ludziach.

- Czemu?

- Bo każda kobieta w twoim wieku, która spotyka się z absurdalnie młodym mężczyzną, twierdzi, że seks jest obłądny.

- Taak? I co z tego?

- Brzmi to żałosnie. Holly zmarszczyła nos.

- Poważnie?

- Możesz mi wierzyć.

- Okay. Przestaną tak mówić - obiecała. - Bóg mi świadkiem, że i tak jestem wystarczająco żałosna bez rozgłaszania tego na prawo i lewo. - Zdjęła nogi z biurka i odwróciła się do monitora. Przewinęła do końca tekst sceny, nad którą pracowali, usiłując sobie przypomnieć, na czym stanęli. - Skończmy to, żebyśmy mogli wyskoczyć do kina.

- Żadnych fdmów! - zastrzegł Leonard. - Dziś piątek. Nie chodzę do kina w piątki.

- Niby dlaczego?

- Bo robię się tam nerwowy. Ta kupa ludzi blisko mnie...

- Przestań.

- Mówię serio. Dostaję ataku paniki.

- Boisz się siedzieć w zatłoczonym kinie, ale nie masz zahamowań, żeby zrobić loda obcemu facetowi w publicznej toalecie - podsumowała Holly. - To jakoś nie budzi w tobie lęku.

- Mam skomplikowaną psychikę.

Leonard rzeczywiście miał skomplikowaną psychikę. Złapał się na rozmyślaniach na ten temat nieco później, o trzeciej nad ranem, w wygodnej i stosunkowo bezpiecznej przystani własnego łóżka. Leżał z szeroko otwartymi oczami. Otrzeźwiał na tyle, żeby przypomnieć sobie, dlaczego nie lubi być trzeźwy. Zdecydowanie nie w nocy, nie po ciemku i nie w samotności. Oczywiście, miał tabletkę na ten stan, ale postanowił jej nie brać. Całe życie cierpiał na bezsenność. Uważał ją za integralną część swej natury i uznawał, że nie byłoby mądrze walczyć z nią za pomocą leków.

Gdzie podziały się wszystkie pieniądze? - dumał, gapiąc się w sufit.

To był jego sposób na bezsenność. Wspominał, jaki był bogaty, i dociekał, co, do diabła, właściwie się stało. Jak bardzo był bogaty w najlepszym okresie? Pod koniec pierwszego kwartału dwa tysiące pierwszego roku jego majątek opiewał na dwa miliony trzysta tysięcy dolarów na czysto plus roczny dochód w wysokości półtora miliona. Jego księgowy - który zgodnie z hollywoodzką modłą kasował go na pięćdziesiąt tysięcy rocznie za otwieranie poczty, opłacanie rachunków, wypełnianie zeznań podatkowych oraz lokowanie jego pieniędzy w funduszach inwestycyjnych - co kwartał przygotowywał drobiazgowo sprawozdanie finansowe, gdzie na ostatniej stronie w zaznaczonym na czerwono okienku w lewym dolnym rogu wpisywał wartość netto aktywów. Właśnie dlatego Leonard tak dobrze zapamiętał tę kwotę. Dwa

miliony trzysta tysięcy dolarów. Gdzie się podziały te pieniądze?

Problem częściowo wziął się stąd, że jego pensja, rosnąc w tak zawrotnym tempie, nie wydawała mu się realna. Pieniądze to strumień energii i musisz pozwolić mu płynąć. Nie kiś ich w banku, daj im przepływać, wypuszczaj je w świat, a będą do ciebie wracały. Pod warunkiem, że nie trafią do dealerów narkotyków. Być może zaważyło przywiązanie Leonarda do modelu myślenia o dostatku w stylu New Age. Oczywiście, nie wszystko poszło na narkotyki. Wydał trochę na działalność charytatywną. Tak, na szlachetne cele. Na zapobieganie AIDS, dla ubogich, na morskie żółwie. Miał dobre samopoczucie, wypisując tamte czeki. Kiedy podpisał drugi kontrakt, kupił kawałek lasu deszczowego w Ugandzie i zmienił go w rezerwat przyrody. Dwadzieścia hektarów dziewiczego tropikalnego lasu deszczowego, kupione dla zachowania w stanie naturalnym po wieczne czasy! Oczywiście, w chwilach najczarniejszych myśli poważnie zastanawiał się nad sprzedażą. Jaką miał bowiem pewność, że Afrykańczycy nie zdewastują swego zakątka świata? Czy myśmy dobrowolnie nie dokonali spustoszenia w naszym? Czy nie na tym właśnie polegała rewolucja przemysłowa? Czy nie wyczytał gdzieś, że kraje Trzeciego Świata nigdy nie nadrobią zaległości, jeśli nie pozwoli im się maksymalnie wykorzystywać zasobów? Kurde, te tereny mogły już zyskać na wartości! Posunął się nawet do tego, że kilka tygodni temu zadzwonił do swego księgowego i poruszył ten temat.

- Nie możesz tego sprzedać - poinformował księgowy. - Nie masz prawa własności.

- Wydawało mi się, że kupiłem ten teren.

- Kupiłeś. Kupiłeś i przekazałeś Organizacji Ochrony Przyrody. Teraz do niej należy.

- Cholera!

- No, zgadza się, cholera. Trzeba było mnie słuchać.

Tak więc pieniądze zostały na zawsze stracone. Przesłano mu w prezencie plakietkę z wizerunkiem kaczki. Chodził po domu, walcząc z uczuciem wstydu za każdym razem, gdy natrafił spojrzeniem na takie przedmioty jak plakietka z kaczką czy toster w kształcie aerodynamicznego wagonu, który parkował na blacie w kuchni. Co prawda kosztował tylko czterysta dolarów, ale i tak było mu głupio, odkąd Holly go oświeciła, że można dostać toster za dwadzieścia dolców. Miał też sporo mebli robionych na zamówienie, których nie należy mylić z antykami, bo te przedstawiają wartość, gdy chce się je zbyć. Problem z wartością netto aktywów Leonarda polegał na tym, że obejmowały takie rzeczy jak obrazy, meble i zegarek od Cartiera za dwadzieścia tysięcy, podarowany facetowi o imieniu Digger, który zniknął wraz z zegarkiem i sporą ilością gotówki przemienioną na kokainę i ciuchy od Prądy. Tak więc wartość netto Leonarda była „miękką”. Księgowy usiłował mu to wytłumaczyć. Jest coś takiego jak „miękkie” i „twarde” kwoty. Pięćdziesiąt tysięcy, które płacił księgowemu, było najwyraźniej „twardą” kwotą. Inwestycje zaś okazały się „miękkie” ze względu na spadek wartości akcji w początkowym okresie prezydentury Busha, który to okres zbiegł się z nagłą potrzebą płynności finansowej Leonarda. Niech diabli porwą Busha! Dochód Leonarda stał się niesamowicie „miękką” pozycją, bo w drugim kwartale dwa tysiące pierwszego roku spadł do zera, kiedy Leonard doszedł do wniosku, że nie ma już ochoty pisać dla sitcomów.

I to właśnie, z grubsza biorąc, stało się z pieniędzmi Leonarda. Film. Usiadł. Zapalił lampkę przy łóżku, łyknął klonopin i włączył telewizor.

Stara zasada wu-wei

Miejsce, które Amanda wybrała na środowy lunch, było potwornym przykładem typowego modnego bistra: ogólnie znieawidzone, duszne, zatłoczone i gwarne, a jednocześnie przyciągające modelki. Menu było niesamowicie bogate, sześć cieniutkich żółtych, laminowanych kartek, pokrytych gęsto grubym czarnym drukiem; niekończąca się lista dań, poznaczona tu i tam dodatkowymi informacjami, o jakich porach dana potrawa może lub nie może być zamawiana, co serwuje się wyłącznie w weekendy albo we wtorki, i to tylko między czwartą po południu a jedenastą wieczór. Był to rodzaj menu, który nieodłącznie przywodził Holly na myśl zabawę pod tytułem „Rzeczy, jakie należy próbować zamówić w restauracji”. Befszyk tatarski. Ceviche de pescado. Flądra po ki-jowsku.

- Jestem - zameldowała, wślizgując się do boksu.
- Dzięki, że się zdecydowałaś - powiedziała Amanda.
- Nie znoszę tego miejsca.
- Wiem. Przepraszam. Nie przyszło mi na myśl żadne inne, gdzie mogłybyśmy się spotkać.
- Nadal nie wiem, co ja tu robię.
- Jesteś tu, żeby zjeść ze mną lunch i być może poznać mego znajomego, o ile się pokaże, co wcale nie jest pewne -

przypomniała Amanda. - Kto wie? Może między wami zaiskrzy.
- Wytłumacz mi jeszcze raz - poprosiła Holly. - Co ty właściwie robisz z tym facetem? Wydawało mi się, że jesteś szczęśliwa z Markiem.

- Jesteśmy szczęśliwi - potwierdziła Amanda. - Sama nie wiem. Wiesz, że kocham Marka.

- Tym bardziej nie rozumiem.

- Nie musi się mieć zaraz jakichś wielkich planów.

- Nie musi się - przyznała Holly. - Lecz ty zazwyczaj masz, a ja usiłuję dojść, co jest grane.

- Możemy zmienić temat? - zapytała Amanda. - W tej chwili nie chcę o tym myśleć.

- W porządku.

- Nie chce mi się myśleć o niczym. Spróbujmy pożyć chwilą.

- Dobra. Świetnie - zgodziła się Holly. Otworzyła menu i prześliznęła się wzrokiem po pierwszej stronie. *Owoce morza po prowansalsku, serwowane **jedynie** w niedzielę, **wyłącznie** od pierwszej po południu.* - Jak się ma twoje słodkie maleństwo, które kocha tatusia i nie chce widywać go wyłącznie w co drugi weekend?

Amanda spojrzała na nią zdziwiona.

- No co? To się właśnie dzieje w tej chwili. Akurat przyszło mi na myśl. Staram się honorować naszą umowę - powiedziała Holly.

Twarz Amandy rozpromieniła się.

- Och. Przyszedeł!

Pomachała do mężczyzny, który stał przy kontuarze z kasą. Był przystojny, ale raczej niechłujny. Miał krótkie brązowe włosy, sterczące w różne strony pod dość nienaturalnym kątem, co według Holly wskazywało na środki do straszenia włosów oraz suszarkę, a nie poduszkę i zwykły przypadek.

Wsunął się do boksu, zajmując miejsce obok Amandy.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Nie szkodzi. Dopiero przyszliśmy. To moja przyjaciółka, Holly - przedstawiła swą towarzyszkę Amanda. - Holly, poznaj Jacka.

- Miło mi - powiedział.

- Mnie również - odparła Holly.

- Och, zanim zapomnę! - Jack sięgnął do torby na ramieniu, wyjął pudełko z CD i wręczył je Amandzie. - Wypaliłem ci cidik z muzyką, o której rozmawialiśmy, i dorzuciłem parę kawałków, które, jak myślę, mogą ci się spodobać.

- Dzięki.

- Nie muszą ci się podobać - zaznaczył.

- Na pewno się spodobają.

Holly pochwyciła spojrzenie Amandy i uniosła prawą brew. Nie każdy potrafi unieść jedną brew, a czasami ta sztuczka okazuje się bardzo przydatna.

- Nie wiem, czy ci mówiłam... - Amanda zwróciła się do Jacka. - ...że Holly jest pisarką.

- Jak miło.

- Naprawdę - powiedziała Amanda. - Wiosną wyszła jej książka.

- Została wydana? - spytał. Spojrzał na Holly z nieco większym zainteresowaniem. - Słyszałem o niej?

- Nie wiem.

- Jaki tytuł?

Holly poczuła zażenowanie, jakie ogarniało ją za każdym razem, kiedy musiała podać tytuł, wymyślony przez jakiegoś geniusza z działu marketingu, którego celem było odarcie Holly z literackiej wiarygodności już na progu kariery.

- *Cześć, panie dręczycielu.*

- Aha - powiedział Jack, kiwając ze zrozumieniem głową. - Pojmuję. To jedna z tych powieści o dziewczynach? To, co nazywają literaturą kobiecą?

- Tak. - Posłała mu promienny uśmiech. - Napisana w całości szminką do ust.

- Holly nie lubi, kiedy ludzie zaliczają jej książkę do literatury kobiecej - wyjaśniła Amanda.

- Hej, uwielbiam takie rzeczy! - zachwycił się Jack. - Mówię serio. Podsuń mi powieść, w której jest coś o kupowaniu butów, parę nieudanych randek, dorzucić niańkę i może jeszcze jakiś zabawny wypadek z pojemniczkiem samoopalacza, a na pewno jej nie odłożę. Nie wiem dlaczego. Być może nie zauważyłem, że gdzieś tam mam zakamuflowaną pochwę.

- Książka Holly jest naprawdę dobra - zapewniła Amanda. - Nie ma w niej nic o butach ani o innych takich.

- Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie - zwrócił się Jack do Holly. - Czy ona w końcu zdobywa faceta?

Holly zmrużyła oczy i przez chwilę milczała.

- Hmm, jak sądzę, bohaterka w końcu go zdobywa. W pewnym sensie. Lecz tak naprawdę nie chodzi o „zdobycie faceta”...

- Nic więcej nie mów - przerwał Jack, unosząc rękę. Podeszedł kelner z trzema filiżankami kawy i postawił je

z takim brzękiem, chybotaniem i chlupnięciem, że równie dobrze mógłby powiedzieć: „Gdybym mógł, zabiłbym was i wasze rodziny”.

- A... co słyhać w pracy? - Amanda zwróciła się do Jacka.

- W porządku.

- Ciągłe masz takie dziwaczne układy z nowym szefem?

- Poniekąd, ale zmieniłem podejście. Próbuję pozwalać sprawom toczyć się swoim torem - powiedział Jack. - Ćwiczę na nim wu-wei.

- Ach, tak! - skojarzyła Amanda. - Starożytna zasada wu-wei. Niedziałanie.

- Co to znaczy? - zainteresowała się Holly.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewna - wyznała Amanda. - Jack, wytłumacz to jeszcze raz.

- Jeżeli pozwalasz wydarzeniom biec tak, jak biec mają, nie ingerując i niczego nie narzucając, jesteś w harmonii z tao i wszystko potoczy się jak należy. To odczuwanie i działanie w zgodzie z tym, co uważasz za dobre dla siebie.

- Słowem, robisz, co ci się podoba, i niech będzie, co ma być? To jest twoja filozofia życiowa? - dociekała Holly. - Ciekawe.

- A co? - spytał Jack.

- A to, że taką samą filozofię wyznaje mój dwuletni siostrzeniec. Powinniście założyć sektę.

- Czemu? A jaka jest twoja filozofia?

- Tak na poczekaniu? - zapytała Holly. - Co powiesz na „rób to, co należy”?

- Nie przejmuj się Holly - powiedziała Amanda do Jacka. - Od piętnastu lat mieszka na Manhattanie, ale pozostały jej resztki chrześcijańskich zapędów.

- Gdzie tu widzisz chrześcijańskie zapędy? - obruszyła się Holly.

- Zaufaj mi - odparła Amanda.

Holly naprawdę miała nieco chrześcijańskich skłonności. Nic nie mogła na to poradzić. Została w taki sposób ukształtowana, podobnie jak niektóre dziewczynki ukształtowano na „piękności z Południa” czy na gimnastyczki olimpijskie. Jej wychowanie było równie rygorystyczne i równie trudno przychodziło uwolnić się spod jego wpływów. Zajęło jej to większą część dorosłego życia i w dużej mierze zakończyło się powodzeniem. Można powiedzieć, że odwaliała kawał dobrej roboty, bo pewna liczba chrześcijan, którzy znali ją w czasach, gdy była jedną z nich, obecnie żywiła święte przekonanie, że Holly spędzi wieczność w piekle. Naturalnie, według tych szczególnych ludzi wszyscy zresztą mieli wylądować w piekle, Holly więc starała się nie brać ich słów do serca,

jednak kiedy rodzona matka zaczyna przysyłać listy, w których stara się nakłonić córkę do powrotu na łono Chrystusa, zanim będzie za późno... Cóż, można uznać, że odniosła sukces.

- Czy - zaczęła - staliśmy się aż tak wyrafinowani, że zatarła się nam różnica między dobrem i złem?

- Według mnie wszystko zależy od tego, czyjej definicji użyjemy na określenie dobra i zła - odpowiedział Jack. - Bo można również przyjąć, że stan tao jest dobrem, nawet kiedy dochodzi do konfliktu z konwencjonalnie pojmowaną moralnością.

- Jack jest zdeklarowanym buddystą - wtrąciła Amanda.

- Wcale nie.

- Naprawdę? Myślałam, że jesteś - zdziwiła się Amanda. Wyglądała na zagubioną.

- Cóż, jestem, ale nie lubię się tak określać - odparł. - Ludzie mają na ten temat różne opinie, bywają uprzedzeni i dlatego nie mam ochoty rozgłaszać na prawo i lewo: „jestem buddystą”.

- Nie rozumiem - powiedziała Holly. - Wiesz co? Nie obchodzi mnie, czy jesteś buddystą, czy nie, ale nie podoba mi się, że skoro nim jesteś, nie chcesz się do tego przyznawać.

Jack odchylił się na oparcie i splótł ramiona na piersi.

- Nawet nie jestem pewien, co to znaczy „być zdeklarowanym buddystą”.

- Czy on jest poważny? - Holly zwróciła się do Amandy. - Mówisz serio? - spytała Jacka. - Nawet jeśli jesteś tylko na poły buddystą, powinieneś wiedzieć, co to oznacza.

- Myślę, że być może zawodzi nas tu język - powiedział Jack.

- Mnie nie zawodzi - zapewniła Holly. - Dobrze władam językiem. Po prostu usiłuję to wszystko pojąć.

- Zmieńmy temat - zaproponowała Amanda. - Naprawdę. Słuchajcie, co zamawiamy?

- Ja chyba wezmę cheeseburgera - oznajmił Jack. Holly wydała teatralne westchnienie i zamknęła swoje menu.

- Tak, wiecie co? Trochę się porobiło. Powinam teraz... -Spojrzała na zegarek i wysunęła się z boku. - ...być gdzie indziej.

- Zostań - poprosiła Amanda.

- Nie, przepraszam, muszę iść. Jack, cieszę się, że cię poznałam, naprawdę było miło. Pewnie się jeszcze kiedyś spotkamy.

- Ja też się cieszę.

- Zadzwoń do mnie - rzuciła do Amandy.

Należy prawdopodobnie wspomnieć w tym miejscu, że to nie było pierwsze otarcie się Amandy o zdradę małżeńską. Kilka miesięcy po narodzinach Jacoba zaczęła po południu wozić go na spacer do pobliskiego parku, żeby zabić czas, który włókł się niemiłosiernie między lunchem a kolacją. Amanda odkryła, że to jedna z tych rzeczy, których nikt jej nie przekazał, a mianowicie nowe sposoby na zabicie czasu, pojawiające się wraz z dzieckiem. W parku było pełno dostojnie poruszających się niań, starych kobiet w kardiganach oraz urzędników jedzących kanapki. Po kilku tygodniach zaczęła wymieniać ukłony ze stałymi bywalcami, pośród których był pewien mężczyzna, jak się okazało „pełnoetatowy tata”. Miał na imię Noel, chodził w sfatygowanej czapeczce Red Soxów, w kamizelce typu „safari” w kolorze khaki i w okularach z drucianymi oprawkami. W kieszeniach kamizelki nosił poupychane smoczki, herbatniki, nawilżane chusteczki dla niemowląt oraz krakersy w kształcie rybek. Amanda zaczęła ich pierwszą rozmowę od pochwały jego dobrej organizacji, kiedy wyłowił z torby opatrunek z plastrem dla zapłakanego trzylatka. Potem nastąpiła sympatyczna wymia-

na zdań na temat niekończącej się, jak się wydaje, listy przedmiotów niezbędnych dla małego człowieczka, o godzinach spędzanych na przewracaniu w torbie z niemowlęcymi akcesoriami i próbach zapamiętania, gdzie co zostało upchnięte. Następnego dnia Noel znowu pojawił się w parku, więc usiedli razem na ławce, wystawiając twarze do ostrego popołudniowego słońca. Rozmawiali o filmie, zdobywcy Prix du Jury w Cannes, który oboje widzieli na kanale Showtime poprzedniego wieczoru.

- Nie da się zrozumieć Francuzów - orzekł Noel.

W następnych tygodniach wpadli w swojego rodzaju rutynę. Przesiadali na ławce i rozmawiali o ulubionych książkach, o filmach, które chcieli obejrzeć, i o tym, co słyhać w okolicy. Przyjemnie - doszli wspólnie do wniosku - porozmawiać z innym „pełnoetatowym rodzicem”, który nie ma ochoty gadać bez przerwy o dzieciach. Z czasem z różnych fragmentów rozmowy Amanda poskładała coś, co nazwała historią Noela. Zajmował się reasekuracją, a więc czymś, co miało związek z ubezpieczaniem przedsiębiorstw. Wykonywał jedną z tych przytłaczających biurowych prac, które według Amandy celowały w bezsensowności, a przerwę w życiu zawodowym po narodzinach córki wykorzystywał na odnalezienie siebie. Żona była dyrektorem naczelnym w HSBC, pracowała czternaście godzin na dobę i raz w miesiącu latała do Hongkongu, skąd FedExem przysyłała pokarm w specjalnych pojemnikach utrzymujących odpowiednią temperaturę, które kupiła od opiekuna małp w zoo na Bronksie. I chociaż Noel nigdy tego wyraźnie nie powiedział, Amanda wyczuwała, że żona była znacznie lepiej ustawiona zawodowo i w pewnym momencie jego rezygnacja z pracy okazała się mniej kłopotliwym wyjściem.

Na początku znajomości z Noelem Amanda podczas kolacji opowiedziała Markowi o nim. Mark należał do tych mężczyzn, którzy całodzienną opiekę nad dzieckiem zwyczajowo

podsumowują zwrotem: „Ja bym nie dał rady”. Powtarzał to ostentacyjnie na przyjęciach i podczas wizyt u teściów, traktując to jako komplement dla Amandy: „Jest wspaniała! Świetnie sobie radzi!”. W gruncie rzeczy jednakże dawał tylko do zrozumienia, że niekończące się, bezmyślne obowiązki rodzicielskie są zajęciem dla ludzi, którzy mają watę cukrową w miejscu, gdzie powinien być mózg. Marka fascynował Amant Amandy z Parku, jak zwykł nazywać Noela, i po powrocie z pracy lubił dla rozrywki wypytywać o żałosne widoki Noela na karierę zawodową, o to, ile więcej jego żona zarabia niż on i jak rozwija się „romans”.

To było jedno z idealnych październikowych popołudni w Nowym Jorku, gdy eksplozja pomarańczy i żółci na tle czystego błękitu nieba każe myśleć o życiu przeciekającym przez palce i o tym, że już kiedyś nasza cię taka jesienna refleksja i pewnie jeszcze cię najdzie, a któregoś dnia już jej nie doświadczysz, bo będziesz martwy. Amanda i Noel, jak zwykle, siedzieli na ławce i rozmawiali o barach sushi. W pewnej chwili Noel wyciągnął rękę i odgarnął jej z twarzy luźne pasemko włosów, muskając wierzchem palców policzek - celowo, jak później uznała - i wtedy między nimi zaiskrzyło. Płonąc na całym ciele, znieruchomiała jak sarna schwytna w światła reflektorów. Zapamiętała tamtą przelotną myśl „a więc to właśnie jest chemia”. Noel jednoznacznie patrzył jej w oczy. Podchwyciła jego spojrzenie.

Oszołomiona, popychała wózek do domu. O wpół do siódmej wcisnęła w buzię Jacoba pełną strzykawkę benadrylu* dla dzieci i położyła go spać bez kąpieli i bajki na dobranoc. Na szafce w kuchni zostawiła wiadomość dla Marka, żeby był tak miły i sam zrobił sobie kolację, bo ona nie czuje się najlepiej. Potem weszła do łóżka i zgasiła światło. Nie chciało jej się zbierać zabawek, myć naczyń ani dzwonić do matki.

*Środek łagodzący objawy alergii.

Nadal była rozgniewana. Raz po raz wracała myślami do sceny w parku, przeżywając na nowo dotyk palców Noela na policzku, wzbierające uczucie ciepła i jego wszystko mówiący wzrok. Propozycja była jasna, chociaż nie padły żadne słowa. Wystarczyło jedynie ją przyjąć. Wyobrażała sobie dotyk jego dłoni na ciele i pocałunki, prawdziwe pocałunki. Chce tylko -mówiła sobie - być całowana, nic więcej. Postanowiła nazajutrz ogolić nogi przed wyjściem do parku. Tak na wszelki wypadek. O północy Mark wśliznął się do łóżka, a ona udała, że śpi. O czwartej nad ranem dopisała zakończenie do tej historii: poczucie winy, nieodwracalna krzywda wyrządzona małżeństwu, synkowi oraz córeczce Noela, zrujnowane życie, zawiedzione zaufanie, spekulacje, gdzie by zamieszkała, co by robiła, beznadzieja egzystencji samotnej matki.

Nigdy więcej nie zawiozła Jacoba do parku. Po kilku tygodniach podniecenie przybladło, a świadomość, że ocaliła swe życie w takiej postaci, w jakiej je zna, niosła pocieszenie. Na widok Marka całującego Jacoba w czubek bezwłosej główki przed wyjściem do pracy spływała na nią ulga. A jednak, kiedy życie wróciło do normy i codzienność odzyskała swój rytm, Amanda nie mogła się pozbyć myśli, że może nic takiego by się nie stało, gdyby posunęła się nieco dalej, może szkoda, że nie podfrunęła bliżej płomienia.

Platoński ideał niezwykłości

Betsy Silverstein była tylko w połowie Żydówką, lecz w wypadku Betsy połowa to bardzo dużo. Znalazła się na przyjęciu, na którym być nie chciała, wyprawionym przez kogoś, kogo nie znała, w pokoju pełnym ludzi, których poznać nie miała ochoty. To było przyjęcie z tych, które sprawiają, że człowieka bierze chęć się zabić. Wszyscy poza nią wyraźnie dobrze się bawili. Usiłowała przypomnieć sobie radę terapeutki na takie okazje. Nie porównuj swych uczuć z pozorami, jakie stwarzają inni ludzie. Było to trudne, bo właśnie tę czynność Betsy lubiła najbardziej.

Stała przy regale, udając zainteresowanie książkami. Ślizgała się wzrokiem po tytułach, lecz mózg pracował na zupełnie innej fali, usiłując nadać sens sytuacji, w jakiej się znalazła. Pierwszą bijącą po oczach rzeczą była jaskraworóżowa poświata fluorescencyjnych żarówek na suficie. W tym dezorientującym świetle człowiek czuł się jak pijany albo naćpany, chociaż ani się nie napił, ani nie naćpał. I to wrażenie wcale nie było przyjemne - uznała Betsy. Czuła się jakoś zagubiona, oszołomiona i samotna. Z czego zrobiono stół w jadalni? Z blachy? W każdym razie z czegoś strasznie błyszczącego, a rolę krzeseł pełniło sześć dużych gumowych piłek, takich jak w siłowniach, umieszczonych na niewielkich sre-

brzystych podstawkach. Betsy piła wódkę ze szklanki do soku, takiej samej, jakie miała jej babka - niskiej i szerokiej, z wytartym, przybladłym złotym wzorkiem. Wszystko starannie przemyślane: fluorescencyjne światła i biały dywan, gimnastyczne piłki i szklanki z pchlego targu, bela siana owinięta folią, pełniąca rolę otomany, stara opona dyndająca na wysokości ponad trzech metrów, pod sufitem w holu. Wszystko obliczone na szpan - mamy styl, jesteśmy ekscentryczni, oryginalni i nie traktujemy się zbyt poważnie.

Betsy spojrzała na swoje stopy i skrzywiła się z niesmakiem. Goście musieli zdjąć buty, żeby nie nanieść brudu na biały dywan. Jeśli ktoś nie życzył sobie zdjąć butów, musiał nałożyć papucie ochronne z białej flaneli, rozdawane przez panią domu. Papucie wyglądały jak worki na drugie śniadanie, ściągane u góry sznurkiem. Betsy zdecydowała się na ochraniacze, bo w butach na obcasach lepiej wygląda pupa i uwydatnia się biust. Teraz, stojąc tak i dyskretnie lustrując pokój, musiała przyznać, że popełniła błąd. Czterdzieści procent pań chodziło na bosaka, sześćdziesiąt miało papucie i wszystkie wyglądały w nich idiotycznie. Jedyne gospodyni prezentowała się dobrze, paradując w pantofelkach na dziesięciocentymetrowych obcasach, które, jak Betsy podsłuchiwała, nazwała domowymi klapkami. Betsy zaswędziała ręką, tak miała ochotę czymś rzucić w tę kobietę.

Zamajaczyła znajoma twarz. Spence Samuelson. Nareszcie ktoś! Zbliżył się spacerowym krokiem, w skarpetkach. Cmoknął ją w policzek.

- Hej, skarbie wyglądasz kapitalnie - pochwalił.

Betsy rzeczywiście wyglądała kapitalnie. Właściwe określenie. A dokładniej, wyglądała na dwadzieścia osiem lat, mając trzydzieści siedem, co było niesamowite. Wyglądała zresztą na dwadzieścia osiem lat od dwudziestego czwartego roku życia, lecz utrzymanie tego wyglądu wymagało coraz trudniejszych, coraz bardziej niezwykłych i zdumiewających za-

biegów. Niemniej w tym akurat momencie życia osiągnęła coś w rodzaju platońskiego ideału niezwykłości. Znajdowała się u szczytu niezwykłości. Wspięła się na szczyt i chyba teraz zacznie się z niego zsuwać.

- Czy będziemy tu wywoływać zdjęcia? - zapytał Spence.

- Okropne, nie?

- Czy jestem marudny, czy tobie też wydaje się dziwne, że ta kobieta wychowuje małe dziecko w mieszkaniu z czerwonym fluorescencyjnym oświetleniem?

- Gdzieś tu muszą być jakieś normalne lampy.

- Znajdź chociaż jedną - odparł Spence.

Nigdzie ani śladu zwykłych lamp. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś naprawdę może mieszkać w tym miejscu, a tym bardziej kobieta z małym dzieckiem. To była jedna z tych dziwnych miejskich egzystencji, gdzie prawdziwe życie toczy się na coraz bardziej ograniczonej przestrzeni. W tym konkretnym wypadku - w wydzielonym szafą z długiego korytarza wilgotnym pomieszczeniu pozbawionym okien, zagraconym utensyliami codziennego życia. Betsy przypadkiem odkryła to miejsce, kiedy udała się na poszukiwanie łazienki. To było jak otwarcie drzwi do równoległego istniejącego świata, gdzie obrazki namalowane palcami wisiały przy-czepione taśmą do ścian i gdzie naprawdę istniały kalendarze, futerały na okulary, czasopisma, książki telefoniczne, magnesy z literkami oraz tablice do przypinania „sklerotek”.

- Jak leci? - zapytał Spence.

- Wszystko po staremu - odpowiedziała, uśmiechając się promiennie.

- Co słyhać u twego małego braciszka?

- U Lucasa? W porządku. Chyba przeżywa namiętny romans, jak to dwudziestodwulatek.

- A ty? Z kim teraz sypiasz?

- Z nikim.

- Nie wierzę.

- Uwierz - powiedziała tonem, który świadczył o tym, że mówi serio. Betsy nie uprawiała seksu, takiego seksu-seksu, prawdziwego seksu, od dwustu pięćdziesięciu trzech dni. W trzydzieste siódme urodziny postanowiła, że się z nikim nie prześpi, o ile nie zaangażuje się w związek z przyszłością, i powoli zaczynało do niej docierać, co się dzieje, kiedy kobieta w jej wieku podejmuje taką decyzję. Nie ma już widoków na seks.

- Jak to możliwe? - zdziwił się Spence. - Musimy ci kogoś znaleźć.
- Proszę bardzo. Wyzbyłam się dumy.
- Niech pomyślę - zastanawiał się na głos Spence.
- Zgadzam się na faceta do sześćdziesiątki - powiedziała Betsy. - Do sześćdziesięciu pięciu, jeśli w dobrej kondycji.
- Muszę kogoś takiego znać.
- A ten twój przyjaciel, Ed?

Spence mieszkał z Edem w jednym pokoju podczas studiów w Brown University. Obecnie Ed był w trakcie rozwodu, nie miał dzieci i Betsy wykombinowała, że mogłaby z nim spróbować.

- Właściwie wspomniałem mu o tobie.
- Tak?
- Uhm.
- Co powiedział?
- Nic takiego.

Betsy czujnie spojrzała mu w twarz. Nawet w mdławej, różowej poświacie zauważyła, że Spence coś ukrywa.

- Cholera! - zaklął.
- Mów.
- Nie ma o czym. Facet jest popaprany.
- Co powiedział? Powiedz mi prawdę.
- Nie wiem, czy powinienem to powtarzać.
- Mów - naciskała. - Zaufaj mi.

Spence przyjrzał się jej badawczo. Miała taką minę, jakby naprawdę chciała się dowiedzieć.

- Dobrze, ale przede wszystkim musisz zrozumieć, że to kompletne bzdury i on nie wiedział, co gada. Oznajmił, że nie chce się z tobą wiązać, bo planuje mieć dzieci.

Przed oczyma Betsy zawirowały kolorowe plamki.

- Oświadczyłem mu, że jest idiotą, bo ty oczywiście możesz mieć dzieci. Facet jest głupi i nie wie, co mówi. Mam starszą siostrę, więc się na tym znam. Pokłóciłem się z nim. Poważnie. Nawet nie wiem, czy nadal jesteśmy przyjaciółmi. Nie chciałybyś chodzić z kimś takim. Uwierz mi. Znajdziemy ci kogoś milion razy lepszego. Co powiesz na tego gościa? -Skinieniem głowy wskazał rudowłosego mężczyznę w garniturze, stojącego przy piramidzie czekoladowych ciasteczek.

- Kto to?

- Nie mam pojęcia. Ale podejść do niego, zagadam i podam ci go na srebrnej tacy.

- Dziękuję, raczej nie.

- Nadawałby się na twego męża. Chyba powinnaś go poznać.

- Jasne - mruknęła Betsy. Kręciło jej się w głowie i czuła, że poci się jej pupa. -I tak miałam się stąd zrywać.

- Spieprzyłem sprawę, co? - zmartwił się Spence. - Cholera! Nie powinienem był ci mówić. Wypiłem pięć wódek z tonikiem. Ed to dureń. Nie ma pojęcia o tych sprawach. Spójrz tylko na siebie. Wyglądasz niesamowicie.

Betsy uśmiechnęła się.

- Jesteś miła, zabawna i mądra. Wszyscy cię kochają -mówił Spence. - Ja cię kocham. Poważnie, uważam, że nasze gwiazdy mają się ku sobie. Właśnie rzuciła mnie moja dziewczyna z Kolorado. Chodź do mnie. Ulecz me złamane serce.

- Nic mi nie jest. Naprawdę.

- Słowo?

- Słowo.

- W takim razie pocałuj mnie, moja piękna.

Betsy nadstawiła policzek. Złożył na nim siarczystego całusa i przycisnął ją mocno do siebie, wyrażając tym gestem zarówno serdeczność, jak i współczucie. Czowała na sobie jego wzrok, kiedy szła przez pokój, starając się stąpać z taką godnością, na jaką stać kogoś w ochraniaczach z białej flaneli nałożonych na pantofle z siedmioipółcentymetrowymi obcasami.

Jak coś takiego mogło ją spotkać? - zastanawiała się po raz enty, gdy taksówka sunęła w deszczu po Madison Avenue, wyłapując kolejne czerwone światła. Betsy dostała duszności. Zgięła się wół, wsunęła głowę między kolana i spróbowwała oddychać przez nos. Kanapa w taksówce ohydnie cuchnęła. Ten odór, tak jak wączanie soli, natychmiast ją otrzeźwił, sprowadzając jasność myśli. Miała trzydzieści siedem lat, była sama jak palec, a mężczyzna, z którym studiowała, jej rówieśnik, nie zgodził się z nią umówić, bo chciał mieć dzieci. I na tym nie koniec. Wcześniej tego dnia Betsy jadła lunch z Nathanem, byłym chłopakiem. Nathan też miał swój wkład w zrujnowanie jej życia (ożenił się z Gail, kobietą, z którą, według jego słów, zaczął się spotykać zaraz po zerwaniu z Betsy, a tak naprawdę dwa tygodnie przed rozstaniem), ale Betsy nadal go lubiła i mniej więcej co pół roku spotykała się z nim na przydługim lunchu, utrzymanym w zalotnej, nie całkiem poprawnej atmosferze. Siedziała w ciemnym boksie, sącąc kieliszek czerwonego wina, kiedy Nathan wszedł do restauracji z niemowlęciem w jednym z tych idiotycznych, pikowanych nosidełek, przytroczonym do piersi. Czy on próbuje skłonić mnie do samobójstwa? - pomyślała. Jednak tkwiła tam przez dwie godziny, snując z Nathanem dwuznaczne wspomnienia, zmuszona udawać zainteresowanie oseskiem Gail! A przecież serdecznie nienawidziła Gail!

Taksówka zajechała przed apartamentowiec i Betsy we-

szła do środka. Portier siedzący na stołku przerzucał „Daily News”.

- Witam, Betsy. Udany wieczór?

- Nie nazwałabym go udanym. Taki sobie.

- Jesteś piękną kobietą, nigdy o tym nie zapominaj - powiedział. - Co wieczór czekam na twój powrót do domu, żeby sprawdzić, czy jesteś równie piękna jak poprzedniego dnia.

- Czarus z ciebie - zauważyła, wchodząc do windy.

- Staram się.

Drzwi windy zamknęły się. Betsy, oparta o boazerię, zapatrzyła się na światelka nad drzwiami.

Portier by ją bzyknął. Niewielka to pociecha, ale gdy lada moment kończy się trzydzieści osiem lat, jest się niebezpiecznie blisko chwili, kiedy nawet dwudziestotrzyletniemu Portorykańczykowi, który zarabia dziewięć dolarów na godzinę za otwieranie i zamykanie drzwi, może przejść na ciebie ochota. Jak do tego doszło? Była taka młoda! Tak długo! Miała niezłe widoki na przyszłość. Była na pięciu randkach z Lievem Schreiberem! Co prawda siedem lat temu, ale zawsze! Patrzyła, jak koleżanki wychodzą za zwykłych facetów i prowadzą zwykłe życie. Teraz przejrzała na oczy. Teraz wiedziała, lecz już było za późno.

Pies z nowotworem

Pies, który w schronisku przyciągnął uwagę Holly, nie był szczególnie urodziwy, przynajmniej nie w konwencjonalny sposób, i właśnie dlatego, jak się domyślała, ciągle tam tkwił, czekając na nieuchronny wyrok śmierci, podczas gdy szczeniętom, mopsom, irlandzkim seterom i labradorom udawało się znaleźć dom. Czarne krzaczaste brwi nadawały mu nieco komiczny wygląd, a do tego przechylał głowę, jakby nasłuchiwał cichego głosu z sąsiedniego pokoju lub zamierzał opowiedzieć kawał. Później, dla dopełnienia wizerunku, kupiła mu piszczącą gumową zabawkę - cygaro, lecz Chester - bo tak się właśnie wabił - na tyle panował nad sobą, aby demonstrować brak zainteresowania.

Holly pod wpływem chwili, po przerwaniu lunchu z Amandą i Jackiem, zajrzała do schroniska. Chester leżał zwinięty w kłębek w głębi klatki, z pyskiem opartym na łapach, wyglądając odpowiednio smętnie do okoliczności, lecz kiedy ujrzał Holly, powoli podniósł się, podszedł i delikatnie polizał trzy palce, które wsunęła w oczka metalowej siatki. To było to; już wiedziała. A jeśli Holly wbiła sobie coś do głowy, trudno ją było od tego odwieść, między innymi dlatego jej małżeństwo tak późno się rozpadło. Holly wierzyła w przeznaczenie bardziej nawet niż w miłość.

- Czyż nie jest słodki?

- Nie wiedziałem, że chcesz wziąć psa - powiedział Lucas.

Zajrzał do niej w drodze na spotkanie z kumplami, którzy właśnie założyli folkową kapelę. Chciał, żeby Holly z nim poszła - obecnie często ją zapraszał, jeśli się dokądś wybierał - lecz ona uznała, że jest za stara, aby jechać taki kawał do Red Hook tylko po to, żeby posłuchać, jak trzech szczawików podgrywa na tarach i śpiewa: *My Bucket 's Got a Hole in It*.

- To nabytek pod wpływem impulsu - wyjaśniła. - Wabi się Chester.

- Chester? Poważnie? - zdziwił się Lucas. - Na pewno chcesz tak zostawić?

- Z takim imieniem tu nastał - odparła. - Nie chcę zmieniać, żeby go nie ogłupiać.

Lucas przyklęknął przy legowisku i podrapał Chestera za uszami. Pies nawet nie drgnął.

- Nie zrozum mnie źle, ale on, hmm, jest jakiś niemrawy.

- Taak, no cóż, ma guza mózgu.

- Co?!

- Właśnie dlatego wylądował w schronisku. Poprzedni właściciel nie chciał zapłacić za operację i wszystko, co się z tym wiąże, więc zostawił go tam, żeby dokonał żywota - powiedziała Holly. - Takich ludzi powinno się wystrzelać.

- No tak, ale ja nic z tego nie rozumiem - mówił Lucas. - Wzięłaś psa z guzem mózgu? Rozmyślnie?

- Z początku o tym nie wiedziałam - odrzekła Holly tonem sugerującym, że to chyba oczywiste. - Zakochałam się w nim, a kiedy oznajmiłam, że chcę go wziąć, kobieta prowadząca schronisko zapoznała mnie z sytuacją. Wtedy już nie mogłam powiedzieć Chesterowi, że chciałam go, lecz skoro się okazało, że nie jest idealny, rezygnuję i życzę mu szczęścia, niech bawi się dobrze w komorze gazowej, a ja pójdę poszukać psa bez guza.

- Wiesz co? To nie byłoby żadne szaleństwo.
- Nie mogłam tego zrobić.
- W takim razie co z nim będzie?
- Wytną mu ten guz. Schronisko znalazło weterynarza, który się zgodził to zrobić za darmo. Ja muszę tylko zapłacić za leki i zadbać o rekonwalescencję Chestera.
- To może wymagać sporo wysiłku.
- Psy często dostają raka. Z nimi jest inaczej niż z ludźmi. On nie umrze. Prawda, Chester? Nie zejdziesz, co?
- Chester bez przekonania machnął ogonem.
- Widzisz? On chce żyć.
- Później, gdy Holly robiła w kuchni grzanki Monte Christo na późną kolację, zauważyła, że Lucas manipuluje przy jej komórce.
- Co robisz?
- Instaluję ci wiadomości tekstowe - odparł.
- No nie!
- Będziesz zachwycona.
- Nie zamierzam ich wysyłać. To dobre dla młodych ludzi. Starzy tego nie robią.
- Nauczę cię.
- Nie chcę. Jestem przeciwko. Nie uznaję ich. Nie wysyłam gotowców, naprawdę nie wchodzę w takie rzeczy - powiedziała zdecydowanie. - Poza odpowiadaniem na wiadomości w poczcie głosowej. W naszej kulturze powinniśmy się zatrzymać na poczcie głosowej.
- I poda też nie chciałaś, a jednak go polubiłaś.
- I pod to wyjątek, bo on odgradza od ludzi. Wszystkie pozostałe cuda dopuszczają ich do ciebie w coraz większej liczbie.
- Wcale tak na to nie patrzysz.
- Właśnie, że tak - z uporem obstawała przy swoim. - Jestem przeciwna rozprzestrzenianiu zbędnej komunikacji. Po-

winieneś posłuchać, co wygaduje moja matka, rozmawiając ze mną przez komórkę. Najgorzej, jeśli dorwie się do komórki, gdy ojciec prowadzi samochód. Ładuje w nią wszystko, co przyszło jej do głowy w ostatnich dwóch dniach. W końcu powiedziałam: Nie wydzwaniam do mnie z komórki. O ile ktoś nie umiera, nie dzwoń do mnie z komórki. Podobnie jest ze znajomymi. Nie mam ochoty na pogawędki, kiedy czekam w kolejce w pralni chemicznej.

- Mam przestać dzwonić do ciebie z komórki?

- Nie, tak jest dobrze. Dzwonisz, żeby powiedzieć, o której będziesz. To akurat cenię - powiedziała Holly. - Dzięki temu mam czas obieć mieszkanie, pochować dowody zbrodni i sprawdzić, czy mam ogolone nogi. No i wiesz, rozjaśnić wąsy, jeśli mi się zechce.

- Nie masz wąsów.

- O ile wiesz - dopowiedziała Holly. - Nie mam wąsów, o ile wiesz. Bo zawsze dzwonisz przed przyjściem.

W tej chwili do kuchni wszedł Chester. Holly przykucnęła, a Chester położył jej łapę na kolanie. Kiedy wyciągnęła rękę, pies podał łapę.

- Popatrz tylko! - powiedziała. - Podaje łapę. Dobry piesek!

- Nie, nie! - zawołał Lucas z kanapy. - Nie pozwalaj mu na to. Nie pozwalaj mu kłaść na sobie łap.

- Czemu?

- Bo uzna, że nad tobą dominuje.

- I co z tego? - spytała Holly. - Ma guza mózgu. Może życie wyda mu się lepsze, jeśli będzie myślał, że dominuje. Prawda, Chester? Dobry piesek. Jesteś kochanym psiakiem!

- Mówię serio. Obecnie nie każą uczyć podawania łapy - powiedział Lucas. Podeszedł do blatu oddzielającego kuchnię od salonu, przysiadł na jednym z barowych stołków i spojrzął z góry na psa. - Zaufaj mi. Chester, weź łapę. Zabierz łapę.

Pies postawił łapę na podłodze i zadzierając łeb, patrzył na Lucasa.

- Słyszałaś o przewrocie alfa? - spytał Lucas.

- Nie.

- Chwytasz psa za barki, przewracasz go na grzbiet i tak długo patrzysz mu w oczy, aż odwróci wzrok. W ten sposób dajesz do zrozumienia, że to ty jesteś psem alfa. Dzięki temu czuje się bardziej bezpieczny. Bo inaczej zrobi się nerwowy i będzie miał wrażenie, że cały czas musi kontrolować sytuację.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Nie mam pojęcia. Gdzieś słyszałem - odparł Lucas. Wrzucił kostkę sera do ust. - To ogólnie wiadoma rzecz.

Amanda po raz pierwszy odniosła wrażenie, że Jack może mieć na nią ochotę, a ich mailowa korespondencja oznacza coś więcej niż nieco niepoprawną znajomość, gdy na końcu zwykłego zdania zobaczyła jedno słowo.

Co dziś robiłaś, piękna?

Co robiła tamtego dnia? Dwa tygodnie wcześniej z pracy zrezygnowała opiekunka Jacoba - z początku wymawiając się chorobą córki, potem zatruciem pokarmowym, a w końcu wypadniętym dyskiem - Amandę zaś tak to przygnębiło, że nie miała siły rozejrzeć się za nową. Opiekunka tak naprawdę była niańką Jacoba, teraz natomiast Amanda dołączyła do grupy niepracujących mam, które zgodnie z przeciwnym do ogólnego trendu snobizmem utrzymywały, że choć nie mają nianieek, potrafią tygodniowo wygospodarować dla siebie od dwudziestu do czterdziestu godzin wolnych od obecności dziecka. Amanda odkryła, że mając pomoc, ledwo jest w stanie tolerować własne życie. Bez tej pomocy miała wrażenie, że tonie. Jacob przez cały ranek uparcie ściągał książki z dwóch dolnych półek biblioteczki w salonie. Amanda uzna-

ła, że to dobra okazja, aby nauczyć go znaczenia słowa „nie”. Przez dwie godziny powtarzała „Jacob, nie!” za każdym razem, gdy malec dreptał zbyt blisko półek, a on po każdym zakazie z uporem maniaka rzucał się do książek. W południe nabrała przekonania, że zrozumiał jej słowa jako komendę „dawaj nura w książki”. W końcu się poddała. Zabarykadowała biblioteczkę kanapą i kilkoma krzesłami i kiedy stała, podziwiając swoją pomysłowość, uderzyła ją myśl, że tak właśnie będzie wyglądać jej salon przez następny rok. Wreszcie nadeszła pora na obiad. Kotleciki z tofu i krakersy w kształcie rybek. A potem drzemka Jacoba, a dla niej okazja na pierwszy prysznic od dwóch i pół dnia. Następnie obejrzała odcinek serialu *Starting Over*. Potem...

Miała ochotę się rozbeczeć. Tak wygląda jej dzień. Była zrozpaczona, nie wiedziała czemu, i nie mogła nikomu o tym powiedzieć, nie mogła nawet wyznać Jackowi, że najlepsze, co jej się zdarza, rozjaśniając dzień, są e-maile od niego. A teraz on nazwał ją piękną.

Odpisała:

Mc dziś nie robiłam. Serio, zupełnie nic.

Trzy minuty później, kiedy szła przez hol ze stertą rzeczy do prania, usłyszała stłumiony bulgot łodzi podwodnej; to komputer sygnalizował nadejście maila. Odstawiła kosz z bielizną i kliknęła na ikonkę z kopertą.

Dopiero był ranek i oto nadszedł wieczór, a nic ważnego się nie wydarzyło

-HDT

Minutę zajęło jej rozszyfrowanie inicjałów. No tak. Henry David Thoreau. Walden Pond. To był właśnie jej dzień.

- Sypiasz z kimś oprócz mnie?

Holly zastanawiała się przez chwilę, **czy** nie skłamać, bo bała się, że Lucas niewłaściwie ją zrozumie. W końcu zdecy-

dowała się na nagą prawdę, z nadzieją, że on ujrzy tę jej chwilową wierność we właściwej perspektywie.

- Nie, lecz to nic nie znaczy. Możesz mi wierzyć.

- Co masz na myśli?

- Jestem zdecydowanie monogamiczna. Z natury. Mój umysł w tym dziale ogarnia tylko tyle - wyjaśniła. - Poza tym zapewniasz mi wystarczająco dużo seksu. To mnie zniechęca do ganiań po mieście i robienia różnych rzeczy z obcymi facetami, skoro mogę je wszystkie robić z tobą. Dzięki temu unikam różnych chorób i... no wiesz, całej gamy upokorzeń wynikających z przypadkowego seksu.

Lucas ni stąd, ni zowąd chwycił Holly za ramiona, ściągnął ją z kanapy i mocował się z nią na dywanie. Wreszcie przewrócił ją na plecy i przytrzymując, popatrzył jej głęboko w oczy.

- Co to ma być? - spytała Holly.

- Przewrót psa alfa.

- Tak to wygląda?

- Tak. Jestem psem alfa i przewracam cię na łopatki.

- Całkiem mi się to podoba.

W tym momencie zadzwonił telefon. Holly wyciągnęła rękę, sięgnęła po słuchawkę i spojrzała na wyświetlacz.

- Nie będziesz mi mieć za złe, że odbiorę? - spytała Lucasa, wciąż leżąc na podłodze. - To Amanda. Dziwi się, jeśli nie odbieram.

- Nie ma problemu. Pooglądałam telewizję w sypialni. - Cmoknął ją w obojczyk i wyszedł.

- Słuchaj - zaczęła Amanda bez żadnych wstępów. - O co chodziło z tym lunchem?

Holly wróciła myślami do lunchu z Amandą i Jackiem, buddystą jedzącym cheeseburgery.

- Musiałam się zwinąć - powiedziała. - Ten facet mnie wkurzał.

- O co ci chodzi?

- Nie znoszę takiej pseudoreligijnej paplaniny. Widziałaś?! Zamówił cheeseburgera. Nikt, kto uważa się za buddystę, nie zamawia cheeseburgera! Nie może być tak, że robisz to, co ci akurat pasuje. Nie potrzebujemy do tego religii. To jest wszechobecne.

- Holly, on się nie obnosi ze swymi przekonaniem. Nie powinnam była w ogóle poruszać tego tematu.

- Taak, ale według mnie nie o to chodzi w buddyzmie. Nie uprawia się kamienistego ogrodu zen, próbując jednocześnie wyrwać mężatkę.

- Uważam, że przez twoje uwagi poczuł się niezręcznie. Byłaś dość napastliwa.

- Bo nie podoba mi się to, co jest między wami! Według mnie ta historia nikomu nie wyjdzie na dobre. Nie chodzi o żadną... - Holly usiłowała sobie przypomnieć sformułowanie użyte przez Jacka - konwencjonalnie pojmowaną moralność - zakończyła. - Po prostu niektóre grzechy pociągają za sobą pokutę.

- Kto grzeszy?! On nawet nie jest mną zainteresowany - obruszyła się Amanda. - Naprawdę, Holly, do niczego nie doszło.

- Już dobrze. Uważam po prostu, że powinnaś być ostrożna, i tyle - powiedziała Holly. - Mówię poważnie. Facet odpłynie w siną dal, a twoje życie zmieni się w szambo.

Amanda milczała, lecz nie odłożyła słuchawki. Holly słyszała jej oddech.

- Wiesz co? - odezwała się po chwili.

- Co?

- Mam psa.

To nie te same nastolatki

- Myślę, żeby w tym roku znowu wziąć udział w paradzie wspierającej walkę z AIDS - powiedział Leonard wyciągnięty na dywanie, skąd nie ruszył się od powrotu z lunchu. Przez całe popołudnie nie przesunął się nawet o centymetr.

Leonard większą część komedii pisał na leżąco, jakby już sama myśl o podniesieniu się wpędzała go w chorobę, a Holly siedziała przy klawiaturze i wiodła z nim spór. Zazwyczaj wybierał kanapę, lecz w dniach szczególnie ponurego nastroju wolał podłogę.

- Powinieneś - poparła jego plany.
- Może to mi pomoże odzyskać formę.
- Ostatnim razem dobrze się bawiłeś.
- Zasponsorujesz mnie?
- Tak - zgodziła się. - Pod jednym warunkiem.
- Jakim?
- Obiecasz, że będziesz używać prezerwatyw.
- Na paradzie czy zawsze?
- Zgodziłbyś się ich zawsze używać?
- Zgodziłbym się - powiedział Leonard. - Gdybyś mi dała dwadzieścia tysięcy dolarów.
- A co dostanę za stówę?
- Będę używać kondomów na paradzie.

- I...?

Leonard wydał z siebie teatralne westchnienie.

- I przed, i podczas oraz po sex parties.

- Umowa stoi.

Holly wyjęła książeczkę czekową z szuflady biurka i wypisała czek.

- Wiesz, my, hetero, niechętnie wydajemy pieniądze na walkę z AIDS, kiedy wciąż czytamy, że wy chodzicie na speedie i bez przerwy uprawiacie anonimowy, dziki seks bez zabezpieczeń. Ta świadomość odbiera nam radość sponsorowania.

Leonard, nie ruszając się z podłogi, wyciągnął rękę, wziął czek, obejrzał go dokładnie, złożył na pół i wsunął do kieszeni na piersi.

- Przykro mi, że nasza epidemia nie jest dla was bardziej radosna.

- Popracujesz nad tym, dobrze? Leonard w zamyśleniu potarł podbródek.

- Może podczas którejś parady.

Później, jadąc metrem do domu, nagle zapragnął zrobić to, co często mają ochotę zrobić pisarze jego pokroju, gdy ich kariera nie układa się tak, jak powinna. Brała go chętka, by zadzwonić do agenta i porządnie mu naurągać, lecz akurat jego koło fortuny potoczyło się w taki sposób, że nawet on rozumiał, iż takie posunięcie oznaczałoby brak rozwagi. Jake Weinstock od półtora roku bezskutecznie próbował „odsprzedać” Leonarda młodszej agentce. „Jeśli czegoś potrzebujesz, dzwoń do Jessiki” - tak kończył każdą dwuminutową rozmowę, kiedy wieczorem oddzwaniał do Leonarda przez Bluetooth. Leonard nie był w ciemie bity i dobrze wiedział, do czego rada „dzwoń do Jessiki” go doprowadzi. Do niebytu! Owszem, Jessica była bardzo kompetentną agentką. Bez dwóch zdań. Dobrze się zapowiadała, i jak wszystkie młode

agentki miała długie, połyskliwe włosy oraz uśmiech, pod którym krył się bezwzględny profesjonalizm. Właśnie ta jej młodość, ambicja i pęd do kariery stanowiły kłopot. Jessica patrzyła na Leonarda jak na kogoś, czyj czas już minął. On nie był jej problemem. Jeśli Leonard stanowił czyjkolwiek problem, to wyłącznie Jake'a Weinstocka, i życzył sobie, aby tak pozostało. Był jednym z pierwszych jego klientów, jeszcze w czasach, kiedy Jake był ekscentrycznym nikiem, jeździł po Burbank brązową toyotą corollą i walczył o klientów podczas pokazów filmowych, głównie o etatowych scenarzystów, którzy zdobyli pierwszą pracę dzięki nepotyzmowi albo ślepemu trafowi i jeszcze nie znaleźli nikogo, kto by ich reprezentował. Piętnaście lat temu nikomu by do głowy nie przyszło, że Jake zostanie jednym z najpotężniejszych agentów w środowisku scenarzystów telewizyjnych w mieście. Jake miał pewną dziwną przypadłość. Leonard raczej nie użyłby słowa „lojalność” w odniesieniu do obszaru osiemdziesięciu kilometrów wokół Hollywood, lecz to było jedyne wytłumaczenie, dlaczego jego agent jeszcze nie skreślił go z listy klientów. Lojalność albo żydowskie poczucie winy. Bo Jake Weinstock nadal pozostał, przynajmniej pod kilkoma względami, miłym żydowskim chłopcem z New Jersey, a Leonard był jego pierwszym ważnym klientem z pierwszą indywidualną umową opiewającą na niebotyczną kwotę. Gdy teraz, wiele lat później, Leonard zdążył zmarnować cztery lata u szczytu kariery na finansowanie niezależnego gejowskiego filmu, popalił za sobą wiele mostów w wyniku arogancji i postawy nacechowanej pogardą, którą równo obdzielał asystentki i dyrektorów stacji, gdy roztrwonił większość fortuny na narkotyki, ubrania i snobistyczne przeprojektowywanie domu, a po wielkiej karierze pozostało już tylko wspomnienie, Jake z jakiegoś powodu nadal czuł się zobowiązany odpowiadać na jego telefony.

Przed trzema miesiącami pod koniec ataku depresji, gdy

przez osiemnaście godzin na dobę leżał w pozycji embrionalnej na podłodze w pokoju telewizyjnym, jakimś cudem umówił się na spotkanie z Jakiem.

- Jestem gotowy wrócić do telewizji - oznajmił, moszcząc się na czarnej skórzanej kanapie.

Jake popatrzył na niego. Nad jego lewym ramieniem górowała uchwycona w ruchu dwumetrowa postać Dartha Vadera*. Wyceniona w katalogu Sharper Image Black na osiemnaście tysięcy dolarów. Prezent z okazji święta Hanuki od twórcy serialu, którego reprezentował.

- W tym sezonie jestem gotów wrócić do pracy - kontynuował Leonard. - Albo napisać pilota. Chętnie napiszę pilotażowy odcinek albo zostanę konsultantem.

- Aha.

Leonard splótł dłonie na kolanach i zaraz rozplótł je z powrotem.

- Pamiętasz, jak jeszcze przed odejściem Boba Barkera na emeryturę co roku zwalniano którąś z modelek angażowanych do teleturnieju *Podaj właściwą cenę*, no wiesz, tych które miały podnosić ręce przed nowymi samochodami? - spytał Jake.

- No i...?

- Szła potem taka wyzalić się do programu *Entertainment Tonight*, mówiła, że to nie fair, może nawet oskarżała biednego Boba o molestowanie - ciągnął Jake. - I każda z nich była zaskoczona. Mimo że parę lat wcześniej to samo spotykało inne, trochę starsze kobiety?

- Tak.

Jake popatrzył na niego bez słowa.

- Jak mam to rozumieć? - spytał Leonard.

- Ano tak, że nie powinienesz czuć się zaskoczony - odparł Jake. - Leonardzie, nie mogę ci nic zaoferować. Wiesz

*Jeden z bohaterów *Gwiezdnych wojen*.

czemu? Bo nie ma pracy dla pisarzy na twoim poziomie. -W języku agentów to oznaczało: „w twoim wieku”.

- Jak to? W takim razie co oni robią?

- Sprzedają domy - oznajmił Jake. - Sprzedają domy, przenoszą się do Vermont i kupują sady jabłoniowe.

- Sady?

Jake pokiwał głową.

- Przez następne czterdzieści lat siedzą w stodołach, udając, że piszą scenariusze. Mam nadzieję, że odłożyłeś trochę pieniędzy.

- Tak.

- Dobrze. Świetnie. Nawet nie wiesz, jak mnie to cieszy.

- Odłożyłem - przyznał Leonard. - A potem wydałem.

- Jezu!

- Kupę kasy zainwestowałem w mój film - wyjaśnił Leonard. - A teraz nie mogę znaleźć dystrybutora.

- A wiesz dlaczego? Powiem ci. Żadne studio nie puści filmu składającego się głównie ze zbliżeń, gdzie model bzyka kelnera, a kelner męską dziewczynę, którą ty sam masz ochotę przelecieć i która przypadkiem mieszka w twoim domku dla gości.

Leonard musiał przyznać, że najwięcej serca włożył w te właśnie zbliżenia.

- Leonardzie, mogę przez chwilę być z tobą zupełnie szczerzy?

- Wał śmiało.

- Ten film był zanadto gejowski - rzekł Jake. - Bardzo za bardzo gejowski.

Film rzeczywiście był mocno gejowski. Jego bohater, szesnastoletnia męska prostytutka, zakochuje się w żonatym mężczyźnie, korzystającym z jego usług, i w końcu popełnia samobójstwo, lecz zanim to zrobi, niszczy małżeństwo i rodzinę kochanką. Według zamierzeń Leonarda film miał być odejściem od typowych komedii telewizyjnych, na których

pisaniu upłynęły mu najlepsze lata, odejściem w coś, co postrzegał jako kanwę społecznej debaty. Męską prostytutkę zagrał siedemnastolatek imieniem Digger. Akurat przyjechał do Los Angeles z miejsciny w Idaho, a Leonard poznał go w barze na Sunset Boulevard i po dwóch dniach zaproponował przeprowadzkę do swego domku dla gości, gdzie młody człowiek opalał się w obcisłych gatkach, które wyglądały jak skrzyżowanie kąpielówek marki Speedo z połyskliwymi spodenkami do joggingu, popularnymi w latach osiemdziesiątych, czym doprowadzał biednego Leonarda do szaleństwa.

- I nie było tam nic do śmiechu. Ty, Leonardzie, jesteś specjalistą od komedii. Piszesz komedie. Masz ludzi bawić. Oglądając to gejowskie porno, czułem się jak podczas ekstrakcji trzonowego zęba. Musisz od tego odejść - tłumaczył Jake. - Okay, zrealizowałeś projekt wynikający z pasji, wyrzuciłeś to z siebie, ale teraz musisz wrócić do głównego nurtu, jeżeli chcesz pracować.

- Mówiłeś, zdaje się, że nie ma pracy.

- Bo nie ma. W normalnych układach nie byłoby jej dla ciebie. Ale powiem ci, co jestem gotowy zrobić. Ustawię cię z powrotem w zespole z Holly.

- Jake, skończyłem z zespołowym pisaniem - powiedział Leonard. - O wiele lepiej pracuje mi się w pojedynkę.

- To kwestia do dyskusji - rzekł Jake. - Odkąd rozstaliście się z Holly, jej kariera pisarska i twoja reżyserska poruszają się po tej samej trajektorii. - Zakreślił dłonią łuk z jednoczesnym gwizdnięciem przypominającym lot, a na koniec uderzenie pocisku o ziemię. - Oboje potrzebujecie pracy, a Holly jest moją klientką. To ta część układu, którą nazwałbym „dobre dla Jake'a”.

- Nie chcę pracować w tandemie.

- Nie masz wyboru. Na tym rynku możesz się sprzedać jedynie w zespole. Po pierwsze, ona jest młodsza od ciebie, a to duża zaleta. Po drugie, jest kobietą. Będzie trzymać cię

w ryzach. Nie wnioskuję, czy to prawda, czy nie, ale różne historie krążą po mieście. Wieść głosi, że odkąd zerwałeś współpracę, nieźle ci odbiło. Kurde, może wcale nie trzeba trzymać cię w ryzach. Może sam potrafisz się zebrać do kupy. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Po prostu nie życzę sobie żadnych więcej opowieści o numerach Leonarda.

Leonard był świadomy tych opowieści. Kiedy poleciał do Vegas po skończeniu scenariusza, zastawił laptop w lombardzie, żeby zdobyć pieniądze na kokę, po tym, jak męska dziwka ukradła mu portfel. Innym razem przyszedł do pracy w pizamie na znak protestu przeciwko cięciu kosztów przez Warner Brothers, co polegało na serwowaniu pośledniejszego gatunku kawy. Być może trochę matkowania dobrze mu zrobi.

- W porządku - zgodził się. - Wchodzę w to.

- Nie wierzę, że to robię. Poważnie. Przez cały dzień odsyłałem klientów z kwitkiem. Czemu robię to akurat dla ciebie? Dlaczego przez ostatnią noc nie zmrużyłem oka, kombinując, jak wpompować trochę życia w twoją zdechłą karierę?

- Nie mam pojęcia.

Jake opadł na oparcie i zamknął oczy.

- Bo chcę być człowiekiem.

Leonardowi nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź.

- Masz szczęście, że twoja kariera to jedna z tych rzeczy, które robię, żeby być człowiekiem - powiedział Jake. Nadal nie otwierał oczu. - A to krótka lista. - Uniósł powieki. - Powiem ci, to naprawdę krótka lista.

- Hmm, doceniam twój gest.

Jake podniósł się z fotela i odprowadził Leonarda do drzwi.

- Niczego nie obiecuję. Zobaczą, co się da zrobić. Nastaw się, że to nie będzie pisanie dla HBO. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma, i nie chcę słyszeć żadnych narzekań, zgoda?

Jake przeszedł z Leonardem korytarzem obok boksów, gdzie zapracowani asystenci siedzieli przy biurkach załóż-

ných stertami scenariuszy, i odprowadził go aż do windy. Ten spacer miał rekompensować fakt, że żadne spotkanie z nim nie przekraczało dwunastu minut.

- I, Leonardzie, żadnych narkotyków - ostrzegł, kiedy stanęli przy rzędzie wind. Nacisnął guzik ze strzałką w dół. -To przez nie ładujesz się w kłopoty. Ludziom się to nie podoba. Obiecuj.

- Żadnych narkotyków. Obiecuję.

- Poza, no wiesz, tymi lekarstwami, co trzymają cię w pionie. - Jake postukał się wskazującym palcem w czoło.

Takim oto sposobem Leonard i Holly, po czteroletniej przerwie, ponownie stali się tandemem piszącym serial o menstruacjach, którego akcja toczy się w Nowym Jorku. Bohaterkami są cztery dwunastolatki, a emituje go stacja Nickelodeon.

- To nie te same nastolatki - powiedział Jake do Leonarda, kiedy zadzwonił do niego z parkingu przy autostradzie 404 w tamten piątkowy wieczór, żeby przedstawić mu ofertę. I dodał: - Nic spieprz tego.

Nazywają to wyznaczaniem granic

Vera, matka Spence'a Samuelsona, odwiedzała go dwa razy do roku. Wizyta trwała dziesięć dni, czyli tydzień i dwa przyległe weekendy. Weekendy były bardzo aktywne: cztery dni wypełnione wypadami do ogrodu botanicznego na Brooklynie i do muzeum Cloisters, pieszymi wycieczkami po Harlemie, wieczornymi rejsami spacerowym statkiem po Hudsonie, oglądaniem eksponatów w Metropolitan, wystaw orchidei oraz sztuk na Broadwayu, kolacjami w Chinatown, herbatkami na Plaża, koktajlami w Carlyle i przejażdżkami dorożką po Central Parku. Wszystko to było okraszone uwagami Very: „Prawda, że przyjemnie?“, „Czasem dobrze być turystą we własnym mieście“. Pod koniec każdej z wizyt Spence był przekonany, że wszystko już zaliczyli. Cały Nowy Jork. Nie zostało nic do oglądania, zwiedzania czy degustowania i być może następnym razem matka wybierze wyjazd do Londynu ze swoją przyjaciółką Harriet, na który ta bezustannie ją namawia. Kto wie? Lecz mijał miesiąc czy dwa i matka zaczynała przebąkiwać o sprawach, które koniecznie musi załatwić podczas następnej wizyty, takich na przykład jak odszukanie krewnych jej polskiej fryzjerki, Zosi, na Ellis Island, i Spence'a zaczynał ogarniać lęk, że to się nigdy nie skończy.

Vera bała się sama wypuszczać do miasta, bo myśli

o gwałcicielach zajmowały znaczną powierzchnię jej kory mózgowej, co oznaczało, że przez tydzień między dwoma intensywnymi weekendami nie wysuwała nosa z domu Spencer i całymi dniami oglądała kablówkę oraz myszkowała po mieszkaniu. Wiedział, że ona węszy, bo czasem coś niechcący jej się wymknęło: „Widziałam kartkę z wakacji od Suzy Weston. Ale się roztyła!”. A kiedy on wytykał, że kartka leży w szufladzie biurka, tłumaczyła, iż potrzebowała ołówka do rozwiązywania krzyżówki, ale nie będzie już więcej szukać ołówków, mimo że cały dzień tkwi samotna jak kołek w mieszkaniu syna. Co wieczór, gdy wracał z pracy, siedziała sztywno na brzeжку kanapy, wystrojona, ze świeżo pomalowanymi ustami, czekając, że zabierze ją na kolację albo na jakiś spektakl, a najlepiej na kolację i na spektakl, rozzalona, że syn nie weźmie wolnego dnia, żeby poświęcić więcej czasu rodzonej matce. Wielokrotnie podczas tych wizyt dawała mu to do zrozumienia, mimochodem rzucając: „Popatrz tylko na ten tłum! W Metropolitan zawsze jest pełno ludzi w weekendy”.

A wszystko zaczęło się tak niewinnie. Pół roku po śmierci ojca Spence wraz z siostrą, Nancy, wymyślili „tydzień w Nowym Jorku” jako sposób na podniesienie na duchu matki, która całymi dniami snuła się po domu w zielonym frotowym szlafroku męża. Był kwiecień i Verze tak bardzo spodobała się wycieczka, że postanowiła wrócić w październiku, by zobaczyć, jak liście w Central Parku zmieniają kolor. I zanim Spence się obejrzał, naloty matki przemieniły się w cykliczne wydarzenie, dzielące kalendarz na połowy, podświadomie więc zaczął się bać tych dwóch miesięcy, którymi, w normalnych okolicznościach, nie sposób się nie zachwycać, mieszkając w Nowym Jorku.

Spence kochał matkę. Szczerze kochał. Starał się o tym pamiętać w miesiącach poprzedzających wizytę. Doprowadzała go do szaleństwa, ale ją kochał. Była upierdliwa, ale ją

kochał. Poza tym nie będzie przecież wiecznie mieć jej na głowie. No właśnie. Po śmierci męża Vera coraz bardziej mizerniała, zapomniała o jedzeniu, bała się wychodzić z domu, jeśli prognozy pogody zapowiadały opady śniegu czy deszczu. Kiedy przylatywała na lotnisko JFK i Spence patrzył, jak popycha wózek z bagażem, z torebką przytuloną do brzucha i z beżowym płaszczem przeciwdeszczowym przewieszonym przez ramię, żołądek ścisnął mu się z potwornego strachu.

- Mamo, musisz się lepiej odżywiać - tłumaczył, kiedy dotarli do mieszkania.

Matka zdążyła zdjąć kardigan i wieszła go w szafie Spencera jej drobne ramiona były przygarbione.

- Jem tyle, ile mogę.

- Chudniesz.

- Nie lubię samotnie jadać kolacji.

- Dlaczego nie odwiedzasz Nancy?

- Ona mnie nie chce.

- Na pewno chce.

- Wcale nie.

- Mamo, nie bądź śmieszna. Zachodź na kolację do Nancy i dzieci. Lubią, jak u nich jesteś.

- Raz w tygodniu, tyle mi wolno.

- Co? - spytał Spence. Odłożył na łóżko poskładane czyste ręczniki. - Co ty opowiadasz?

- I muszę wyjść przed wpół do dziewiątej.

- Nancy naprawdę tak powiedziała?

- Nazywają to wyznaczaniem granic. Podobno przeczytała o tym w jakiejś książce podczas spotkań parafialnych. Ona i Mac chodzą do kościoła, w którym się mówi, że nie należy zbyt często jadać kolacji z podstarzałymi rodzicami.

- Mamo, nie wierzę.

Vera wyjęła z walizki różową plastikową kosmetyczkę.

- Ale ja siedzę cicho. To jej dom i Nancy ma prawo ustalać reguły. - Otworzyła kosmetyczkę i zaczęła ustawiać na

komodzie imponującą kolekcję kremów i różnych mazideł. -Nie rozumiem, czemu ktoś ma ochotę chodzić do takiego kościoła, lecz kim jestem, żeby o to pytać?

W poniedziałek rano Spence z biura zadzwonił do siostry. Kipiał oburzeniem. Cały weekend poświęcił matce; w sobotnie popołudnie snuł się pomiędzy rzędami czekoladowych wodospadów, czekoladowych piramid i szachów z czekolady na Nowojorskiej Wystawie Czekolady, a w niedzielę wysiedział się na popołudniowym przedstawieniu *The Boys Are Back*, musicalu w stylu lat pięćdziesiątych, gdzie cały spektakl polegał na niekończącym się podrzucaniu kapeluszy, tymczasem jego siostra, mieszkająca w Chesterfield, zaledwie dziesięć minut samochodem od matki, ograniczała kontakty do jednej kolacji w tygodniu. To niedorzeczne!

- Posłuchaj, Spence. Ty ją masz przez tydzień dwa razy do roku. Ja przez pozostałych pięćdziesiąt. Proszę więc, nie mów mi, że dzwonisz, by mi czynić wyrzuty, że za rzadko widuję się z matką.

- Po prostu pozwól jej zostać na kolacji, jeśli ma ochotę. Postaw jeden talerz więcej. Ona nie lubi jeść w samotności.

- Cały czas mam ją u siebie. Gdybym nie ograniczyła kolacji, byłaby tu każdego wieczoru.

- To aż takie okropne?

- Dobra. Widzę, że nic nie rozumiesz. - Spence słyszał wiele mówiący brzęk naczyń energicznie wkładanych do zmywarki. - Ta kobieta wydzwania do mnie trzy razy w ciągu dnia. Trzy razy, Spence. Jeżeli nie podnoszę słuchawki, nie odbieram komórki, przyjeżdża sprawdzić, czy żyję. Nie dlatego, że się o mnie martwi, Spence. Ona próbuje mnie wytresować, jak psa.

- Myślę, że przesadzasz.

- Czyżby? Przyjechała w zeszłym tygodniu i przywiozła chłopcom po dużej tabliczce czekolady, a Meg książeczkę do kolorowania. A kiedy mała się nadąsała, mama powiedziała

jej, że powinna zrezygnować ze słodczy, bo robi się gruba. Spence, Meg ma tylko osiem lat. Gdy w końcu zwróciłam mamie uwagę, powiedziała, że próbowała pomóc i uchronić Megan przed otyłością, bo nie ma nic gorszego dla nastolatki niż nadmierna tusza. Gdybyś mieszkał w bliskiej odległości od niej, też byś ustalił pewne granice. Bo inaczej potrzebowałbyś pistoletu.

No tak. Nie poszło mu najlepiej. Między Nancy i matką nigdy się nie układało. Spence pamiętał z dzieciństwa ich liczne głośne kłótnie, napawające go przerażeniem. Kiedy Nancy skończyła studia na DePauw, nie rozmawiały ze sobą przez osiem miesięcy z powodu złośliwych przycinków matki na temat czarnego chłopaka Nancy i uwag, że ona małego szuwaksa nie wzięłaby na kolana. A więc i tak jest postęp. W pewnym sensie - pocieszył się Spence, kiedy odłożył słuchawkę i szedł korytarzem po kawę. W pewnym sensie układa się między nimi lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Spał na kanapie, z policzkiem przytulonym do lepkiej ta-picerki z czarnej skóry, gdy zadzwonił telefon. Matka zaanektowała sypialnię i dlatego on kolejną noc spędzał na kanapie.

- Halo?

Usłyszał siąkanie nosem, a potem ciche:

- To ja.

- Cathleen! - ucieszył się. Opuścił nogi na podłogę i usiadł.

Nie odzywała się od wielu tygodni, odkąd zdjęcia Szalonej Molly wylądowały w jej poczcie i wyzwalała go od socjopatów. Kilkakrotnie do niej dzwonił, lecz nie podnosiła słuchawki, a więc uznał, że zapewne wszystko między nimi skończone.

- Która jest u ciebie? - spytał.

- Dwie godziny wcześniej niż u ciebie, Spence, tak zresztą jak zawsze. Wpół do siódmej. Nie mogłam wytrzymać.

- Cieszę się, że dzwonisz.

- Całą noc przeplakałam. Ja... W głowie mi się kręci, Spence. To wszystko według mnie nie ma sensu. Nic z tego nie rozumiem. Wytłumacz mi.

- Wiem, wiem, strasznie mi głupio - wyznał. Słyszał, że matka drepcze w sąsiednim pokoju, więc zniżył głos. - Moglibyśmy o tym porozmawiać kiedy indziej? Chociażby jutro wieczorem? Wiesz, poważnie zająć się tematem? Teraz akurat moja matka jest w mieście.

- No i...? Co z tego, Spence, że twoja matka jest w mieście? Między nami dzieje się coś ważnego. Matka chyba może poczekać.

Spence nie był tego pewien, ale posłusznie zwał się z kanapy, przeszedł przez hol i zamknął się w łazience z bezprzewodowym telefonem przyciśniętym do ucha. Włączył wywiew, żeby zagłuszać rozmowę, na wypadek gdyby Verze przyszło do głowy podsłuchiwać. Usiadł na muszli i objął się ramionami.

- Już jestem.

- Nie zamierzałam ci tego mówić, ale chyba powinnam, jeżeli mamy jeszcze jakieś szanse.

- Powiedz - poprosił.

- Rozmawiałam z Holly, twoją byłą dziewczyną. Te słowa nie od razu do niego dotarły.

- Co?

- Zadzwoiłam do niej przed paroma dniami.

- Do Holly Frick?

- Tak. Odbyłyśmy długą rozmowę.

- Czemu zadzwoniłaś do niej?

- Chciałam się dowiedzieć, co ona myśli o tym wszystkim.

- O czym?

- O twoim zachowaniu. Przeczytałam jej książkę przez weekend i pomyślałam, że warto poznać jej zdanie.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Cathleen, co często jej się *zdarzało* w rozmowach ze Spence'em, potraktowała go jak czterolatka.

- Spencer, zdajesz sobie sprawę, że ta powieść jest o tobie, prawda?

- O jej byłym mężu, Aleksie jakimś tam. Poznali się już po naszym zerwaniu.

- Czytałeś?

- Nie mam na to ochoty.

Na linii z Boulder zawisła długa, przyciężka cisza.

- Mógłbyś chociaż rzucić okiem.

Zanim Spence zdążył odpowiedzieć, doszedł go potworny huk.

- Poczekaj chwilę - poprosił.

Rzucił słuchawkę na dywanik i nie czekając na odpowiedź Cathleen, pobiegł do kuchni. Vera Samuelson jedną nogą w papuciu stała na krześle, a artretycznym kolaniem drugiej opierała się na blacie. Stara blacha do pieczenia, shaker Spence'a do martini oraz małe pudełko urodzinowych świeczek leżały na podłodze. Vera w otwartej szafce nad lodówką grzebała zmatowiałą platerową chochelką do ponczu, którą wrzuciła mu do walizki w którąś Gwiazdkę, żeby jej używał, kiedy „podejmuje gości”.

- Mamo, schodź stamtąd.

- Powiedz mi tylko, gdzie trzymasz tamtą porządną foremkę do pieczenia, którą ci podarowałam.

- Znajdę ją, tylko zejdziesz.

Oparła mu dłonie na ramionach, a on złapał ją za biodra i zestawił na podłogę. Była w dotyku galaretowata i mięsista, a zarazem krucha i koścista.

- Mamo, nie wdrapuj się na meble. Jeszcze złamiesz nogę w biodrze.

- Nie chciałam ci przeszkadzać. To wyglądało na poważną rozmowę.

- Po prostu mnie poproś, a ja sięgnę, po co zechcesz.

Przeszukał szafkę nad lodówką, a potem drugą, nad mikrofalówką, i w końcu znalazł foremkę pod zlewem, ukrytą w zardzewiałym woku, spadku po poprzednim lokatorze.

- Mówiłam ci, że Annabel Rogers złamała nogę w biodrze?

- Taak?

Spence nie miał pojęcia, kim jest Annabel Rogers, i nie obchodziło go to, lecz takie szczegóły nie miały znaczenia w wypadku większości opowieści matki.

- Pośliznęła się na winogronie w sklepie warzywnym -kontynuowała.

- Trzy tygodnie później już nie żyła.

- No właśnie, mam. Dlatego nie chcę, żebyś się wdrapywała na meble.

- Wiesz, co by ci się przydało? Drabinka.

- Nie potrzebuję drabinki.

- Kupię ci - zdecydowała. - W prezencie. Tylko musisz mnie zabrać do sklepu. Sam sobie wybierzesz.

- Mam, nie potrzebuję drabinki. Mam sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Dosięgam tam, gdzie chcę.

- Kiedy tu jestem, chciałabym mieć drabinkę - powiedziała. - Żeby nie złamała nogi w biodrze, gdy będę robić placuszki dla syna, podczas gdy on całymi rankami konferuje ze znajomymi przez telefon.

Telefon! Cholera! Spence puścił się biegiem do łazienki i podniósł słuchawkę z dywanika.

- Cathleen? Przepraszam cię, ale matka chciała, żebym...

- Wał się, Spence! - Usłyszał, jak cisnęła słuchawkę na widelki.

Siedział na muszli, wsłuchany w sygnał w telefonie.

Później, kiedy placuszki zostały zjedzone, a naczynia umyte, Spence zauważył, że matka idzie korytarzem do sypialni ze zmatowiałą platerową chochelką w ręce.

- Zabieram ją z powrotem - oświadczyła, gdy zorientowała się, że się jej przygląda. - Chyba nie bardzo ci się przydaje.

Owocowe płatki śniadaniowe

Amanda lubiła chodzić po sklepach w towarzystwie. Holly wolała robić zakupy samotnie. Kiedy wypuszczały się razem, wracała do domu z przesadnie drogimi, modnymi ciuchami z butików, w których stosowano wyśrubowane przeliczniki walutowe. Te ubrania tkwiły potem w głębi szafy z oskarży-cielsko dyndającymi metkami. Z biegiem czasu Holly zaakceptowała ten fakt jako cenę przyjaźni.

I dlatego w słoneczną kwietniową sobotę pozwoliła się przewlec przez Bleecker Street, jej ekskluzywny odcinek (jakżeby inaczej), i wciągnąć do kolejnego przerażającego i onieśmielającego sklepu. Przyjaźń. Ubrania wisiały na chromowanych ramiączkach, zaczepionych na chromowanych prętach, przymocowanych do sufitu chromowanymi łańcuszkami. Wystarczyło westchnąć w pobliżu ekspozycji, aby wszystko to zaczęło pobrzękiwać. Cały sklep był jednym wielkim wietrznym dzwoneczkiem. Ubrania na wieszakach tak naprawdę nie były przeznaczone do mierzenia, no, chyba że nosiło się rozmiar zero dublet, jedno zero albo dwa zera, cała reszta klientek natomiast, pokonując zażenowanie, musiała prosić ekspedientkę o większe rozmiary. Wtedy ona znikwała za drzwiami w głębi - i jak Holly lubiła sobie wyobrażać - wsiadała do specjalnej windy, która zjeżdżała w trzewia zie-

mi, gdzie trzymano spodnie w rozmiarach cztery, sześć i osiem. Gdzieś tam był również rozmiar dziesięć, ale od lat nikt nie śmiał o niego zapytać.

- Nie mogę tu kupować. Wszystko jest mikroskopijne. Chodźmy do Banana Republic.

- Nigdy więcej Banana Republic! Mówię poważnie, Holly. Ubierasz się jak dwudziestodwuletnia aplikantka, pracująca w centrum miasta, dla której jedyną reakcją na dylematy mody jest para czarnych spodni - orzekła Amanda. - Musimy ci kupić džinsy.

- A co jest nie tak z moimi? - obruszyła się Holly.

- Zaufaj mi. Potrzebne ci są lepsze.

Jakby na zawołanie wyrosła przy nich ekspedientka.

- Mogę w czymś pomóc?

- Szukamy džinsów dla mojej przyjaciółki - powiedziała Amanda. - Bardziej na czasie od tych, które ma na sobie.

- Ale nic bardzo modnego - zwróciła się Holly do sprzedawczynie. - Nie gonię za modą. Chcę wyglądać stosunkowo normalnie.

- Przyniosę kilka par do przymierzenia.

- Proszę poczekać - powstrzymała ją Holly. - Dobra. Niech pani posłucha. Nie mam ochoty wchodzić do przymierzalni, ściągać butów i spodni i wbijać się w džinsy tylko po to, żeby odkryć, że wszystkie, które pani przyniosła, są za ciasne, a kiedy poproszę o większy rozmiar, dowiem się, że to był największy rozmiar, jaki macie. Dzisiaj bym tego nie zniosła. Serio, chyba bym wykorkowała. Proszę mi się dobrze przyjrzeć, spojrzeć na tyłek, na brzuch, dodać to do kupy i powiedzieć, ale szczerze, czy nie przewiduje pani kłopotów.

Ekspedientka zasznurowała usta i kiwając głową, lustrowała kształty Holly spod przymrużonych powiek.

- Myślę, że coś znajdziemy.

- Dobrze, zostawmy to, dzięki. Jak dla mnie, zbyt duża doza niepewności.

- Nie, nie, znajdziemy coś - zapewniła ekspedientka i ruszyła w stronę sterty dzinsów.

- Wiesz co? Jesteś szurnięta - orzekła Amanda.

- Chcę uniknąć niepotrzebnie poniżającej sytuacji - odparła Holly. Zdjęła z pręta ramiączko z kawałkiem materiału w paski zebry, który wyglądał jak chusteczka do nosa obszyta na narożnikach frędzelkami z koralików. - Co to jest? To ma być top?

- Szukam czegoś, co mogłabym włożyć do Babbo. Mark na sobotę zaprosił mnie na rocznicową kolację.

- Zapomniałam, że w tym miesiącu wypada wasza rocznica.

- Siedem lat.

- Któregoś dnia pomyślałam sobie, że w grudniu bylibyśmy z Alexem pięć lat po ślubie.

- Gdyby cię nie zdradzał, nie odszedł i w końcu się nie rozwiódł.

Holly przyłożyła do siebie sweter, żeby sprawdzić głębokość dekoltu w serek.

- W twoich ustach zabrzmiało to tak ostatecznie.

- Przymierz go - poleciła Amanda. - Holly, staram się jedynie odwieść cię od tego, co zawsze robisz, a mianowicie od kurczowego trzymania się czegoś, co dawno minęło, i wmawiania sobie, że nic już temu nie dorówna. Tak się zachowywałaś, kiedy skończyłyśmy studia. Powtarzałaś bez końca: „Nigdy już tak nie będzie”.

- I miałam rację. Nigdy już tak nie było. Lubię świadomie przeżywać różne rzeczy. Lubię się na nich skupiać.

- Niemniej ty i Alex byliście nieszczęśliwi. Miałaś dobry rok i cztery lata okropne. Może powinnaś na nich się skupić?

Amanda lubiła przypominać Holly, jak bardzo była nieszczęśliwa z Alexem. To było jedno z jej ulubionych zajęć. Powtarzała ciągle, pewnie, żeby ją pocieszyć: „Uważasz swo-

je obecne życie za beznadziejne? Przynajmniej nie jesteś już z Alexem!", i Holly zaczynała podejrzewać, że Amanda uważa całą tę sytuację, tę chęć trwania w nieudanym związku, za wadę charakteru i gdyby Holly wykrzesła z siebie choć iskierkę witalności, pierwsza by odeszła, uprzedzając Alexa. Im bardziej teraz o tym myślała, stojąc na środku sklepu i udając zainteresowanie ubraniami na wieszakach, a jednocześnie starając się nie wprawić ich w podzwaniające drganie, tym bardziej wydawało jej się to niesprawiedliwe. Czemu ludzie trwają w nieudanych związkach? Przecież tak robią. Cały czas. Bo prawda jest taka, że kiedy człowiek wkręci się w normalne życie z drugą osobą, czasem nie zauważa, jak źle się układa. Nie zawsze jest to tak oczywiste, jak by się mogło wydawać. Niestety, gdy dotyka tę drugą osobę, przypomina tekst o bankructwie ze *Słońce też wschodzi*; bankrutuje się na dwa sposoby - stopniowo albo niespodziewanie. Tak przynajmniej było w wypadku Holly. Kiedy Alex odszedł, ona trwała jeszcze w „stopniowej” fazie.

Wcale nie zakładała, że nigdy się nie rozwiedzie. Brała pod uwagę taką ewentualność chociażby ze względu na statystykę, lecz sądziła, że najpierw nastąpią różne wydarzenia: urodzi im się dziecko, kupią mieszkanie, posprzeczą się trochę o wybór kanap, o teściów, o to, kto zapomniał wystawić śmieci, urodzi się drugie dziecko, z oporami przeprowadzą się do Connecticut, zaczną kłaść się spać o różnych porach, przestaną kupować okolicznościowe kartki do prezentów urodzinowych, zaczną racjonować seks, przestaną uśmiechać się do siebie na powitanie i często będą robić sobie drobne afronty oraz czynić wyrzuty, z których się uzbiera sporo wzajemnej niechęci, odbędą kilka sesji z psychologiem w poradni małżeńskiej, pojedą bez dzieci na smętne wakacje nad morzem, przebrną przez ostatni rok w nabrzmiałej ciszy, od czasu do czasu przerywanej awanturą, i w ogóle nie będą się kochać. I dopiero wtedy wystąpią o rozwód. Tak to miało

wyglądać. Gdyby Holly przeżyła to wszystko, przynajmniej miałyby sygnały ostrzegawcze. Nie byłaby taka, taka... zaskoczona. Nigdy nie miała okazji odkochać się w Aleksie, zrobić tego jak należy, powoli i dokładnie, w rezultacie więc był dla niej czymś w rodzaju kończyny fantomowej. Zniknął, a jednocześnie nadal był. I podobnie jak w wypadku fantomowej kończyny większość związanych z nim uczuć miała bolesny charakter.

- A więc, jak rozumiem, tamta sprawa zakończona - odezwała się, kiedy weszły do przymierzalni i zaczęły ściągać ubrania. To kolejna rzecz związana z chodzeniem z Amandą na zakupy - lubiła dzielić z kimś kabinę. Holly dawno już zrezygnowała z prób zmiany tego jej zwyczaju.

- Co?

- Historia z tamtym facetem. Jak mu było na imię? Jack? Amanda wciągnęła przez głowę beżowy dzianinowy top i w milczeniu oglądała się w lustrze.

- Jak mam rozumieć to milczenie? - naciskała Holly.

- Nijak - odparła Amanda. Przysunęła się nieco bliżej lustra i w skupieniu wpatrywała się w swoje odbicie. - Myślisz, że to się nadaje do Babbo?

- Amando!

Cisza.

- Amando!

- Obiecałam sobie, że nikomu o tym nie powiem.

- Dobra, ale mnie musisz powiedzieć.

Głośne westchnienie Amandy przypominało odgłos powietrza uchodzącego z balonu.

- Przespaliśmy się ze sobą.

- Co?! Kiedy?

Amanda zachichotała i w końcu się roześmiała, a jej twarz rozświetliło coś, co podejrzenie przypominało radość.

- Niedawno. W zeszłym tygodniu. Tylko dwa razy - zastrzegła.

- Dwa razy?

- I raz obściskiwaliśmy się w barze.

- Obściskiwiałaś się w barze? Zwariowałaś? **Ktoś** mógł cię zobaczyć!

Rozpoznać!

- Wiem. Głupio mi potem było. Uznaliśmy, że spotkamy się u niego, aby porozmawiać o tym, co się stało, i wtedy... No wiesz...

- Wiedziałaś, że tak będzie - powiedziała Holly. - Zawsze mam rację.

Nie cierpię mieć racji.

Rozległo się pukanie i ekspedientka wsunęła głowę do przebieralni. Z cierpiętniczą miną trzymała przed sobą stosik poskładanych dzinsów.

- Czy może być rozmiar dwadzieścia siedem? - spytała.

- Obawiam się, że nie - odparła Holly.

- Wyglądają na duże.

- Nie takie znowu duże - powiedziała Holly sztucznie pogodnym tonem. Zamknęła drzwi i odwróciła się do Amandy. - Widzisz? Zawsze mam rację.

- Holly, nie mogę przestać o tym myśleć. To obsesja. Zupełnie jakbym bez przerwy odgrywała w myślach ten sam film.

- Wiesz co? Porównywanie zakazanego seksu z seksem małżeńskim nie jest fair. To zupełnie inne zwierzęta. Jakbyś porównywała jabłka z pomarańczami - mówiła Holly. -A właściwie, jakbyś porównywała jabłko ze zwierzęciem. Z lampartem. Poważnie. To dwie różne rzeczy.

- Wariuję na jego punkcie.

Holly z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Nie wierzę własnym uszom. Jestem autentycznie zszokowana. Od tygodni o nim nie wspominałaś.

- No taak, nie bardzo ci się spodobał podczas tamtego lunchu. Chyba było mi głupio.

- Więc przestałaś o nim mówić? To idiotyczne. Spodobał mi się. Uznałam, że ujdzie jak na kochanka.

- Noo nie wiem - bąknęła Amanda. - To był dziwny lunch. A między nami już iskrzyło i chyba czułam się trochę nieswojo.

- O ile się nie mylę, powiedziałaś, że przespaliście się dopiero w zeszłym tygodniu.

- Tak było - potwierdziła Amanda. - Ale od jakiegoś czasu uprawialiśmy seks przez telefon.

- Mówisz serio? Seks przez telefon? - Głos Holly stał się donośny i Amanda ją uciszyła. - Naprawdę to robiliście? -dokończyła więc szeptem.

- Bez przerwy.

- No nie! Naprawdę?

- Jesteśmy jak króliki - wyznała Amanda. Zdjęła przez głowę beżowy top. - Jak króliki z telefonami.

- I co? Robisz to w domu?

Amanda przytaknęła ruchem głowy i włożyła bluzkę.

- Nie potrafię się powstrzymać. Jestem okropną matką. -Zaczęła zapinać guziki. - Jacob rączkuje i płacze, a ja celuję w niego owocowymi płatkami śniadaniowymi, bo akurat rozmawiam z Jackiem i on mnie pyta, jaką mam cipkę. A potem rzucam jeszcze kilka płatków na podłogę i opowiadam.

- Kurczę!

- A Jacob nie powinien dostawać słodyczy.

- No, są niezdrowe.

- Wiem, że są niezdrowe. Mówiłam ci, straciłam głowę.

- A co zrobisz, jak Mark się dowie?

- Nie dowie się.

- No wiesz, możesz się nie kontrolować.

- Jestem niezwykle ostrożna - zapewniła Amanda. - Poza tym znasz Marka. Nie przeszłoby mu przez myśl, że mogłabym go zdradzić. Przy jego straszliwie rozdętym poczuciu własnej wartości coś takiego nie mieści mu się w głowie. No i odkąd to wszystko się zaczęło, ani razu się nie pokłóciliśmy. Jest przekonany, że to wpływ paxilu. Poświęcam mu dużo

uwagi, przy nim jestem naprawdę obecna, bo mówię tyle kłamstw, że muszę się skupić, żeby się nie zaplątać.

- Nie wiem, czy to można nazwać obecnością.

- Może niezupełnie w sensie zen. Ale powiem ci, że autentycznie jestem w tym samym pokoju.

Amanda i Holly były starymi przyjaciółkami, i to najlepszymi przyjaciółkami, lecz biorąc pod uwagę czas, nie były starymi najlepszymi przyjaciółkami. Przez pierwszych piętnaście lat łączyła je jedynie znajomość. Poznały się na pierwszym roku w college'u, mieszkały na różnych piętrach akademika, dziwnej budowli z cegły w kształcie macicy, na obrzeżach kampusu, z osobną stołówką i z hermetycznym ekosystemem społecznym. Obie po ukończeniu studiów przeniosły się na Manhattan i coś, co istniało w kombinacji cieplarnianego życia w akademiku oraz bezosobowego charakteru wielkiego miasta, sprawiło, że w Nowym Jorku poczuły, iż łączy je więcej, niż się wydawało, i zostały koleżankami, takimi utrzymującymi luźne kontakty, widującymi się dwa, trzy razy do roku. Po dwudziestce ich drogi przecinały się w różnych, czasem ciekawych miejscach; obu przypadła rola druhen na ślubie w kościele St. Lucia i nawet mieszkały razem przez trzy tygodnie, w przerwie między dwiema umowami najmu Amandy, lecz ich znajomość sprowadzała się głównie do okazjonalnych wypadów na drinka, niezmiennie kończących się deklaracją, że powinny się częściej spotykać. Stanowiły dla siebie coś w rodzaju wyznacznika, łatwego sposobu na sprawdzanie, czy zostają w tyle, czy też dotrzymują kroku i czy ich życie toczy się po właściwym torze. I szły tak przez życie mniej więcej równo aż do ubiegłego roku, kiedy Amanda urodziła Jacoba, a od Holly odszedł mąż. Do tych dwóch siejących potężny zamęt wydarzeń doszło w ciągu trzech tygodni i chociaż mogłoby się wydawać, że te wstrząsy powin-

ny już na zawsze rzucić obie kobiety na zupełnie inne orbity, stało się zupełnie odwrotnie.

Holly zawsze była jak otwarta książka. Werbalizowała swoje emocje, a po odejściu Alexa robiła to jeszcze bardziej uporczywie niż zwykle. O wszystkim opowiadała Amandzie. Naturalnie, wszystkim opowiedziałyby o wszystkim, lecz po kilku miesiącach Amanda została jedyną słuchaczką znajdującą się na podorędziu, przynajmniej taką, której nie trzeba płacić od godziny. W ostatnim trymestrze ciąży stała się ospała i otępiała, jakby jej umysł spowiły warstwy waty, a po urodzeniu Jacoba było z nią jeszcze gorzej. Doszła do punktu, w którym śledzenie fabuły odcinka serialu *Prawo i porządek* stanowiło nadmierny wysiłek, lecz to akurat okazało się korzystne w wypadku opowieści Holly; brakowało tam fabuły. To była dziwna, mętna zawiesina, przypominająca połyskliwą zieloną sadzawkę, w której brodziły całymi godzinami, wyławiając z mułu jakieś rzeczy, żeby je omówić i wrzucić z powrotem po to tylko, aby na drugi dzień wyciągnąć je na nowo i znowu o nich rozmawiać. Sprzyjał im czas przesypiany przez Jacoba, bo maluch należał do tych niemal mitycznych niemowląt, które śpią jak zaczarowane postaci z bajki. Pomagał również stan lekkiego szoku u Amandy. Znudzona macierzyństwem, albo też szczerze i głęboko nim rozczarowana (sama tego nie wiedziała i nie chciała wiedzieć), wypełniała puste kąty spowitego watą umysłu problemami Holly, co pomagało jej unikać myślenia o własnych.

Do tamtej kolacji u Marka i Amandy - wieczoru z paxilem i papucioskarpetami oraz z rozmową w kuchni, kiedy to po raz pierwszy wypłynął temat Jacka - tak Amanda, jak i Holly nie dzieliły się pewnymi sekretami, mimo że rozmawiały ze sobą przez telefon raz lub dwa razy dziennie i przeważnie co tydzień się widywały. Każda z nich zatrzymywała swoją tajemnicę dla siebie w obawie przed krytyką czy szy-

derstwem tej drugiej. Sekrettem Holly był Lucas, a Amandy Jack.

Zaczynało zmierzchać, gdy Holly wysiadła z kolejki linii C, wspięła się po schodach ze stacji metra na Eighty-sixth Street i skierowała się ku Central Park West. Amanda ma romans. Ledwo w to mogła uwierzyć. Jakąś częścią swego jestestwa czuła, że oto wkracza w nowy etap życia, w świat dorosłych, w którym zamężne kobiety biorą sobie kochanków. Biorą sobie kochanków! Kto tak mówi? A jednak Amanda właśnie coś takiego zrobiła! I teraz Holly musi się z tym oswoić. Inna część jej osoby, ta, która nadal czuła się jak uczennica, myślała tak: Jak to możliwe, że Amanda ma męża, dziecko i kochanka, a ja nie potrafię znaleźć w miarę porządnego faceta w odpowiednim wieku?

Skręciła w swoją ulicę i spojrzała przed siebie. Czy to...? Nie. Czyżby? Nie widziała go od ilu lat? Sześciu? Może nawet więcej? Jednak to najwyraźniej on. Ta charakterystyczna sylwetka, wzrost i postura, nonszalanckie pochylenie ramion. Nawet teraz, po tych wszystkich latach, była go w stanie rozpoznać z dużej odległości. Stał przed jej domem i nie wyglądał na szczęśliwego. Zwolniła kroku i już się miała odwrócić na pięcie, kiedy ją dostrzegł i ruszył na spotkanie.

- Rozmawiałas z moją dziewczyną przez telefon? - zaatakował ją.

- Słucham?

- Do diabła, Holly! Naopowiadałaś Cathleen tych wszystkich rzeczy o mnie?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz! - obruszyła się. Zaczęła iść w stronę domu, a Spence włókł się obok niej.

- Cathleen, moja dziewczyna. Powiedziała mi, że rozmawialiście przez telefon i konfrontowaliście opinie.

Holly przystanęła i spojrzała mu w twarz.

- Tak powiedziała?

- Wczoraj wieczorem.
 - Jeśli tak powiedziała, to chyba tak, teraz sobie przypominam, że kobieta o imieniu Cathleen rzeczywiście skontaktowała się ze mną i odbyliśmy krótką rozmowę.
 - Jezu, Holly! Trzymaj się z daleka od moich spraw.
 - Dobra.
 - Ja nie żartuję.
- Holly otworzyła wejściowe drzwi do budynku, po czym odwróciła się do Spence'a.
- Spence, ja nie chcę tkwić w kręgu twoich spraw, lecz ta kobieta zadzwoniła do mnie bardzo zdenerwowana, a ja uznałam, że niegrzecznie byłoby odłożyć słuchawkę. Jestem zmęczona. Miałam wyczerpujący dzień. Miło cię było widzieć, ale, wiesz, czas się pożegnać.
- Weszła do środka, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Wyścig Promujący Profilaktykę

Betsy Silverstein siedziała przy biurku, wpatrzona w swój rolodeks. Jakiś czas temu postanowiła z niego korzystać, aby zaznaczyć swoją odrębność poprzez szczyptę stylu retro, którego estetyka cieszyła jej oko, a ciche *plask, plask* przerywanych sztywnych kartek działało bardziej kojąco niż odgłosy wydawane przez elektroniczne gadżety. Jednakże wcześniej tego dnia któraś z nowo zatrudnionych dziewczyn, przechodząc koło jej biurka, rzuciła: „Rany, ty masz rolodeks?!“ i parsknęła śmiechem. Betsy usiłowała jej wytłumaczyć, czemu go trzyma - że wcale nie jest taka stara i jej przywiązanie do rolodeksu nie sięga czasów, kiedy ludzie rzeczywiście z nich korzystali - ale nie była pewna, czy to wyjaśnienie dotarło do dziewczyny. A teraz patrzyła na niego, nagle zaniepokojona, bo tkwił na jej biurku niczym słoik kremu do rąk dla ludzi ze starczymi plamami na dłoniach albo pudełko me-tamucilu*.

- Boże, jeszcze tu jesteś?!

Betsy podniosła wzrok i zobaczyła byłą współpracownicę, Trish Barton (platynowe włosy, sterczące obojczyki). Szła w jej kierunku z siatkami dyndającymi na nadgarstkach.

* Środek przeczyszczający.

- Oczywiście, że jeszcze jestem - odparła i postarała się o najbardziej promienny z uśmiechów. - Uwielbiam tu być.

Na tym „jeszcze tu jesteś” polegał główny problem kariery Betsy. Kilka lat po ukończeniu studiów na Hamilton została młodszą specjalistką od reklamy w prężnej agencji reklamowej i od tamtej chwili jej ścieżka kariery mogła przebiegać na dwa sposoby. Albo przedzierzgasz się w twardego gracza - kogoś, kto wywarkuje polecenia do telefonu, na zmianę grozi i schlebia podwładnym, obdarza względami, sieje plotki, rozdaje wejściówki oraz wysyła kosze z prezentami i w końcu, gdzieś między trzydziestym drugim a pięćdziesiątym piątym rokiem życia, zostaje samodzielnym specjalistą - albo się zaręczasz. Planujesz przy biurku wesele, udając zaaferowanie pracą, zachodzisz w ciążę i w czwartym miesiącu nabierasz przekonania, że masz tego wszystkiego po dziurki w nosie, wyznajesz kolegom, iż pieniądze, które zarabiasz, są niczym w porównaniu z dochodami męża, i składasz wypowiedzenie. Współpracownicy wyprawiają ci pożegnalny lunch z drinkami, który przeciąga się aż do happy hour, wychodzisz z baru i rozpoczynasz nowe życie. Tak naprawdę nie było w branży miejsca dla kogoś takiego jak Betsy, czyli kobiety, która przestała być seksowna, ale nie wykorzystała lat podupadającego powabu na zostanie fenomenem w swoim zawodzie. Tak wiele zależało od flirtów i przyjęć, od obietnic zdobywanych u jakiegoś dziennikarza, który pojawiał się na imprezach, wabiony cichą nadzieją, że uda mu się zaciągnąć do łóżka tę ładniutką specjalistkę od reklamy, która bez przerwy do niego wydzwania i zdaje się mieć go na oku. A jeśli nawet nie dojdzie do seksu, to przynajmniej porozmawia. Betsy miała już za sobą czasy młodej naiwnej i coraz bliżej jej było do obiektu współczucia. Mężczyźni nie chcieli już rezygnować z nocy na własnej kanapie tylko po to, by móc z nią porozmawiać na nieudanym kok-

tajlu w salonie BMW, promującym perfumy o zapachu wilgotnych chusteczek do rąk.

- Jakbym się znalazła w pętli czasu - powiedziała Trish. - Nic się nie zmieniłaś od chwili, gdy stąd odeszłam. A minęło sześć lat!

- Ty też się nie zmieniłaś - odwzajemniła się Betsy.

- Oj, nie - westchnęła Trish. Machnęła z rezygnacją starannie wypielęgnowaną dłonią. - Wyglądam na starszą o dwójkę dzieci.

Następnego dnia była sobota. Betsy wstała o piątej, ubrała się, pojechała taksówką do Columbus Circle i poszła do parku. Rozpakowywanie bananów na Wyścig Promujący Profilaktykę okazało się bardziej wkurzające, niż się spodziewała. Musiała wyjmować je z kartonów i układać na stole tak, aby nalepka firmy Dole była na wierzchu. Następnie wpinała różową, artystycznie zawiązaną kokardkę promującą walkę z rakiem piersi. Wszystko zgodnie z instrukcją, bo firma Dole sponsorowała wyścig i członkowie zarządu mogli przespacerować się wzdłuż stołów w drodze do namiotu VIP-ów, a fama głosiła, że szefostwo Dole jest bardzo wyczulone na obecność naklejek. Małpa mogłaby to robić - pomyślała Betsy, kiedy otworzyła pierwszy karton i zajrzała do środka. Nie, nie małpa, ona zżarłaby banany, niemniej to był wyraźny sygnał.

Poprzedniego popołudnia, krótko po tym, jak Trish Barton wyszła z biura i udała się na pociąg do Westchester, Roz, szefowa Betsy, wezwała ją do siebie.

- Chciałabym porozmawiać o twoich planach. - Tak to ujęła.

- Moich planach?

- Dotyczących rozwoju kariery. Pracujesz tu już dość długo i jestem ciekawa, jak widzisz siebie za pięć lat. A nawet za dwa lata.

- Cóż, lubię to, co robię. Lubię moją pracę. Chciałabym dalej... robić to samo. Nie wiem, co życie przyniesie za pięć lat czy za dwa, ale to jest mniej więcej mój plan.

Roz roześmiała się tym swoim śmiechem przypominającym ostrzał worka żwiru z karabinu maszynowego.

- Jestem pewna, że zanim miną dwa lata, będziesz mieć dość tego miejsca.

- Tak też może być.

- Betsy, będę z tobą szczerą. Nie ma tu dużych widoków na awans. W tym kopcu jest miejsce tylko dla jednej królowej mrówek. Większość młodszych specjalistek, które zatrudniam, hmm... jak sama widzisz, pojawia się i znika. Przeważnie odchodzą przed trzydziestką. I może tak jest najlepiej. Może dzięki temu mamy do czynienia z ekscytacją, zaangażowaniem i świeżością.

- Roz, jestem podekscytowana. Jestem zaangażowana. „Świeżość” zawisła w powietrzu, niewypowiedziana. Roz konspiracyjnie pochyliła się nad biurkiem.

- Powiem ci coś, czego nie powiedziałabym większości dziewcząt. Uważam pracę młodszej specjalistki za swego rodzaju staż, szansę dla młodych osób na naukę zawodu. Potem one odchodzą i wykorzystują to, czego się nauczyły, w nowym miejscu, gdzieś, gdzie się zarabia prawdziwe pieniądze. Nie wiem, jak ci się udaje wyżyć z tego, co ci płacę.

Kłamstwo. Roz dobrze wiedziała, z czego Betsy żyje. Tatuś opłacał jej rachunki. I prawdę mówiąc, wkurzało ją to. Roz dorastała w Nebrasce, jej rodzice prowadzili sklep z częściami zamiennymi do samochodów, a ona wszystkiego dochrapała się sama, bez niczyjej pomocy i bez jednego choćby czeku na urodziny, który opiewałby na sumę większą niż dwadzieścia pięć dolarów. Przez pierwsze dwadzieścia lat dorosłego życia chodziła w ubraniach złożonych z bluzek kupowanych na pchlim targu i z tanich czarnych spódnic, które nosiła tak długo, aż zdążyły poszarzeć, koczowała ze współ-

lokatorkami w norach na Brooklynie parę dekad wcześniej, zanim ta dzielnica jako tako nabrała stylu, poruszała się autobusami, przynosiła lunch do pracy i każdego dnia zmagala się z metropolią, aby wyszarpać kilka dolarów, które oznaczały dla niej ogromną ulgę. Na palcach jednej ręki mogłaby policzyć jazdy taksówką przed ukończeniem trzydziestki! W końcu jej się udało, wdrapała się na swój kopczyk, lecz w drodze na szczyt przytyła trzydzieści kilogramów, wypaliła cztery miliardy papierosów Parliament Lights, przeoczyła zamążpójście, urodzenie dziecka, a tymczasem ta mała, starzejąca się młodsza specjalistka od reklamy, panna Betsy Silverstein, z dochodem trzydziestu ośmiu tysięcy dolarów rocznie, nadal nosi droższe niż ona torebki. Betsy nigdy by nie wyjawiała, nigdy by się nie przyznała, że coś tu nie gra, że przez te wszystkie lata chodzi w stylowych ciuchach, do domu wraca taksówką, kupuje bilety na benefisy i mieszka w modnej dzielnicy. Sama! W apartamencie z dwiema sypialniami! Nie chciała, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Była w tej kwestii niezwykle tajemnicza. Czasami Roz nabierała ochoty, by wycisnąć z niej, ile tak naprawdę ma pieniędzy i skąd je bierze. Z funduszu powierniczego? Dostaje co miesiąc czek? Ojciec opłaca jej rachunki? A mieszkanie? Czy do niej należy? Jest na nią zapisane? Czy musi pracować? Czy musi pracować? **CZY MUSI PRACOWAĆ?**

- Nigdy nie narzekałam na wysokość pensji.

- Zdaję sobie z tego sprawę - przyznała Roz. Odchyliła się na ażurowe oparcie fotela Aeron, a przy tym ruchu jej tułów przypominał rozmiarami przenośną lodówkę. - Niemniej uważam, że powinniśmy opracować jakiś tymczasowy plan. Ustalić terminarz.

- Roz, nie rozumiem, co usiłujesz mi powiedzieć. Czy według ciebie jestem za stara do tej pracy?

To pytanie zapachniało Roz sprawą w sądzie. Co prawda Betsy nigdy by się do tego nie posunęła - to nie było w jej

stylu - lecz Roz nie znalazłaby się dzisiaj tam, gdzie jest, gdyby zostawiała otwarte takie wyjścia.

- Absolutnie nie. Tutaj pojęcie „za stara” nie istnieje. Spójrz na mnie. Sama jestem pieprzonym dinozaurem.

- Ja nie czuję potrzeby rządzenia światem. Nie należę do ludzi tego typu. Chcę tylko dobrze wykonywać swoją robotę i uważam, że tak właśnie jest.

- Tak... - Nerwy Roz weszły na wyższe obroty. Czowała, że została przechytrzona. - W takim razie, no wiesz, muszę zacząć traktować cię na równi z innymi młodszymi specjalistkami. To nie fair, że tobie przypadają wszystkie najlepsze zlecenia. W ten sposób te dziewczyny niczego się nie nauczą.

- Rozumiem.

- To dobrze.

I w taki właśnie sposób Betsy wylądowała na bananowym dyżurze. Dwom nowym dziewczynom - podejrzanie opalonej blondynie i tej drugiej, zupełnie niepozornej - przypadła obsługa namiotu VIP-ów. Betsy wiedziała, że niewiele straciła poza widokiem Kim Cattrall wychylającej drinki z szampana z sokiem pomarańczowym i zadowolonej z siebie Mariski Hargitay. I szczerze mówiąc, kiedy minęło początkowe upokorzenie, odkryła, że układanie bananów działa na nią kojąco. Owoce były intensywnie żółte, a małe naklejki równe i bardzo czerwone. Betsy miała wrażenie, że jej utajona nerwica natręctw znajduje ujście w czymś konstruktywnym. W pobliżu dziesiątki ludzi kręciło się w świetle wczesnego poranka; ustawiono dystrybutory z gatorade*, rozpakowano T-shirty i różowe baseballowe czapeczki. Grupa wolontariuszy otoczyła przysadzistą Latynoskę trzymającą podkładkę z klipsem. Kobieta co jakiś czas przykładła do ust gwizdek zawieszony na sznurku na szyi. Betsy, uśpiona pracą, kom-

* Niegazowany napój energizujący koncernu PepsiCo.

piętnie się wyłączyła, jej całym światem stało się teraz powietrze, świt, mgła i rzędy żółtych owoców.

- Mogę sobie jednego wziąć? - wyrwał ją z zadumy czyjś głos.
- Miała rozdawać banany wyłącznie biegaczom, a ten facet zdecydowanie do nich nie należał. Ale właściwie czemu nie?
- Jasne.
- Dzięki. - Wziął banana i zaczął go obierać. - Mam obrać i dla ciebie?
- Nie, dzięki.
- Na pewno? Jestem w tym naprawdę dobry. Popatrz. - Pokazał na wpół obranego banana. - Czubek prawie nienaruszony.
- Nie jem bananów - wyjaśniła.
- Nie jesz bananów?
- Nie. ,
- Ktoś może nie jeść bananów? One są najlepsze.
- Wiem, ale... - Urwała i spojrzała na niego. - Mniejsza z tym.
- Co chciałaś powiedzieć?
- Nic.
- No powiedz.
- Chciałam powiedzieć, że są tuczące.
- Banany?
- Znaczą jak na owoce. Tuczące jak na owoce.
- Hmm, szczerze mówiąc, nareszcie kapuję. Doznałem olśnienia. - Odgryzł potężny kęs banana i zaczął go żuć. -Poważnie. Tajemnica rozwiązana.
- O czym mówisz? Przełknął.
- Zawsze sądziłem, że ważę sto pięćdziesiąt kilogramów przez takie jedzenie jak pizza i lody, pączki w Krispy Kremes, hot dogi w Gray's Papaya, kanapki McGriddle na śniadanie i fakt, że czasami zjadam dwie kolacje, bo nie ma nic

w telewizji, a tu tymczasem chuda osoba wyjawia mi prawdę. Wszystkiemu winne banany.

Betsy uśmiechnęła się. Cieszyło ją, kiedy ktoś nazywał ją chudą, nawet ktoś tak potwornie gruby.

- Tak jest. Nigdy więcej bananów pour moi. Pas des bananas!

- Dobrze wyglądasz.

- Nie kłam w żywe oczy. Jeśli rysują się przed nami jakieś perspektywy, Betsy Silverstein, to umówmy się, że można mnie cenić za różne cechy, bo mam mnóstwo prawdziwie fascynujących i niezwykłych zalet, ale na pewno nie... wyglądam... dobrze.

- Skąd wiesz, jak się nazywam? - spytała Betsy, bardziej niż trochę zaniepokojona.

- Chodzisz do mojej siłowni.

- Do twojej siłowni? - zdziwiła się, bo facet nie wyglądał na kogoś, kto chodzi do jakiegokolwiek siłowni.

- Pracuję w twojej siłowni. Sprzedaję karty członkowskie. Prawdę mówiąc, tobie też sprzedałem i stąd znam twoje nazwisko. Widocznie jednak nie zrobiłem na tobie wrażenia.

- Przepraszam...

- Lonnie - odpowiedział usłużnie.

- Racja. Lonnie. Teraz pamiętam.

- Wcale nie, ale się nie przejmuj. Najlepsi sprzedawcy to tacy jak ja - podsumował. - Zupełnie niewidzialni.

- A więc - zmieniła temat. - Bierzesz udział w wyścigu?

- Czy zgłosiłem się do Wyścigu Promującego Profilaktykę? Nie. Wolę się ograniczać do biegów związanych z problemami, jakie mnie osobiście mogą dotyczyć: rak jąder, przerost prostaty, łysienie. Nie, ja tu dzisiaj pracuję. - Wskazał smętnie wyglądający stolik do kart, kilka metrów dalej, przybrany czerwoną i żółtą krepiną, z dużym kulistym akwariem na blacie. - Może chciałabyś wrzucić tam swoją wizytówkę? Odpowiadam za loterię i jeśli dobrze to roze-

grasz, mogę pomóc trochę losowi, o ile rozumiesz;, co mam na myśli.

- Jaka nagroda?

- Hmm... Ktoś taki jak ja zadzwoni do ciebie do domu w porze kolacji i będzie próbował cię namówić na podpisanie trzyletniej umowy na karnet do siłowni, i o ile statystyki się nie mylą, a jestem pewien, że nie, będziemy cię nękać co roku z powodu osiemdziesięciu sześciu dolarów, które możemy zdjąć z twojej karty kredytowej, a ponieważ jest to prawnie wiążąca umowa, nie wypłaczesz się z niej, nawet przenosząc się do innego stanu, bo mamy wielce iluzoryczne partnerstwo ze świadczącymi niskiej jakości usługi siłowniami na całym świecie. Nie. Chwila. Wróc. - Podrapał się po głowie i spojrzał na niebo. - Zdaje się, że ta nagroda to kucyk.

Akademia przesadnie przetestowanych związków

Kiedy w poniedziałek rano Holly wyszła z domu, zaskoczył ją widok Spence'a. Stał w tym samym miejscu, gdzie zostawiła go dwa dni wcześniej, tyle że tym razem był w garniturze oraz pod krawatem i wymachiwał czymś, co wyglądało na jej książkę.

- A ty co? Śledzisz mnie? - naskoczyła na niego.

- Właśnie skończyłem twoją książkę.

Holly wcale nie planowała oczernić Spence'a, kiedy zabrała się do pisania powieści. Zdziwiająco, jak mało złośliwości było w czymś, co oglądane z zewnątrz i z perspektywy czasu wydawało się przede wszystkim złośliwe. Dla Holly każda historia składała się z drobnych epizodów i te epizody, jak się okazało, nie dały się zmienić. Z początku próbowała zakamufłować osobę Spence'a, zmieniając najróżniejsze szczegóły dotyczące jego życia, aby ani on sam, ani nikt inny nie mógł go rozpoznać. I tak z wysokiego blondyna po studiach prawniczych na renomowanej uczelni, który dorastał w St. Louis pod jednym dachem z apodyktyczną starszą siostrą i koszmarną matką, zmieniła go w krępego dentystę z kręconymi czarnymi włosami, jedynaka pochodzącego z Albuquerque w stanie Nowy Meksyk. Dopiero kiedy zabrała się

do opisywania tamtej Gwiazdki, gdy Spence zawiózł ją na święta do rodzinnego domu, dostrzegła wadę swego planu. Nic nie wiedziała o Albuquerque. Czy tam jest zimno w grudniu? Jakie ubrania spakowała jej bohaterka? A im więcej o tym myślała, tym fabularyzacja wydawała się bardziej skomplikowana, szczególnie że miała gotowca w postaci świąt w St. Louis z rodziną Spence'a, zakończonych w drugi dzień świąt spektakularną awanturą pomiędzy matką i siostrą, którą to awanturę zszokowana oglądała z perspektywy rodzinnej, z welurowej kanapy w odcieniu rodzynek firmy Sun-Maid. Pisz o tym, co znasz. I tak też uczyniła.

- Dużo czasu ci to zajęło - zauważyła, sprawdzając, czy wrzuciła klucze do torebki. Wrzuciła. -1 co myślisz?

- Myślę, że cię zabiję! To właśnie myślę!

- Nie mam ochoty prowadzić tej rozmowy. Spóźnię się do pracy. - Holly skierowała się do stacji metra, a Spence podążył za nią.

- Jezu, Holly, nawet nie próbowałaś mnie zakamuflować.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- O Palmerze, tym facecie z twojej książki. Zupełnie takim samym jak ja.

- Spence, to tylko jest powieść. Fikcja. Wszystkie postaci wymyśliłam.

- Bzdura, Holly. To jedna wielka bzdura, i dobrze o tym wiesz.

Holly szybko rozważyła opcje.

- Dobra, możliwe, że wykorzystałam jakieś epizody ze swego życia. Tak właśnie postępują pisarze. I nie zamierzam się za to kajać.

- To jest wyraźne i oczywiste zniesławienie.

- Ja tego nie widzę.

- Och, ty tego nie widzisz? - podchwycił Spence. - Napisałaś, że co? Że jestem pokrętny? Zimny, niezrównoważony psychicznie i że nienawidzę kobiet?

- Było tam też trochę miłych rzeczy o tobie.
- Wymień choć jedną.
- Napisałam, że masz jedwabiste włosy.
- Jezu, Holly. A niech cię!
- Tak na marginesie, Spence, nie uważasz, że czasami bywasz nienawistny? Czy nie ma w tobie utajonej wrogości w stosunku do płci przeciwnej?
- Przez matkę, tak? Ponieważ gdzieś tam głęboko w środku skrywam nienawiść do matki? To jest twoja teoria, mam rację?
- Holly, nie zwalniając kroku, wzruszyła ramionami.
- Holly, to wierutne bzdury!
- Posłuchaj, usiądź kiedyś i spróbuj napisać książkę. Czasami trzeba pewne rzeczy ubarwić, żeby było ciekawiej. Nie można napisać powieści o jakimś zwykłym związku, w którym niewiele się dzieje i który rozpada się po czterech latach, bo jeden z partnerów nie potrafi się zaangażować.
- Potrafiłem! Boże, Holly, przecież ja ci się oświadczyłem! Poprosiłem, żebyś za mnie wyszła! Czego więcej można chcieć?
- Holly przystanęła, wzięła głęboki oddech i spojrzała prosto na Spence'a.
- Spence, ty rzuciłeś mi ten pierścionek. Powiedziałeś, dokładnie pamiętam twoje słowa: „Masz tu swój pieprzony pierścionek”.
- Bo mnie wkurzałaś! Dłużej nie byłem w stanie tego znosić!
- Nie chcę na nowo się o to kłócić - oznajmiła Holly i szybkim krokiem ruszyła dalej. - I nie zamierzam przeproszać za książkę. Nie mam za co przeproszać. Zachowywałeś się jak duppek, kiedy byliśmy razem. Przykro mi, że byłeś dupkiem, ale wcale nie jest mi przykro, że o tym napisałam. Kogo to zresztą obchodzi? Poważnie, Spence, kogo to obchodzi?! Książka wyszła rok temu. Nikt poza moją najbliższą ro-

dziną jej nie przeczytał, a oni wszyscy już wcześniej zdążyli cię znienawidzić.

- Przez nią popsuło się kompletnie między mną i Cathleen.
- Spencer, wyluzuj. - Zrobiła minę, której nie widział od lat, ale pamiętał ją, jakby ją widział wczoraj. - Sypiałeś z inną kobietą. A potem okłamałeś Cathleen, kiedy cię o to zapytała. Tamta druga przysłała jej wasze zdjęcia zrobione w łóżku. Oboje byliście nadzy.

- Jezu! - jęknął. - Ona ci to wszystko opowiedziała?

- Niestety, tak.

- Czuję się tak, jakbym śnił najgorszy z koszmarów.

- No i...?

- Co: no i?

- Chciałam powiedzieć, że może to cię czegoś nauczy.

- Nie chcę się niczego od ciebie uczyć - oświadczył. - Już się wypisałem z Akademii Przesadnie Przetestowanych Związków imienia Holly Frick.

- Doskonale. Nie obchodzi mnie to, co robisz. Tylko bądź tak miły i przestań sterczeć pod moim domem. Muszę iść - powiedziała i znikła na schodach prowadzących na peron.

Jezu! - westchnął w myślach Spence. W tej chwili sprawy z Cathleen stały fatalnie; te zdjęcia! Nie sposób się z nich wyłgać i bez wścibiania nosa przez tę plotkarkę Holly. Świadomość, że rozmawiały o nim przez telefon, naradzały się, wymieniały poglądy... To nie w porządku. Tylko tak można to podsumować. To nie było w porządku! Coś w tym budziło u Spence'a pierwotny gniew, bo lubił rozdzielać wszystkie swoje sprawy, nie życzył sobie, aby jego różne związki zachodziły na siebie i wzajemnie się zatruwały. Wiedział, że podobne podziały i specjalizacje są w życiu niemożliwe, lecz tylko w takich układach czuł się komfortowo. I nie z powodu braku uczciwości, przynajmniej nie przede wszystkim i nie

do końca; po prostu czuł się lepiej, gdy ludzie, których znał, nie utrzymywali ze sobą kontaktów. Bo inaczej wynikały problemy.

Niedzielę spędził wyciągnięty na kanapie, czytając powieść Holly z coraz większym niedowierzaniem. Według niego pozbierała do kupy wszelkie nedorzeczne teorie na temat miłości i seksu, jakie wygłaszała przez całe życie, pomieszała je z niepochlebnymi portretami własnej rodziny oraz znajomych, doprawiła jego komiksowo ujętą osobą i przekonała kogoś, żeby to wydał. Nie dziwota, że Amerykanie przestali czytać książki. Pamiętał, że kiedy usłyszał o tej powieści tuż po tym, jak się ukazała, stanowczo postanowił, że nigdy jej nie przeczyta. Instynktownie wyczuwał, że to największa przykrość, jaką można sprawić pisarzowi - nie przeczytać jego książki. Może przejrzy pierwsze trzy strony, a potem ją odłoży. Preczyta, stojąc w księgarni, absolutnie nie kupując. Taki miał plan i trzymał się go do chwili, kiedy powieść " wpadła w ręce Cathleen, a ona zaczęła traktować ją jako coś w rodzaju dokumentu, jakby to był wierny i oparty na faktach opis jego czteroletniego związku z Holly Frick, z połowy lat dziewięćdziesiątych.

- Tak samo skłamałeś na temat tego, co się działo na wieczorze kawalerskim Dereka - wytknęła mu przez telefon Cathleen tydzień wcześniej.

Spence nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Wieczór kawalerski Dereka? Nie zna żadnego Dereka. A potem go oświeciło; znalazł Erica i Erie rzeczywiście wyprawił wieczór kawalerski z udziałem dwóch striptizerek, które namówili, już poza programem, za dodatkowe sześćset dolców, do lesbijskich igraszek na podłodze hotelowego apartamentu. Oczywiście nie powiedział o tym Holly, a ona oczywiście jakimś cudem się dowiedziała, ale to było całe wieki temu! Spence był jako tako przygotowany do wywijania się z kłamstw, które mówił w danym związku, lecz tym razem przyszło mu

tłumaczyć się z kłamstw mówionych przed laty zupełnie innej kobiecie oraz z jakichś mało istotnych incydentów, których nawet nie pamiętał. Tego już za wiele! Zdecydowanie za wiele.

A Cathleen? Ta kobieta działała jak detektyw. Kiedy wszystko się wydało, sądził, że oczyści atmosferę, tak jak to bywało w innych związkach. Liczył na to, że wszystko się rozwieje w ciągu kilku tygodni, lecz Cathleen okazała się uparta; namierzyła Holly i rozmawiała z Szaloną Molly, powoli gromadząc argumenty przeciwko niemu. Jak na kogoś tak wyczulonego na kwestię wierności poświęciła wiele czasu mężczyźnie, który, patrząc obiektywnie na dostępne fakty, nie hołdował zasadzie monogamiczności w swych miłosnych związkach. Wielokrotnie się przed nią tłumaczył i za każdym razem zbliżał się o parę kroków do prawdy, aż w końcu, zapędzony do narożnika, zdecydował się wyznać całą - powiedzmy: niemal całą - prawdę. Ta decyzja została w dużym stopniu podyktowana istnieniem kolekcji cyfrowych zdjęć Szalonej Molly; całkiem sporego zbioru, opatrzonego datami.

Nowoczesna technika! Dzięki tym samym rzeczom, które pomagają kwitnąć romansom - komórkom, beeperom, e-mailom - można równie dobrze podpaść. Kiedy Spence dowiedział się, że Szalona Molly miała komórkę ukrytą w kieszeni swetra, gdy przyszła, żeby z nim „zerwać”, zaczynając konfrontację od encyklopedycznej historii ich „związku”, jak nazywała to, co między nimi było, a Cathleen w tym czasie siedziała na kanapie w Boulder z telefonem przyciśniętym do ucha i słuchała tej całej rozmowy... o mało nie wykorkował! Coś takiego dwa tygodnie po przemailowaniu obciążającego, opatrzonego datą zdjęcia Spencera z Molly w łóżku! Jak mężczyzna może walczyć z czymś takim? Kiedyś kolega z biura wyjechał na weekend, rzekomo w delegację, zostawiając w domu żonę z dwójką dzieci. Tydzień później jego żona otworzyła podróżne scrabble i znalazła kartkę z punktacją

swego męża i jakiejś „Janelle”. To była tradycyjna technika demaskatorska! Teraz się o takich rzeczach nie słyszy. Obecnie w skrytkach samochodów można znaleźć elektroniczne organizery, zakamuflowane komórki na kartę, a czasem wystarczy jedynie ukradkiem wcisnąć klawisz ponownego wybierania w telefonie, nauczyć się otwierać e-maile partnera jako „nieprzeczytane”, łamać kody, tajne kody i supertajne kody -a to z kolei prowokuje pytania: czemu zmieniłeś(-aś) kod, skąd wiesz, że zmieniłem (-am) kod; pary w całym kraju tak postępują! Te nowoczesne nośniki prywatnej komunikacji umożliwiają intymne szepty i podtrzymują uczciwe związki do chwili, kiedy przestają takimi być, i wtedy stają się przede wszystkim narzędziem do uprawiania zakazanych romansów. Ciekawe - pomyślał Spence. - Ktoś powinien się temu przyjrzeć.

Poznał Cathleen w absolutnie tradycyjny, niemal staro" świecki sposób, podczas górskiej wycieczki rowerowej po obrzeżach Moab w Utah. W folderze opisano tę wycieczkę jako rustykalną, co, jak się na miejscu okazało, oznaczało kolacje z ryżu i fasoli oraz konieczność wypróżniania się do wiadra od chwili, gdy niechlujny przewodnik wygłosił płynący z głębi serca, przydługi wykład o ilości czasu potrzebnego na rozłożenie się ludzkich fekaliów na pustyni. W wycieczce udział brało siedem samotnych kobiet; wszystkie powyżej trzydziestego czwartego roku życia i wszystkie jakby odrobinę zdesperowane. Jedną Cathleen się wyróżniała, bo sprawiała wrażenie naprawdę zadowolonej, ochoczo pedałowiała po pustyni, oglądała gwiazdy i korzystała z wiadra zamiast z łazienki.

Podczas całej wycieczki nie wydarzyło się nic istotnego, ale ostatniego wieczoru, kiedy nie udało im się zaliczyć Szlaku Slickrock, Spence i Cathleen wybrali się na cienkie margarity do baru pod gołym niebem, z doniczkami kaktusów na

stolikach oraz z motywami nadrealistycznych jaszczurek na ścianach, i wtedy Spence pomyślał: a może? Cathleen była niewysoka i intrygująco krągła, miała gęste, kasztanowe kręcone włosy, które spinała w koński ogon aż do ostatniego wieczoru, gdy nareszcie mieli okazję wziąć porządny prysznic w Holiday Inn. Zajmowała się architekturą krajobrazu i specjalizowała w projektach Xeriscape, które, jak wyjaśniła, opierały się na filozofii rozwiniętej w latach siedemdziesiątych, zakładającej sadzenie rodzimych roślin, planowanie ekonomicznego wykorzystywania zasobów wodnych oraz rezygnację z typowych amerykańskich trawników. Spence miał okazję zobaczyć próbkę jej charakteru, gdy zapytał: „Mówisz o tych świrusach, co hodują marychę przed domem?”. Cathleen miała dom, zabytkowy bungalow z lat dwudziestych, któremu z pietyzmem przywracała oryginalny wygląd, spędzając weekendy na zdrapywaniu farby i myszkowaniu po pchlich targach w poszukiwaniu starych lamp i zapasowych kafelków. Trzymała dwa duże żółte psy (naturalnie, ratownicze) i jej życie w dużej mierze kręciło się wokół powrotów do domu o takiej porze, żeby zdążyć je wyprowadzić, zanim narobią na dębowe podłogi, których dopieszczenie wyrwało miesiąc z jej życia. Wszystko w Cathleen zdawało się krzyczeć: „Potrafię o siebie zadbać!”, co Spence'a bardzo pociągało, bo nie wyobrażał sobie, aby mógł zadbać o kogokolwiek poza sobą.

Cathleen musiała przetrwać każdą sprawę, przyjrzeć się jej ze wszystkich stron, połączyć fakty, zinterpretować je i wytłumaczyć Spence'a Spence'owi. Tak bardzo była zaangażowana w terapię, że wydawała się odwalać całą robotę za nich oboje. Któregoś razu na przykład, w początkowej fazie ich związku, Spence miał zadzwonić do niej o dziesiątej wieczorem (według jego czasu o północy) i nie zrobił tego. Następnego dnia przyszedł od Cathleen e-mail następującej treści: „Z tego, co widzę, nie mam co liczyć na telefon

o wcześniej ustalonej porze. W porządku, musisz jednak wiedzieć, że w konsekwencji, z powodu różnicy czasu, nie będziemy ze sobą rozmawiać tak często, jak do tego przywykliśmy. Wiesz, że dla zasady nie noszę komórki". Kiedy Spence rano przeczytał ten e-mail, musiał przyznać, że Cathleen zareagowała niezwykle rozsądnie. Rzeczywiście nie życzył sobie, aby oczekiwano od niego telefonów o ustalonej godzinie, no i poniósł tego konsekwencje (jako że lubił te ich późno-wieczorne rozmowy), ale przynajmniej wszystko zostało jasno powiedziane. Tyle nieistotnych spraw, które urastały do rangi problemów i doprowadzały do karczemnych awantur w poprzednich związkach, rozwiewało się dzięki zdroworozsądkowemu podejściu Cathleen. Zupełnie jakby osiągnęła etap, na którym sama była w stanie zadbać o ich związek. Spence uznał to za wielce ożywcze. Zmęczyły go kontakty z nadwrażliwymi kobietami, które z byle powodu wybuchały płaczem i ciskały najróżniejszymi przedmiotami. Rozmowa z Cathleen często zaczynała się od: „Z tego, co widzę..."

i „Kiedy tak postępujesz, odnoszę wrażenie, że..."

A teraz się okazało, że jest taka sama jak inne. Miał do czynienia z rozwrzeszczaną, rozszlochaną histeryczką. Skończyło się: „Niech pomyślę, czy dobrze zrozumiałam, o co ci chodzi..." czy: „Sypiając z innymi kobietami, sprawiasz, że czuję się lekceważona...". Pozostało: „Wal się, Spence". Hmm, przynajmniej powrócił na znajome terytorium. Był już kiedyś w tym miejscu.

Zdeklarowany buddysta

Kiedy ostatnim razem Holly zajrzała do księgarni Strand, wyłoniła się stamtąd dwie godziny później z tomiskiem *Alchemii i mistycyzmu* wydawnictwa Taschen, z dwoma dziennikami May Sarton, z egzemplarzem *The Corrections* Jonathana Franzena za sześć dolarów, który miał zastąpić ten nieopatrznie utopiony w wannie, oraz z zafoliowanym wydaniem *The French Laundry Cookbook* Thomasa Kellera. Waga torby zmusiła ją do powrotu do domu taksówką. Wieczorem doszła do wniosku, że z tego wszystkiego, co kupiła, do czytania nadawały się jedynie dzienniki, lecz po kilku stronach *At Seventy* - żonkile przygięte do ziemi przez burzę, bolesne zapalenie uchyłka, martwy szop pracz - uznała, że nie ma ochoty czytać dalej. Podczas małżeństwa z Alexem pewnego razu popełniła błąd, zostawiając na klapie sedesu „Journal of a Solitude”, i później, kiedy zobaczył ją z dziennikiem w łóżku, zapytał: „O czym ta May mendzi tym razem?”. Podobnie było z Emily Dickinson, gdy siostra zaproponowała, żeby czytała, słuchając jednocześnie melodii z *Gilligan 's Island*. Kiedy człowiekowi jakaś myśl utkwi w głowie, trudno się jej pozbyć.

Tym razem w to szczególne niedzielne popołudnie, zanim weszła do księgarni, powzięła kilka postanowień. Po pierw-

sze, kupi tylko te książki, które rzeczywiście zamierza przeczytać; po drugie, muszą być na tyle lekkie, aby mogła wrócić do domu metrem, i po trzecie, musi się zmieścić w trzydziestu dolarach. Przeglądała półki z biografiami pisarzy, już niebezpiecznie blisko wyznaczonego limitu, kiedy usłyszała nieznamy głos.

- Znam cię.

- Taa - odmrugnęła. - Cześć.

- Przyjaciółka Amandy.

- Holly - podpowiedziała.

- Jasne. Jestem Jack.

- Pamiętam - odparła. - Zdeklarowany buddysta.

- Tak jest. - Uśmiechnął się.

- Miło cię widzieć - powiedziała. Pozdrowiła go energicznym skinieniem głowy, po czym odwróciła się do regału i studiowała napisy na grzbietach książek.

Chwilę później Jack zdjął z półki nieco obszarpany egzemplarz *Młodzieńczych lat Roberta Frosta*.

- Czytałaś to? - zwrócił się do niej.

- Nie.

- Ale wiesz, kim był Robert Frost?

Spojrzała na niego jak na kogoś, kto pyta, czy wie, kim był Robert Frost, i beznamiętnym tonem wyrecytowała: „Dwie drogi znikają w lesie i wybrałem tę mniej uczęszczaną”...

- „A to sprawiło wielką różnicę”. Właśnie. Dość zabawna historia. Chcesz jej posłuchać?

Odpowiedziała obojętnym wzruszeniem ramion, które równie dobrze mogło oznaczać „czemu nie?”.

- No więc Robert Frost był zawsze uważany za skromnego, poczciwego człowieka z tych w rodzaju „sól ziemi”. Typowy rolnik poeta. Wszyscy wokół go kochali. Nie tyle jego wiersze, ile jego samego. Tymczasem ten facet... - Jack wskazał okładkę książki. - ...Lawrance Thompson, zostaje biografem Frosta. Zabiera się do pisania obszernej, trytomowej

biografii i kiedy go lepiej poznaje, studiując listy i przeprowadzając rozmowy z rodziną i przyjaciółmi, zaczyna czuć do niego nienawiść. Poważnie, on go szczerze nienawidzi. Stwierdza, że Frost był po prostu podły. Tak więc w każdym kolejnym tomie ukazuje go w coraz gorszym świetle. O tutaj... - Jack zajrzał na koniec książki. - Popatrz tylko na hasła w indeksie. „Gniew”, „Zemsta”. - Przewrócił parę kartek. - „Zazdrość”, „Tchórzostwo”. W jednym z późniejszych tomów jest nawet cała długa lista derywatyw od słowa „niego-dziwość”.

- Ciekawe - przyznała Holly nieco oschle. - Nie wiedziałam o tym.

Jack odstawił książkę na półkę.

- Po prostu usiłuję nawiązać księgarską rozmowę ze sławną autorką.

- No, moja książka stoi w różowym dziale, żeby dziewczynkom się nie myliło.

- Przepraszam, jeśli cię wtedy uraziłem. Amanda wytłumaczyła mi to i owo po twoim odejściu.

- Nie ma sprawy. Zdążyłam przywyknąć.

- Powiedz mi coś o swojej książce - poprosił. - Odniosła sukces?

- Nawet nie mierny.

- Naprawdę? Amanda mówiła, że spotkała się z kilkoma pochlebnymi recenzjami.

- Rozeszła się w czterystu dwudziestu trzech egzemplarzach w twardej okładkach - powiedziała Holly. - Przynajmniej do czwartku.

- Znasz dokładną liczbę? - zdziwił się Jack. - Nie sądziłem, że podaje się takie rzeczy autorom.

- Nie podaje się - potwierdziła jego przypuszczenie. - Koleżanka zna kod do BookScanu. Planowałyśmy otworzyć butelkę szampana po sprzedaży pięćsetnego egzemplarza, ale to wydaje się mało prawdopodobne.

- Przynajmniej masz do tego zdrowy dystans - orzekł Jack.
 - Nie całkiem - wyznała. - To raczej na pokaz.
 - Piszesz następną?
 - Następną powieść? - spytała Holly. - Wykluczone. Mam różne problemy, lecz masochizm ma swoje granice.
 - W takim razie nad czym teraz pracujesz?
 - W tej chwili piszę scenariusz do serialu telewizyjnego. Pisanie dla telewizji mieści się na krawędzi mego masochizmu - podsumowała. Odwróciła się twarzą do regału. - A ty szukasz czegoś konkretnego?
 - Nie - zaprzeczył. - W następny weekend wyjeżdżam na wieś i potrzebuję czegoś do poczytania w pociągu.
 - Na wieś?
 - Z moją grupą buddystów.
- Holly wyciągnęła rękę i zdjęła z górnej półki biografię Virginii Woolf Quentina Bella.
- I co? Medytacje, spanie na pryczach, zdrowa żywność, takie tam rzeczy?
 - Mniej więcej.
- Holly przyjrzała mu się uważnie.
- Co...?
 - Nic, pomyślałam, że to dość ciekawe.
 - Co jest „ciekawe”?
 - Właściwie nie moja sprawa.
 - Powiedz.
 - No dobrze. Pomyślałam sobie, iż ciekawe, że bierzesz to wszystko tak poważnie, wyjeżdżasz medytować w weekendy, kupujesz książki i prawdopodobnie masz mnóstwo tych dziwacznych, purpurowych poduszek porzucanych po całym domu, a jednocześnie... - Holly szukała w myśli odpowiedniego określenia. - ...ciągniesz tę historię z Amandą.
- Jack patrzył na nią, jakby nie rozumiał, o co chodzi.
- Wiem o wszystkim, przyjacielu. O seksie - dodała. -I o pieprznych pogaduszkach.

- Powiedziała ci?

- Nie miej jej tego za złe. Ludzie mówią mi wszystko -oznajmiła. - To prawie jak przekleństwo.

- Okay, zacznijmy od tego, że nie oddzielam cielesności od duchowości - wyjaśnił Jack. - Jakoś mi to nie wychodzi.

Holly przewróciła oczami.

- I nie mam purpurowych poduszek - dodał.

- Staram się tylko powiedzieć, że nie masz pojęcia, co robisz, w co się pakujesz i jakie mogą być tego konsekwencje dla wszystkich zainteresowanych. Nie wystarczy powiedzieć sobie: „będzie, co ma być” i „jestem tylko liściem niesionym przez nurt”, bo to, co robisz, delikatnie mówiąc, jest głęboko nieetyczne.

- Okay, być może masz rację i będę musiał to przemyśleć.

- Dziękuję.

- Ale niczego nie obiecuję.

- Przyjęłam do wiadomości.

- Chciałbym jednak zaznaczyć, że niczego nie planowałem i sam jestem równie zaskoczony tą sytuacją. - Jack odstawił biografię Frosta w to samo miejsce, skąd ją wziął. -Wiesz co? Muszę lecieć na drugą stronę ulicy, do Paragonu, po ciepłą bieliznę. Chcesz dłużej pogadać?

O ile Strand oznaczał intelekt, o tyle Paragon był jedną wielką cielesnością. Pełen po brzegi wysportowanych, żądnych przygód entuzjastów otwartych przestrzeni, którzy według Holly nie mieli czego szukać w Nowym Jorku i jeśli została im choć odrobina rozumu, powinni czym prędzej spakować manatki i przenieść się na przykład do Bozeman, żeby znaleźć się pośród ludzi swego pokroju. Jack, z drepczącą za nim Holly, kluczył pomiędzy golfistami, narciarzami, pływakami oraz pieszymi turystami, następnie zszedł po paru schodkach do działu z odzieżą. Po krótkich poszukiwaniach zdecydował się na parę kalesonów, które na modelu ze zdję-

cia wyglądały jak dół od piankowego kombinezonu. Cylindryczne kartonowe opakowanie pokrywały rysunki papryczek chili, niby dając do zrozumienia, jak bardzo rozgrzewa zawarty w nim produkt.

- W tym się pan spoci - zauważył usłużnie sprzedawca, widząc, że Jack studiuje tekst na odwrocie pudełka.

Mężczyzna miał trzydniowy zarost i wyglądał tak, jakby przed śniadaniem wrócił z górskiej wspinaczki.

- Będę dużo przebywał na dworze i chcę, żeby było mi ciepło - wyjaśnił Jack.

- Ciepło? Panu będzie gorąco. Proszę mi wierzyć, nie będzie pan zadowolony. Niech pan weźmie to. - Sprzedawca podsunął Jackowi klasyczny komplet z mieszanki jedwabiu i bawełny w przezroczystym opakowaniu.

- Lżej sze od tamtych? - spytał Jack.

- Ciepły. Idealny. Dokładnie to, czego pan szuka.

- Rozumiem, ale chyba wolę, jak mi jest gorąco. Chcę kupić ciepłą bieliznę. Gdybym nie chciał się zgrzać, kupiłbym klasyczną - tłumaczył Jack.

- Niech pan mi zaufa. - Sprzedawca konspiracyjnie zniżył głos. - Tak naprawdę tamte kupują wyłącznie dziewczyny.

Jack stał z paczkami bielizny w dłoniach i przez chwilę sprawiał takie wrażenie, jakby zamierzał odłożyć kalesony w cylindrycznym opakowaniu na obrotową wystawkę.

- Rozumiem - powiedział w końcu. - Jestem wdzięczny za troskę, ale jednak zaufam intuicji i zdecyduję się na te. Niemniej dziękuję.

- Jak pan uważa - odparł sprzedawca i wyraźnie zniesmaczony, powolnym krokiem ruszył w kierunku puchowych kurtek.

- Jak dobrze, że ta cała sytuacja nie była dla mnie krępująca! - Jack zwrócił się do Holly, kiedy wyszli na zewnątrz. -Fajnie, że cię poprosiłem, abyś mi towarzyszyła i patrzyła na to wszystko.

- On naprawdę nie chciał, żebyś kupił te kalesony - powiedziała Holly. - Ciekawe, kto miał rację.

- Dam ci znać.

- Koniecznie.

- Znam podobne sytuacje z życia koleżanek - powiedziała Holly.

Przeszli przez Broadway i skręcili na Washington Square. Teraz siedzieli na ławce, jedli precle i obserwowali dwójkę deskorolkarzy, wyraźnie konkurujących o to, który z nich szybciej wylądował na pogotowiu.

- Poznaje taka faceta przy brodziku dla maluchów i trzy tygodnie później jest gotowa z nim uciec. Jednak coś tam każe jej trwać przy swoim życiu i przy rodzinie, bierze parę głębokich oddechów i wszystko wraca do normy. Romans się kończy. Ona dalej żyje, tak jak żyła, a po miesiącu jest znowu szczęśliwa.

- Jest szczęśliwa?

- Może nie nadzwyczaj szczęśliwa - przyznała. - Ale w miarę.

Holly skupiła się na jedzeniu, a dokładniej na utrzymaniu na kolanie papierowej tacki z preclem posmarowanym musztardą oraz na podnoszeniu i ustawianiu puszki z diet coke przy prawym biodrze, na wąskich, zielonych deskach parkowej ławki. Jack obserwował ją przez chwilę z lekkim rozbawieniem.

- No, a ty? Czemu rozstałaś się z mężem?

- Pytasz, dlaczego się rozwiodłam?

- No.

- Mój mąż postanowił zacząć umawiać się na randki.

- Co to znaczy? - spytał Jack. - Nawiązał romans?

- Trudno to nazwać romansem. Nie chodziło o „tę drugą kobietę”. Zaczął spotykać się ze znajomymi na mieście, w weekendy wychodził na drinka, a potem jakieś zupeł-

nie nieznane mi kobiety wydzwaniały do domu i pytały o niego.

- Poważnie?

- Taak. Odbierałam telefon i jakaś dziewczyna, o której nigdy przedtem nie słyszałam, pytała, czy zastała Alexa. Jakbym była współlokatorką czy kimś w tym rodzaju. Nawet nie próbował się z tym kryć.

- I co zrobiłaś?

- No wiesz, teraz, patrząc z perspektywy, udawałam, dłużej, niż pozwalała na to poczucie godności, że nic się nie dzieje.

Jack skwitował jej słowa uśmiechem.

- W końcu, któregoś wieczoru, kiedy mył zęby w łazience, rzuciłam mimochodem: „Czy powinnam się niepokoić?”. -Holly oderwała kawałek precla i włożyła do ust. - A on na to: „Chyba tak”. Od tamtej chwili sprawy potoczyły się bardzo szybko.

- Z tego, co słyszę, był z niego niezły świr.

- Taak, hmm, kiedy jest po sprawie, oni wszyscy wydają się świrami. Ale przez jakiś czas potrafią być najlepszymi przyjaciółmi. Alex zawsze umiał mnie rozbawić, prowadziliśmy najciekawsze rozmowy pod słońcem i nadał jakaś część mnie czuje, że gdyby ktoś spytał, z kim chciałabym spędzić dziesięć lat na bezludnej wyspie, wybrałabym Alexa - wyznała Holly. - Naturalnie, pod warunkiem, że byłabym dla niego jedyną opcją, jeśli chodzi o seks. Wtedy wszystko byłoby prostsze.

- Kiedy się rozeszliście?

- W styczniu minął rok - wyjaśniła Holly. - Śmieszne. Miałam tyle czasu, żeby to wszystko przemyśleć, doszukać się jakiegoś sensu, ale wydaje mi się, że on po prostu należał do ludzi, którzy nie odnajdują się w małżeństwie. Zwyczajnie mu to nie odpowiadało. I to jest smutne, bo ja byłam zachwycona - zwierzała się Holly. - Kochałam go.

- Przykro mi.

- Nie ma sprawy. Powinno się kochać osobę, z którą bierze się ślub. Powoli się z tego otrząsam.

- Zaczęłaś się z kimś spotykać?

- Nie nazwałabym tego spotykaniem się - powiedziała Holly. - Sypiam z dwudziestodwulatkiem.

- Naprawdę? Z dwudziestodwulatkiem? Jestem pod wrażeniem.

- Jest uroczy. Prawdziwy ideał mężczyzny i jestem pewna, że kiedyś uszczęśliwi jakąś dziewczynę, która w tej chwili kończy gimnazjum.

- Kto wie? Może akurat wam wyjdzie. Myślę, że czasem tylko nasze wyobrażenia stają nam na drodze do szczęścia.

- Możliwe - odrzekła. Jeden z deskorolkarzy zderzył się z hydrantem, przekoziółkował i wylądował na wznak na kupie piachu. - To bywa niesamowite. On bez przerwy mówi mi takie rzeczy, jak: „Twoje ręczniki są takie miłe”, „twoja pościel jest taka miękka”. Któregoś wieczoru podałam mu talerz spaghetti carbonara do łóżka, a on na to: „Moja mama robiła takie dania”.

- Tak powiedział? Przytaknęła skinieniem głowy.

- Jest taki młody, nieskrzywiony psychoterapią, taki wolny od wpływu Manhattanu, życie tutaj ani trochę nie uderzyło mu do głowy. Mówię to gwoli informacji.

- Jestem pod wrażeniem, że podajesz facetom spaghetti do łóżka.

- Być może to rodzaj przesadnej kompensacji - uznała. - Czy powinniśmy się przejąć tym idiotą?

Deskorolkarz leżał bez ruchu na piachu, pojękując piskliwie. Jego towarzysz klęczał na chodniku dwa metry dalej, obejmując się ramionami w ataku hysterii.

- Damy mu parę minut i zobaczymy, czy porusza nogami - zdecydował Jack. - Chcę, abyś wiedziała, iż zdaję sobie sprawę, że ta historia z Amandą to beznadzieja.

- Taak?
 - Naprawdę.
 - Hmm... Czemu nie zrobisz tego, co normalne? Nie zaczniesz się spotykać z kimś, kto jest wolny? W mieście żyje z milion wspaniałych samotnych kobiet...
 - I żadna z nich nie może znaleźć porządnego faceta, z którym warto byłoby się umówić? Tak to jest?
 - A nie jest?
 - Twierdzenie, że w mieście roi się od fantastycznych samotnych kobiet po trzydziestce, które nie mogą znaleźć odpowiedniego faceta, to jeden wielki nowojorski mit - rzekł Jack.
 - Według ciebie tak nie jest?
 - Moje doświadczenie wskazuje co innego.
 - To znaczy?
 - Jak myślisz, z kim się spotykałem przez te wszystkie lata? Z całą galerią „fantastycznych” nowojorskich kobiet.
 - No i co z nimi nie tak?
 - Pytasz o moje doświadczenia? - Jack wycisnął resztkę musztardy na ostatni kęs precla, zastanawiając się nad odpowiedzią. - Są pełne rezerwy, pokrętne, boją się zażyłości i nie potrafią podtrzymać zainteresowania.
 - Ponieważ mieszkają w tym miejscu. Piętnaście lat życia w roli singielki musi wypaczać charakter.
- Deskorolkarz dźwignął się na czworaki i z trudem łapał oddech.
- Wiesz, czego chcę? - zapytał Jack. - Chcę kogoś, kto jest ciepły.
- Holly pociągnęła duży łyk diet coke.
- Przenieś się do Kansas - poradziła.
 - Poważnie. Chcę ciepła od kobiety. Czy za wiele żądam?
 - Nie, lecz nie sądzę, że to cię zadowoli - odparła. - Według mnie chcesz kobiety, która ma styl, jest elokwentna, dowcipna, błyskotliwa i ustawiona zawodowo, modnie się

ubiera, chodzi na siłownię, ma płaski brzuch, a na domiar tego wszystkiego jest ciepła i troskliwa. Chyba trudno to wszystko pogodzić.

- Amanda taka nie jest.

- Masz rację - zgodziła się Holly.

- I to właśnie jest w tym wszystkim dziwne - wyznał. -Sprawia, iż myślę, że chciałbym mieć żonę.

Holly przyglądała mu się przez sekundę.

- Wiesz co? Kobiety zostają żonami, kiedy wychodzą za mąż - powiedziała w końcu. - Nie musisz zadawać się z cudzą. Spraw sobie własną.

- Słuszna uwaga.

Słońce osuwało się pomiędzy dwa budynki po przeciwnej stronie skweru. Holly zerknęła na zegarek.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że zrobiło się tak późno. Muszę się zbierać.

- Naprawdę?

- Tak.

- Fajnie, że na ciebie wpadłem.

- No, było zabawnie - odwzajemniła się. - Dzięki za wykład w pigułce o Robercie Froście, no i brawo za, no wiesz, ten happening z bielizną.

Podnieśli się z ławki. Razem opuścili park i doszli do łuku, który, już oświetlony, jarzył się w zapadającym zmroku. Zatrzymali się na początku Fifth Avenue, żeby złapać taksówki.

- Wiesz co? W przyszły weekend jest impreza, na której chciałbym być - odezwał się Jack. - Urządzają w Chelsea przyjęcie dla mojego znajomego artysty. Amanda nie może ze mną pójść z oczywistych względów, więc, no wiesz, pomyślałem, że może chciałabyś mi towarzyszyć.

- Chcesz, żebym tam z tobą poszła?

- Tak mi przyszło do głowy.

- Wiesz, nie sądzę, że to dobry pomysł - odparła. - Ostat-

nio żyję na wysokich obrotach, mój pies jest chory, muszę zabrać się do pisania scenariusza, obiecałam sobie poświęcić ten miesiąc na zajęcie się sobą i przemyślenie pewnych spraw...

- Holly, to tylko cocktail party, nie trzy tygodnie na Barbados.
- Wiem, ale... - Wbiła wzrok w noski butów. - Opuść to sobie.
- Może innym razem.
- Może.

Urojone problemy

Kiedy Leonard przeniósł się do Nowego Jorku, żeby pisać *Dzierlatki*, umieścił w swoim domu w Los Angeles rezydenta, który miał go pilnować, i wynajął mieszkanie w Archive Building w West Village za sześć tysięcy dolarów miesięcznie, co zwiększało jego koszty utrzymania, być może nieco nieroztropnie, do piętnastu tysięcy. Dwa miesiące po przeprowadzce do nowego mieszkania kobieta, która zajmowała lokal dokładnie nad nim, zemdląła, przygotowując kąpiel, woda z wanny się przelała i na suficie nad łóżkiem Leonarda pojawiły się brunatne plamy. Leonard zadzwonił ze skargą do swego księgowego, Lou, a on telefonicznie z Los Angeles zorganizował przenosiny Leonarda do pustego mieszkania dwa piętra niżej. Wynajął tragarzy, załatwił człowieka do spakowania i rozpakowania rzeczy, innego do podłączenia elektroniki, a także osobę, która nadzorowała przeprowadzkę, przeniosła zawartość lodówki, zdjęła na wpół zużytą rolkę papieru toaletowego z dozownika obok starej muszli Leonarda i przełożyła do tego przy nowej. Wszystko odbyło się gładko i bez utrudniania życia Leonardowi, który w czwartek rano wyszedł do pracy z jednego mieszkania, a dziesięć godzin później wrócił do innego, identycznego, dwa piętra niżej.

Jakoś nie docierało do niego, że nie stać go już na taką rozrzutność i płacenie ludziom za uwalnianie go od obowiązków i niedogodności codziennego życia, a Lou, którego zapewne moralnym, jeśli nie wynikającym z powiernictwa obowiązkiem było mu to uzmysłowić, miał pięćdziesiąt tysięcy powodów, aby utrzymać status quo.

Mimo wszystkich starań i profesjonalnej dbałości o szczegóły jakimś cudem przeoczono podłączenie kabłówki i kiedy Leonard wrócił do domu w czwartek wieczorem, odkrył, że telewizor nie działa. Oznajmił Holly, że na weekend zamierza się przenieść do apartamentu w Gansevoort, a ona, jak zawsze rozsądna, wybiła mu to z głowy. Dlatego też oboje spędzali późne piątkowe popołudnie w nowym, a jednocześnie identycznym mieszkaniu Leonarda, czekając na instalatora kabłówki i szukając nowych pomysłów do serialu.

- Powiedzmy: Angela podejrzewa, że jej rodzice się rozwodzą - podrzuciła temat Holly. - Dziwnie się zachowują, szepczą po kątach i rozmawiają z obcymi ludźmi przez telefon, no i ona mówi o tym swoim przyjaciółkom, które podtrzymują ją na duchu i dają najróżniejsze rady, a tymczasem pod koniec odcinka okazuje się, że rodzice planowali urządzić jej urodzinowe przyjęcie niespodziankę.

Leonard leżał na kanapie z zamkniętymi oczami i z dłońmi splecionymi na piersi.

- Angela to ta czarna, tak?

- Leonard!

Otworzył jedno oko.

-Chinka?

Bohaterkami serialu były cztery przyjaciółki: biała dziewczyna, Afroamerykanka, Azjatka i muzulmanka. Wszystkie należały do drużyny koszykarskiej fikcyjnego bostońskiego gimnazjum Immaculata Junior High. Co prawda akcja serialu toczyła się współcześnie, lecz zakonnice prowadzące szkołę chodziły w czarnych habitach i w białych kornetach, bo pro-

ducenci uznali, że tak będzie zabawniej. Żeby przełamać stereotypy, Afroamerykanka była nieprzyzwoicie bogata, Chinka cieszyła się ogromną popularnością, muzułmanka była gorącą laską, a biała dziewczyna nie miała wyrazistej osobowości. Całość była tragiczna, pełna niesmacznych gagów; zakonnice jadły parówki i ścisnęły ogórki, rzucając przy tym głupawe, spłoszone spojrzenia w kamerę.

- To ta czarna - wyjaśniła Holly i westchnęła. - Angela jest czarna, Mimi to Chinka, Taylor jest biała, a Nuala to muzułmanka.

Leonard zrobił zdziwioną minę.

- Dlaczego muzułmanka chodzi do katolickiej szkoły?

- Dopiero teraz cię to zastanowiło? - zdziwiła się Holly. - Piszemy ten serial od dwóch miesięcy, a ty dzisiaj nie wiesz, czemu muzułmanka chodzi do katolickiego gimnazjum?

- Widocznie dotąd nie zwracałem na to uwagi.

Holly osunęła się na krzesło i kilkakrotnie uderzyła czołem o blat biurka.

- Nuala wygrała stypendium koszykarskie. W drugim odcinku jej rodzice spotykają się z zakonnkami, dogadują się z nimi i rzucają parę dowcipów o habitach i kornetach. Chodziło o to, żeby pokazać, iż pod spodem wszyscy jesteśmy tacy sami.

- W katolickich gimnazjach fundują stypendia koszykarskie? - zdziwił się znowu Leonard.

- Przestań dzielić włos na czworo - ucięła Holly, kręcąc głową.

Fiona, matka Holly, dzwoniła do niej raz w tygodniu, przeważnie w piątki, pomiędzy wyjściem na partyjkę mah-jonga i powrotem z MOPS-u. Holly nie całkiem wiedziała, czym zajmuje się ów MOPS poza tym, że chodzi o kościół i małe dzieci, a jej matce daje okazję do pomstowania na tych

wszystkich zwariowanych rodziców, którzy wymyślają alergię na orzeszki ziemne i plotą bzdury o możliwości udławienia się wszelkimi przedmiotami, jakie dają się przepchnąć przez otwór w rolce papieru toaletowego. Gdyby to zależało od Fiony, zamknęłaby wszystkie MOPS-owe maluchy w kościelnej piwnicy z ogromną porcją ciasteczek z masłem orzechowym i z workiem szklanych kulek, żeby sprawdzić, ile z nich ujdzie z życiem. Niemniej wolontariat poprawiał jej samopoczucie.

- Głupio zrobiłaś, Holly - podsumowała, gdy Holly doniosła jej o „adopcji” Chestera. Odkąd Holly powiadomiła ją o rozwodzie z Alexem, Fiona uznała, że ma prawo wygłaszać opinie z brutalną szczerością, ponieważ córka potwornie za-bałaganiała sobie życie, gdy ona zatrzymywała swoje zdanie dla siebie. - Biedny pies zdechnie, a ty nie będziesz w stanie uporać się z tym emocjonalnie.

- Nie zdechnie. Weterynarz powiedział, że Chester ma duże szanse na przeżycie.

- Co ci kazało myśleć, że mądrze postępujesz, biorąc psa z guzem mózgu?

- Nigdy nie mówiłam, że to mądre - odparła Holly. -Zrobiłam tak, bo chciałam tego.

- Chciałaś.

- Tak, mamó. Chciałam.

- Nigdy w życiu nie zrobiłam tego, co chciałam - dało się słyszeć po długiej pauzie.

To była druga strona porozwodowych relacji Holly z matką - małe oberwania chmury druzgocącej szczerości, które pojawiały się niespodziewanie i nieodmiennie zwały Holly z nóg. Któregoś razu, gdy obydwie jechały do centrum handlowego, matka ni z tego, ni z owego wyznała:

- Wiesz co? Wydaje mi się, że byłabym szczęśliwa w związku z kobietą.

- Przestań, mamó, nie mówisz poważnie.

- Niby robiłam, co chciałam - odrzekła Fiona. - Lecz to, samo w sobie, nie stanowiło dostatecznej motywacji. Nigdy nie zrobiłam czegoś, czego nie powinnam, nie popełniłam jakiegoś głupstwa tylko dlatego, że tego chciałam.

- No tak, myślę, że to smutne.

- Może, lecz dzięki temu uniknęłam mnóstwa kłopotów.

- Co jest złego w kłopotach? - spytała Holly, myśląc przy tym o sypianiu z Lucasem, „adopcji” Chestera i nawet, przez sekundę, o popołudniu spędzonym na pogaduszkach z Jackiem oraz podejrzeniu, że gdyby nie był związany z Amandą, może by go szczerze polubiła. - Zamierzam postarać się o więcej prawdziwych problemów i pozbyć się urojonych. Tak jak radzi ta rymowanka, która wisi przy ubikacji.

Matka zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- A ja wolałabym mieć sto problemów urojonych zamiast jednego prawdziwego.

Kiedy Holly wróciła z łazienki, Leonard z roztargnioną miną drapał się po prawym przedramieniu. Gdy go obserwowała, drapanie przeniosło się na ramię, a potem na szyję.

- Znowu się drapiesz?

- Jak widać.

- Sądziłam, że doktor coś ci zapisał.

- Zapisał, ale znowu mnie swędzi.

- Czemu?

- Stres związany z przeprowadzką.

- Już po wszystkim - przypomniała Holly. - Zostałeś przeprowadzony. Skąd więc stres?

- No wiesz... - Szerokim gestem omiół pokój. - To. Holly rozejrzała się wokół siebie. Meble stały dokładnie

w tych samych miejscach co w mieszkaniu na górze, obrazy wisiały na ścianach, nigdzie śladu kartonów.

- Doprawdy, nie wiem, o czym mówisz.

- O oczekiwaniu na instalatora kablowki. Holly zmierzyła go wzrokiem.

- Leonardzie, tak to właśnie wygląda u normalnych ludzi. Po przeprowadzce czekają na instalatora kablowki. Nie płacą komuś pięćdziesięciu dolarów na godzinę, żeby czekał za nich, ani nie przenoszą się do luksusowego hotelu, jeśli fachowiec się nie pojawi.

O to właśnie chodziło. Problemem byli „normalni ludzie”. To go nękało. Leonard nie chciał żyć jak normalny człowiek, jak ktoś, kto zajmuje się własnymi sprawami, przenosi kanapy, zastanawia się dwa razy, zanim wyda trzysta dolarów na kolację. A oczekiwanie na instalatora kablowki przypominało mu, jak nisko upadł.

W tym tygodniu odbył dziwną rozmowę z szefową, ogromnie nieprzyjemną kobietą nazwiskiem Marta Brooks. Marta była mózgiem *Dzierlatek*, to na niej spoczywała odpowiedzialność za wszelkie chybione pomysły, a jednocześnie to na nią spłynęłaby większość splendorów, gdyby serial okazał się drugą *Hannah Montana* czy *Dora poznaje świat*.

Twórcza formuła Marty sprowadzała się do dwóch często powtarzanych zdań: „Gdzie jest granica?” i „Włóż w to więcej serca”. W czwartek po południu Leonard znalazł się z nią sam na sam w windzie, czyli w sytuacji, której starannie unikał, jednakże dla nawiązania rozmowy zapytał ją o sondaże.

- Nie obchodzą mnie sondaże - ucięła.

Wyjaśnił, że pyta z czystej ciekawości, bo po tylu latach pracy przy serialach nadawanych w czasie najwyższej oglądalności chciał mniej więcej zorientować się w wielkości widowni.

- Nie sprawdzam sondaży - odpowiedziała Marta. - Dla mnie liczy się zadowolenie stacji.

To oświadczenie tylko wzmogło ciekawość Leonarda. Jaki producent telewizyjny nie dba o sondaże? Cała telewizja opiera się na słupkach oglądalności. Gdyby celem *Dzierlatek* była

sprzedaż zabawek i akcesoriów „My Little Ponny” ośmiolatkom, najważniejsze byłoby sprawdzanie, ile ośmiolatek co tydzień ogląda serial. W początkach swej kariery Leonard miał szczęście obcować z Garym Davidem Goldbergiem, człowiekiem, który doszedł do dziewięciocyfrowej fortuny w czasach, kiedy możliwe było jeszcze zgromadzenie przed telewizorami w środy wieczór czterdziestu procent widzów, oglądających małego czarnego chłopca albo dziewczynkę, którzy tak naprawdę byli robotami, lub przemądrzałą pacynkę rodem z kosmosu. Dlatego Leonard nabrał szacunku dla ekonomicznego równania, jakim jest sieć telewizyjna. Po lunchu skontaktował się telefonicznie z asystentką swego agenta i poprosił, aby mu przemailowała wskaźniki oglądalności z poprzedniego tygodnia. Otrzymał pięciostronicowy dokument z setkami programów telewizji kablowych oraz godzinami ich nadawania, gęstą siatkę danych z analiz demograficznych, krzyżujących się z trendami oraz danymi o wycofanych programach, po czym wiodąc po niej jednym palcem poziomo, a drugim pionowo, najechał na mikroskopijny kwadracik *Dzierlatek* z wynikiem: 0,008.

I właśnie z powodu tego drugiego zera po przecinku przeżył wstrząs. 0,008? 0,008?!

Leonard żył dość długo na tym świecie i w latach dziewięćdziesiątych, gdy gwałtownie rozwijała się telewizja kablowa, był świadkiem dramatycznego spadku wskaźników do jednocyfrowych. Pracował przy sitcomach, gdzie udział w rynku sześć i dziewięćdziesiątych procent stanowił już powód do świętowania, lecz nigdy, przenigdy, nawet w najgorszych koszmarach, nie znalazł się w obszarze dwóch zer po przecinku.

- Wyobraź sobie, że wkładasz wszystkie swoje problemy do pudełka od zapalek - zaproponowała Holly. - Poważnie. To ci pomoże. Wyobraź sobie, że pakujesz wszystko - faceta od kablówki, sprawy zawodowe, fantomiczny świąd,

sama nie wiem, co tam jeszcze ci dokucza, do pudełka **od** zapalek.

- Okay - powiedział Leonard. - Już tam siedzą.

- Kładziesz je na wielkiej stercie pudełek z problemami innych ludzi. A teraz musisz wyciągnąć ze sterty jedno pudełko, i to będą twoje nowe problemy. Co wolisz: zabrać z powrotem swoje czy wziąć cudze?

- Wolę cudze - zdecydował Leonard.

- Coś ty?! Możesz wylądować z rakiem albo z autystycznym dzieckiem. Pomyśl tylko, z czym ludzie się zmagają. Mógłbyś nawet mieć paraliż.

- Wolę cudze.

Dwa Pióra

Kiedy Holly zabierała Chestera do domu, szefowa schroniska wręczyła jej wizytówkę pobliskiej lecznicy weterynaryjnej i poleciła zapytać o dwa pióra.

- Do czego mi te pióra? - spytała Holly.

- Słucham...?

Na moment przygniótł Holly ciężar tego wszystkiego, co tak beztrąsko na siebie wzięła. Oczami wyobraźni zobaczyła siebie, jak całymi miesiącami sieka surowe mięso, owija tabletki w plasterki sera, zbiera z podłogi kupy i siuski. Stały jej w oczach psy z różnymi przypadłościami, jakie zdarzało jej się widywać: takie ze stożkowatymi, sztywnymi kołnierzami i kicające po chodnikach z tylnymi nogami na specjalnym wózku. A teraz, zupełnie niespodziewanie, doszły jeszcze jakieś dwa pióra.

- Co mam robić z tymi piórami? - spytała

- Co pani ma robić z piórami? - Kobieta parsknęła śmiechem. - To człowiek. Nazywa się Dwa Pióra. Rdzenny Amerykanin.

- Och!

- Weterynarz, który zgodził się pomóc.

* * *

Dwa Pióra okazał się niesamowicie przystojny w dość nieprzystępny i aseksualny sposób, jak Keanu Reeves czy Hilary Swank. Wyszedł po Holly do głównego holu i zaprowadził do zdumiewająco przestronnego i zarazem zagraconego gabinetu. Przez chwilę szukał karty Chestera, a Holly w tym czasie, siedząc na plastikowym krześle, przyglądała mu się spod oka, pilnując, aby przypadkiem jej na tym nie złapał. Włosy, ściągnięte w kucyk nad karkiem, miał tak czarne i lśniące, że wydawały się prawie niebieskie. Głęboko osadzone smoliste oczy też wydawały się prawie niebieskie. Olśniewająco białe zęby również wydały jej się niemal niebieskie. Poczowała się nagle bladą, piegowatą kluchą, którą przysłano z Anglii, żeby odebrać mu kontynent i wybić jego bizona.

- Mogę o coś zapytać? - odezwała się.

- Oczywiście.

- Czy to prawda, że u rdzennych Amerykanów ojcowie nadają dzieciom imiona od pierwszej rzeczy, jaką zobaczą po ich narodzinach?

- Zdarza się.

- I twój ojciec zobaczył dwa pióra?

- Tak utrzymuje.

- Fajne - podsumowała Holly.

- Dość.

Dwa Pióra odepchnął się piętami i podjechał na krześle na kółkach do niskiej szarej szafki na dokumenty.

- Chyba miałeś szczęście, że nie zobaczył na przykład automatycznej sekretarki. Albo telewizora plazmowego.

Cisza.

- Dobrze, że to było coś naturalnego. Oczywiście, nie ma takiego słowa - zastrzegła się i po chwili dodała: - Ale według mnie wpasowuje się w kontekst.

Dwa Pióra potoczył się krzesłem z powrotem za biurko i otworzył teczkę z dokumentacją Chestera.

- Mogę teraz ja zadać kilka pytań?

- Oczywiście.

Dwa Pióra przeprowadził wywiad dotyczący ogólnego stanu zdrowia Chestera. Pytał, czy zauważyła u niego ospałość i jakieś nietypowe zachowanie, jak na przykład dreptanie w kółko, czy miał kolejne ataki, czy służy mu apetyt, jak sypia, po czym zapoznał Holly z wynikami wcześniejszych testów diagnostycznych.

- Chester ma oponiaka - powiedział. - Raka opon mózgowych, czyli tkanki, która pokrywa i chroni mózg. Słyszałaś o zapaleniu opon mózgowych, prawda? - Spojrzał na Holly, a ona skinęła głową. - To chłoniak, czyli dobrze, bo nie wymaga chemioterapii. Ten rodzaj guza co prawda rośnie, ale nie daje przerzutów.

Tak jak się spodziewała, postępując zgodnie z procedurą, dał jej stos ulotek oraz polecił książkę pod tytułem *Kiedy twój pies ma raka*. Wyjaśnił, że zaczną od zabiegu, a potem zastosują radioterapię.

- Musisz zrozumieć, iż Chester nie wie, że ma raka - tłumaczył Dwa Pióra. - Zobaczysz, że jeśli będziesz o tym pamiętać, będzie ci lżej, lecz z drugiej strony psychologiczny ciężar diagnozy spada na opiekuna.

- Nigdy nie myślałam o tym w taki sposób - wyznała Holly. - Według mnie najgorszą chyba rzeczą w wypadku raka jest sama świadomość choroby.

- U psów ten problem odpada, a to oznacza dla nich o wiele mniejsze cierpienie.

- To dobrze.

Dwa Pióra odłożył podkładkę z klipsem i spojrzał na Holly.

- Masz jakieś inne zwierzęta? - spytał.

- Nie.

- Zajmujesz się jako wolontariuszka zwierzętami ze schroniska czy coś w tym rodzaju?

- Nie. To jakiś problem?

- Usiłuję jedynie wyrobić sobie pogląd na sytuację.
- Aha - powiedziała Holly. - Chodzi ci o to, czy jestem jakąś zwariowaną psiarą, która za wszelką cenę ratuje zwierzaki przed uśpieniem, i takie tam rzeczy? Czy to miałaś na myśli?

- Nie całkiem.

- Nie, nie jestem. Wzięłam Chestera ze schroniska pod wpływem impulsu. I nie żałuję. Ale więcej tego nie zrobię.

- W porządku - powiedział Dwa Pióra. - Mogę zapytać, czy mieszkasz sama?

Holly skinęła głową.

- Masz jakichś bliskich w pobliżu - rodzinę, chłopaka, kogoś, kto by ci pomógł opiekować się ehesterem i wspierałby cię, gdyby nie wszystko poszło po naszej myśli?

Holly spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Pytasz mnie, czy mam chłopaka? - spytała. - Mój pies choruje na raka mózgu, a ty mnie pytasz, czy mam chłopaka?

- Przepraszam. To dość niezwykła sytuacja, i tyle. Staram się poznać twoją odporność emocjonalną.

- Jest ogromna - oznajmiła Holly, splatając ramiona na piersi.

Pisarstwo zmuszało Leonarda do spędzania wielu godzin w samotności przed ekranem monitora, a niefortunnym skutkiem ubocznym tej sytuacji była okazja do zaglądania do portalu, który zaspokajał jeden z jego mocno zakorzenionych nałogów. Pisząc *Atak rekina*, na osiem miesięcy zaszył się w zapasowej sypialni, służącej za gabinet, i za zaciągniętymi storami tkwił w stanie, który nazwać można jedynie porno-nasyceniem. Miał nadzieję, że w końcu znudzi go oglądanie penisów, odbytów, pośladków i takich tam rzeczy, lecz najwyraźniej tak się nie działo. Za każdym razem, gdy nie szło mu pisanie scenariusza, myślał sobie: a co tam, może sobie

trochę poserfuję, i zanim się obejrzał, wchodził z powrotem do owego portalu.

Problem w tym, że podczas pisania paraliżował Leonarda niepokój i wstyd. Kiedy siedział przed monitorem, patrząc, jak słowa płyną inaczej, niż miał nadzieję, przygnębiony własną nieudolnością i świadomy twórczych ograniczeń, cierpiał tortury, wiedząc, że na nic więcej go nie stać. Trudno mu było się z tym pogodzić. Jego życie w znacznym stopniu polegało na wprowadzaniu nowych emocji do ustroju, emocji, które chwilowo przyćmiewałyby inne sprawy. W momentach optymizmu postrzegał to jako pobudzanie przepływu energii, odblokowywanie *chi*, wstrzykiwanie odrobiny *yang* w eteryczne mentalne *yin*, w którym kisił się przez cały dzień, i powiedzmy: po trzecim surfie po sieci otwierał dokument jarzący się na ekranie jak wyrzut sumienia i wtedy budziła się refleksja: czy tak pracował Dostojewski?

Przypadkiem trafił na otyłą gospodynię domową, która z lubieżnym uśmiechem wyszminekowanych ust wypinała do kamery tyłek i uda z celulitem (choć nie miał ochoty oglądać takich rzeczy, natykał się na nie częściej, niż można by się spodziewać), i wtedy nachodziła go myśl, że ludzie są pokręceni. Ludzie są pokręceni! Internet był tego najlepszym dowodem. Ta refleksja budziła w nim coś na kształt poczucia koleżeństwa, jakby należał do jakiejś dziwnej podziemnej wspólnoty, gdzie pojęcie normalności rozszerza się gwałtownie w cyfrowej mgłę cyberprzestrzeni, do chwili gdy, powiedzmy, monogamiczna, heteroseksualna para, uprawiająca trzy razy w tygodniu tradycyjny seks, wydaje się wielce nienormalna.

Lecz miewał także takie stany, gdy czuł się potwornie samotny. I wtedy, beznamietnie klikając myszką, przesuwał obrazy jeden po drugim, jak kustosz, który przegląda slajdy do galerii sztuki. Szukał czegoś, co go poruszy, jakiejś kombinacji owłosienia i masy mięśniowej, penisa i pozy, twarzy

i uśmiechu, ubioru i tła, czegoś, co obudzi w nim jakieś wspomnienie, fantazją, coś starego, coś nowego, i cały czas miał przy tym świadomość, że coraz trudniej mu odpalić właściwe synapsy, rozpędzić tę pierwszą w czymś, co staje się niesamowicie długim, kiepsko ułożonym węzłem kostek domino.

Problemy Leonarda nie ograniczały się do pornografii. Przeżył kosztowny, sześciotygodniowy epizod z kartą kredytową MasterCard i z cwaniakiem z rajy podatkowego, specjalistą od pokera Texas No-Limit w rolach głównych. Z perspektywy czasu widział, iż człon „No limit” powinien był go ostrzec, że znalazł sobie ryzykowne hobby. Wcześniej w tym samym miesiącu zamówił trzydzieści tabletek xanaxu w aptece na St. Kitts*. Niewątpliwie kierował nim zwyczajny kaprys, bo dzięki swemu psychofarmakologowi, który hojnie wypisywał recepty, Leonard miał nieograniczony dostęp do legalnego xanaxu. Ciekawość jednak wzięła górę i następnego dnia rano FedEx dostarczył mu paczkę z plastikowym woreczkiem, w którym było trzydzieści tabletek w nieciekawym odcieniu szarości. Woreczek miał papierową naklejkę z odręcznie napisaną nazwą „xanax”. Po południu Leonard leciał do Los Angeles z przesiadką w Houston i w drodze na lotnisko Kennedy'ego łyknął dwie tabletki, jadąc taksówką. Obudził się dwa dni później w hotelowym pokoju w Marina Del Rey, nie mając pojęcia, jak się tam znalazł. Godzinę zajęło mu zlokalizowanie wynajętego samochodu, którym, według kluczyka znalezione w kieszeni, okazał się biały dodge neon. Później, gdy Holly spytała go, czemu, u licha, łyknął aż dwie tabletki, Leonard odparł:

- Nie wiem. Wydawały się takie małe.

Jakiś czas temu natrafił na coś nowego. To coś nazywało się LukesPlace i według magazynu „Time” było coraz czę-

Wyspa na Karaibach.

ściej odwiedzaną stroną internetową. Zyskiwała popularność z wielu powodów - można tam było namierzyć składaną kanapę, którą ktoś chciał oddać za darmo, albo nauczyciela włoskiego za piętnaście dolarów na godzinę, podnając mieszkanie, zostać wolontariuszem, zapisać się do klubu, znaleźć psa lub osobę, która będzie psa wyprowadzać - lecz Leonardowi ta witryna spodobała się z zupełnie innego powodu. Nawet ktoś nie bardzo urodziwy mógł załatwić sobie seks z idealnym nieznanym. Mieli tam, tuż pod rubryką „Mężczyźni poszukują kobiet” i „Kobiety poszukują mężczyzn”, specjalną sekcję zatytułowaną „Rozrywka”. To brzmiało niewinnie. Tymczasem jednym kliknięciem wkraczało się w świat przyprawiający o zawrót głowy z powodu nadmiaru, wyboru i wyuzdania. Prawdziwy supermarket ciał. Ten ktoś, kto zjawiał się na twoim progu, przychodził tak napalony, że gotów był przymknąć oko na nieco obwisły brzuch, przywidłe pośladki czy puciołowatą twarz, co przy spotkaniu w barze natychmiast skłoniłoby go do odwrotu. To było prawdziwe dobrodziejstwo, a pojawiło się akurat wtedy, gdy Leonard bardzo go potrzebował.

- Spence mi mówił, że kiedy byliście ze sobą, zdradził cię we Włoszech - oznajmiła Cathleen. - I według jego słów ty o tym wiedziałaś.

Cathleen ponownie zadzwoniła do Holly z Boulder. Wcześniej, w ciągu dnia, wysłała e-mail, w którym napisała, że chciałaby jeszcze omówić parę spraw i powiązać luźne końce, a Holly, być może niemądrze, być może wbrew szlachetniejszej części swej natury, a może z powodu skłonności do wtykania nosa w cudze sprawy i do plotkowania, jeszcze raz podniosła słuchawkę. Powstało coś w rodzaju „trzykierunkowej rozmowy”, bo Cathleen przekazywała Spence'owi to, co powiedziała jej Holly, Spence odpierał zarzuty przed Cath-

leen, a ona zdawała relację Holly, rzucając to wszystko na jej próg niczym starannie ogryzioną kość.

Podczas pierwszej rozmowy z nią Holly wyjawiała coś, o czym wiedziało niewielu ludzi, coś, co wolałaby zatrzymać dla siebie - owszem, napisała cieniutko zawołowaną powieść autobiograficzną o sympatycznej dziewczynie i kłamliwym, pokrętnym, niewiernym skurczybyku, którego pierwowzorem był jej ekschłopak, lecz tak naprawdę Spence Samuelson nigdy jej nie oszukał. Autentyczne były emocje, fakty nie. Potrzebowała czegoś, co w pierwszym rozdziale związałoby akcję, więc wykorzyststa może niezbyt oryginalny, ale za to odpowiednio dramatyczny chwyt. Potem mimochodem napomknęła Cathleen, że miała przeczucie, iż coś takiego mogło się przydarzyć Spence'owi podczas wycieczki do Włoch, na którą wybrał się ze swoim kumplem, Cliffem Bissingerem, już pod koniec związku z Holly, ale nigdy nie nabrała co do tego pewności. Cathleen zadzwoniła do Spence^e i zaczęła go wypytywać o tę wycieczkę i tak długo naciskała, sondowała i naprowadzała za pomocą dodatkowych pytań, że w końcu wyznał prawdę, tak jak ją zapamiętał, przy czym zdecydowanie różniła się ona od wspomnień Holly dotyczących tych samych wydarzeń. Przede wszystkim nie spędził owego tygodnia na rowerowych wycieczkach z Cliffem po Toskanii, tylko w łóżku z czterdziestą ednoletnią włoską rozwódką, którą poznał w samolocie.

- Nie miałam o tym pojęcia - wyznała w końcu Holly, siląc się na beztroski ton.

- Nie?

- Aż do teraz - odparła Holly. - Coś podejrzewałam, ale nie wiedziałam. I wiesz co? Okazuje się, że to różnica.

- Przykro mi.

- A to złamas!

- Nie powinnam była ci mówić.

- Ech, to było tak dawno temu - zbagatelizowała sprawę

Holly. - Ale... wiedziałam. Gdzieś w środku wiedziałam. Powinnam zaufać przeczuciom. Ale nie wierzę w przeczucia.

- On mówi, że ta włoska historia była bez znaczenia i że ci o niej powiedział, a ty ją zbagatelizowałaś.

Wycieczka Spence'a do Włoch! Holly pamiętała wszystko, jakby to było wczoraj. Któregoś wieczoru po powrocie do domu oznajmił, że Cliff namówił go na rowerową wycieczkę po Europie. Planowali robić jakieś pięćdziesiąt kilometrów dziennie po łagodnych wzniesieniach Toskanii, a wieczorem zajeżdżać do miasteczek na wzgórzach i tam szukać niedrogich noclegów, bo Cliff stracił pracę i nie miał dużo pieniędzy. Holly przemyślała słowa Spence'a, swego prawie narzeczonego, z którym wtedy już razem mieszkała, i powiedziała: „Baw się dobrze! I pamiętaj o kasku!”.

Spence zadzwonił do niej z Włoch tylko raz, dzień przed powrotem. Podczas krótkiej rozmowy przekazał informacje związane z lotem, bąknął coś o obolałych półdupkach, tanim winie, zachodach słońca i serze. Kiedy wrócił - „nie uwierzysz, jak trudno dzwoni się z Włoch, te automaty, setki różnych kart telefonicznych, dziwaczne monety, nie można się w tym wszystkim połapać!” - Holly odkryła, że przez cały tydzień zrobił tylko osiem zdjęć, z czego na trzech widniał Cliff z ogromną, nadmuchiwaną kiełbasą wewnątrz sklepu wolnołowego na lotnisku w Mediolanie. Wtedy rozległ się w jej głowie ostrzegawczy dzwonek, ale postanowiła go zignorować. Nie chciała być Taką Kobietą. A teraz, po tylu latach, w dziwaczny, okrężny sposób, w końcu poznała prawdę.

- Gwoli ścisłości... - rzuciła do słuchawki. - On mi o tym nie mówił. Gdyby powiedział, na pewno bym tego nie zbagatelizowała.

- Tak też sądziłam - odparła Cathleen.

- Dziwne. - Holly się zamyśliła na chwilę. - Właściwie nie bardzo mnie to już obchodzi, a jednak mam wielką ochotę przyłożyć mu kijem baseballowym w łeb.

- Powiedział też, że powinnam zapytać, jak wyglądały wasze zaręczyny.
- Tak powiedział?
- I żebym spytała o prawdę, a nie o oficjalną wersję.
- Sam ci nie opowiedział?
- Był zdania, że powinnam zapytać ciebie.
- Hmm... No cóż, ta historia nie stawia mnie w najlepszym świetle - wyznała Holly. - Mam tego pełną świadomość.
- Nie szkodzi.
- Byliśmy ze sobą cztery lata. Od dwóch razem mieszkaliśmy. Na wystawie sklepu jubilerskiego niedaleko naszego mieszkania zobaczyłam pierścionek i któregoś wieczoru, gdy wracaliśmy z kina, niby od niechcienia pokazałam go Spence'owi, a on się naburmuszył, zrobił się nieprzyjemny i powiedział, że nie lubi, gdy się go stawia pod ścianą, więc odpuściłam. W porządku. Parę dni później, idąc tamtą ulicą, zerknęłam na wystawę i pierścionka nie było. Nie wiem czemu, ale strasznie to przeżyłam. Wiesz, on był idealny, miał styl, wyglądał jak malutka lodowa stokrotka, wcale dużo nie kosztował. Nagle uświadomiłam sobie, że Spence nigdy się ze mną nie ożeni, że w ogóle nie ma takiego zamiaru i jeśli została mi choć odrobina szacunku dla samej siebie, powinnam go zostawić, zanim zmarnuję jeszcze więcej czasu. Kiedy wrócił z pracy, znalazł mnie zaryczaną na kanapie. Powiedziałam mu, że chyba powinniśmy zerwać, skoro on nie chce się wiązać. Zniknął w sypialni, trzasnął drzwiami, a ja dalej ryczałam jak bóbr. Po kilku minutach wyłonił się stamtąd i stając w drzwiach, przez cały pokój cisnął we mnie pierścionkiem.
- No nie!
- Tak wyglądały jego oświadczenia. Pierścionek odbił się od mojego ramienia i potoczył pod ławę.
- Okropne.

- To jeszcze nie jest najgorsze.
- Jest i gorsza część?
- Weszłam pod ławę, podniosłam pierścionek, wsunęłam na palec i powiedziałam „tak” albo „dziękuję”. Już nie pamiętam dokładnie, co powiedziałam, ale tak właśnie było. Zaręczyliśmy się.
- Mówisz poważnie?
- Niestety. Kilka tygodni później zerwałam zaręczyny, ale zanim do tego doszło, zdążyłam powiedzieć o nich wszystkim napotkanym znajomym, kupiłam stertę ślubnych magazynów, ważącą chyba ze dwadzieścia kilogramów, i dałam pokaźną zaliczkę na jedwabną suknię ślubną typu futerał, niezdrowo zainspirowana kreacją świętej pamięci Carolyn Bessette*. Spence wyprowadził się ode mnie. I tyle.
- Niezła historia.
- Mam tylko nadzieję, iż przynajmniej przyznał się, że to ja z nim zerwałam.
- Tak. - Głos Cathleen zawisł w powietrzu, jakby nie wszystko zostało wypowiedziane.
- Co? Co on mówił?
- W jego ustach tak to zabrzmiało... - Cathleen zrobiła kolejną dziwną pauzę. - ...jakby chciał, żebyś z nim zerwała.
- Tak? Niby dlaczego?
- Na pewno chcesz to usłyszeć?
- Jasne.
- Jesteś pewna?
- Ależ tak, mów - zachęciła ją Holly. - To bardzo ciekawe.
- Cóż, niech będzie. Powiedział, że jesteś wspaniałą, inteligentną kobietą, najzabawniejszą ze wszystkich, z którymi chodził, ale, no wiesz, nie widział się z tobą w związku na

* Żona Johna F. Kennedy'ego juniora, zginęła w wieku trzydziestu trzech lat podczas katastrofy prywatnego samolotu, pilotowanego przez męża.

całe życie. - Cathleen z poświstem wciągnęła powietrze. -Mówił, że za mało pociągałaś go fizycznie.

- Ooch! - sapnęła Holly. - Jakie to ponizające!

- Holly, on kłamał - tłumaczyła Cathleen. - Widziałam twoje zdjęcie na okładce książki. Jesteś piękna.

Wspomnienie tego akurat zdjęcia nie pocieszyło Holly, bo doskonale wiedziała, że nie wygląda nawet w połowie tak atrakcyjnie jak na okładce. To nie była nawet zasługa retuszu czy obróbki w Photoshopie; to był istny cud. Jak wizerunek Matki Boskiej wewnątrz tortilli. Tamtego dnia, gdy pokazała Leonardowi próbny wydruk, popatrzył na zdjęcie, potem na nią, jeszcze raz na zdjęcie, znowu na nią i w końcu zapytał: „Jak oni to zrobili, że tak wyglądasz?”.

- Wcale tak nie wyglądam - powiedziała do słuchawki. -Uwierz mi.

- On po prostu szukał usprawiedliwienia dla siebie.

- To jest... Rany! - Holly opadła na łóżko i zapatrzyła się na sufit. - Przez cały czas dręczyło mnie poczucie winy z powodu tej książki, martwiłam się, że być może zraniłam go i wprawiłam w zakłopotanie, a teraz, dzięki serii zupełnie przypadkowych zdarzeń, dowiaduję się, że pieprzył się na prawo i lewo za moimi plecami, no i jeszcze, że nie pociągałam go fizycznie - podsumowała. - W tej chwili żałuję, iż nie napisałam, że ma penis wielkości daktyla.

Kurczę pieczone, Włochy.

Nazywała się Francesca Porcini i nadal w miarę regularnie pojawiała się w jego fantazjach, niech Pan ją błogosławi. Nawet teraz, po latach, kiedy potrzebował odrobiny pomocy, żeby dojść, przywoływał ją w myślach i wkraczała do pokoju z uśmiechem na ustach, w białej koronkowej koszulce, a potem krzyżowała ramiona i zahaczając kciuki o ramiączka, ściągała przez głowę zwiewną szatkę. Francesca. W Holly-

world (tak Spetice nazywał miejsce w głowie Holly, gdzie, pobudzone uporczywą czujnością, roily się żądania, oczekiwania i normy) nie zaznałby takiej chwili. Ominęłoby go jedno z najlepszych doświadczeń w życiu. I choćby nie wiadomo jak się starał, nie potrafił zrozumieć, jak spędzając sześć dni w łóżku z Francescą Porcini w jej małym domku przytulonym do klifu, wyrządził Holly Frick choćby najmniejszą krzywdę. To jemu umknął wyjazd na Capri, to on nie zdążył wypożyczyć roweru ani nie dotarł nawet do Pompei (a przecież od szkoły średniej chciał na własne oczy zobaczyć tamtych spetryfikowanych graczy w kości), Holly natomiast, tak mu się przynajmniej wydawało, wyszła z tej historii bez uszczerbku. Przez siedem lat o niczym nie miała pojęcia i do dzisiaj by się nie dowiedziała, gdyby nie napisała tej głupiej książki i nie pytowała co wieczór przez telefon z Cathleen. Nie zamierza teraz się kajać. Nie ma mowy. Zdecydowanie na to za późno.

Seks

Miłą rzeczą w randkowaniu z pisarką jest schematy cz-ność. Przynajmniej tak było w wypadku Holly Frick. Odkąd wyszła jej książka, odkryła niezawodną metodę sprawdzania, czy facet na nią leci. Jeżeli przeczytał powieść i mu się spodobała, istniało duże prawdopodobieństwo, że autorka też mu się podoba. Jeśli nie przeczytał, bo nie mógł przez nią przebrnąć, lub żenująco długo książki nie kończył, po prostu nie był Holly zainteresowany. To pozwalało jej zaoszczędzić mnóstwo czasu.

Gdy parę dni po przypadkowym spotkaniu w Strand Jack przysłał jej e-mail, w którym napisał, że wielką przyjemność sprawiła mu lektura jej książki, w głowie Holly odezwał się mały dzwoneczek. Tylko tyle - mały dzwoneczek, ukryty gdzieś za innymi sprawami (romans Jacka z Amandą, dwadzieścia dwa lata Lucasa, były mąż, Alex, plus podejrzenie, że nadal go kocha), i chociaż sama przed sobą nie chciała się przyznać, naprawdę usłyszała dźwięk tego dzwoneczka.

W środę Spence późno wyszedł z biura i dopiero po dotar-do domu zdał sobie sprawę, że nie ma ochoty siedzieć n> mimo że dochodziła dziesiąta. Przebrał się w dzinsy,

zmienił koszulę, umył zęby, przekręcił klucz we frontowych drzwiach i znalazł się na korytarzu.

Budynek miał osiem wind i w porze największego ruchu wszystkie, zapchane do granic możliwości, zatrzymywały się piętro po piętrze, wsysając i wypluwając pasażerów ze zdumiewającą, a zarazem denerwującą sprawnością. Osiedle zamieszkiwali napędzani ambicją młodzi profesjonaliści, którzy mogli sobie pozwolić na czynsz w wysokości co najmniej dwóch tysięcy czterystu dolarów za kawalerkę i jednocześnie byli gotowi zrezygnować z uroków życia w sąsiedztwie bistr, j księgarni i drzew, byle tylko mieć dziesięć minut pieszo do pracy. Byli to młodzi przedstawiciele różnych zawodów, prawnicy, dupki w rodzaju tych z Wall Street, ludzie, którzy pracowali do czwartej nad ranem, a o ósmej musieli z powrotem znaleźć się przy swych biurkach. Szczególnie odbijało się to na kobietach: w windzie o drugiej w nocy pod bezlitosnym górnym oświetleniem stała wymizerowana kobiecość uwięziona w kołowrocie ambicji. Spence'a nie obchodzili lokatorzy apartamentowca. Kiedyś, wracając późno z pracy, znalazł się w windzie sam na sam z łysawym mężczyzną w mokrym deszczowcu.

- Które piętro wcisnąć? - zapytał.

Facet spojrzał na niego ze słabo ukrywaną niechęcią.

- Mieszkam obok pana - powiedział.

To jest właśnie Nowy Jork. Niektórzy ludzie chcieliby go przerobić na małe miasteczko i denerwują się, jeśli opierasz się ich wysiłkom. Spence nie chciał znać sąsiada z mieszkania obok, nie miał ochoty na pogawędkę w windzie z łysawym mężczyzną o dziesiątej wieczorem, bo gdyby pragnął mieszkać w małym miasteczku, wróciłby do St. Louis.

Obrotowe drzwi frontowe wyrzuciły go na chodnik. Spojrzał w głąb ulicy, starając się przywołać w myślach jakieś miejsce, gdzie mógłby wypić drinka, nie tracąc piętnastu dolarów na taksówkę. Okolicy brakowało uroku. W parną noc,

taką ja ta, wydawała się składać z chodników i z rynsztoków. Hinduskie restauracje z jaskrawopomarańczowymi markizami, wysyłkowe apteki, bank na każdym rogu. Nie mieściło mu się w głowie, jak to możliwe, że otoczony ze wszystkich stron komercją, nie może tu kupić porządnej koszuli. Do tej części miasta nie chodziło się na bruncha ani na oglądanie sklepowych witryn, nie kręciły się tu małe dzieci, supermodni ludzie, geje, bogacze ani turyści i dlatego zaskoczyła go obecność Szkotki w irlandzkim pubie tuż za rogiem, do którego w końcu dotarł.

Pochodziła z Aberdeen, miała jasnożółte włosy i wystające górne zęby, a pracowała jako praczka na platformie wiertniczej na Morzu Północnym. Mówiła z niemożliwym do rozszyfrowania akcentem. W życiu nie słyszał takich krótkich samogłosek. Eh eh eh eh ah ah ah. Jakby japoński kucharz odrąbał tasakiem końcówki wszystkich słów. Spence postawił jej piwo, drugie kupił dla koleżanki i za cenę dwóch guinnessów zafundował sobie dwie godziny opowieści o życiu na platformie wiertniczej na Morzu Północnym. To miłe - pomyślał - gdy chociaż raz, dla odmiany, kobieta bawi cię rozmową, nawet jeśli trzeba ostro nadstawiać ucha, aby poskładać do kupy poszczególne słowa, zniekształcone przez akcent.

Najwyraźniej jedynym minusem pracy tej dziewczyny była godzinna podróż helikopterem na platformę i z powrotem ponad mroźnym Morzem Północnym. Przelot jest niebezpieczny, helikopterom zdarza się spadać i jeśli coś takiego cię spotka, należy jak najszybciej odpiąć pasy bezpieczeństwa i uciekać z pokładu, gdy zalewa go lodowata woda, i mieć nadzieję, że pomoc nadejdzie, zanim stracisz świadomość. Co cztery lata musisz wziąć udział w kursie bhp, trzydniowej mordędze zakończonej ćwiczeniami, podczas których wsadzają cię z zawiązanymi oczami do atrapy starego helikoptera i wrzucają w bardzo zimną wodę na głębokim końcu basenu; masz się stamtąd wydostać, zanim utoniesz.

A czasami cała platforma staje w ogniu. To kolejny minus. W takim wypadku musisz zachować zimną krew i nie skakać do morza, tylko zejść na dół, bo jeśli skoczysz z dużej wysokości, zginiesz przy uderzeniu o wodę. Trudno jednak o tym pamiętać, gdy się stoi na szczycie płonącej platformy. Ta laska - pomyślał Spence - naraża się na straszną śmierć w lodowatym Morzu Północnym, bo to pozwala jej zarobić na wyjazdy wakacyjne. Oto cała filozofia. Nie znalazłby w okolicy dziewczyny z podobnym nastawieniem, przynajmniej nie w kręgach, gdzie się obracał, nie pośród kobiet, które bez najmniejszych zahamowań starały się wywęszyć, ile zarabiasz i czy masz własne mieszkanie. Być może ta laska była nadto rozrywkowa, ale dla Spence'a stanowiło to ożywczą odmianę.

Dotarł do takiego punktu wieczoru, gdy zaczął żałować, że nie zadał sobie trudu, aby zakodować jej imię w pamięci, a ona mniej więcej w tym samym czasie położyła mu dłoń na udzie. Kiedy jej rodaczka udała się do toalety, Spence zaprosił blondynkę do siebie, lecz ona się uparła, że zabiorą też koleżankę. Jak bardzo rozrywkowe są te damy? - zastanawiał się Spence, regulując rachunek. W windzie spróbował niby żartem obie otoczyć ramionami, a one zaczęły się śmiać, jakby zrobił coś zabawnego. Więc też się roześmiał. Śmiali się jeszcze wszyscy, stając przed drzwiami.

- Fajnie tu - rzekła brunetka. - Dopiero się wprowadziłeś?

Spence postarał się spojrzeć z boku na swoje mieszkanie. Nie wyglądało na świeżo zasiedlone - miał meble, nigdzie nie stały kartony - ale wydawało się zimne. Skąd takie wrażenie? Może przez parkiet? Kiedy zamierzał kupić to miejsce, jakoś wbił sobie do głowy, że parkiet wygląda ekskluzywnie (być może powiedział tak pośrednik z biura nieruchomości, a jemu spodobała się francuskość tego słowa), lecz teraz, po trzech latach, zaczął się zastanawiać, czy ta podłoga nie wygląda tandetnie. Nie natknął się na parkiet w żadnym z bar-

dziej wyrafinowanych domów w mieście, w których zdarzało mu się bywać. Dywan prawdopodobnie załatwiłby sprawę, ale nie ufał sobie na tyle, żeby go wybrać bez fachowej pomocy. Jakiś czas temu w sobotni poranek udał się na poszukiwanie dywanu ze swoją dziewczyną, a ona usiłowała go przekonać, że powinien przeznaczyć na ten zakup czternaście tysięcy dolarów. „One tyle kosztują” - oznajmiła.

Zaciągnęła go do sklepu ABC Carpet & Home, w handlowym pasażu w New Jersey, przybytku, który, jak Spence wkrótce odkrył, pomimo swej pospolitej nazwy okazał się miejscem, gdzie baronowe kupują ozdobne poduszki na kanapy.

Dziewczyny podeszły do okien, skąd ochając i achając z mocnym szkockim akcentem, oglądały panoramę. Niewątpliwie widok był piękny: rozmigotane światła metropolii, daleko w dole powoli sunące samochody i ta niesamowita cisza tu, wysoko nad miastem. To właśnie okna przekonały Spence'a do kupna mieszkania, okna od podłogi do sufitu, ściana ze szkła w salonie i w sypialni, wielka szklana tafla, poprzecinana jedynie prostokątami ram z elastycznych czarnych uszczelek oraz beżowymi klimatyzatorami podobnymi do tych, jakie instaluje się w hotelach. Właśnie te okna. Sięgały podłogi, więc stojąc przy nich, odczuwało się zawroty głowy i dziwne sensacje w żołądku. Lubił się tu kochać z kobietami na stojąco, od tyłu, gdy oboje oparł ramionami o szybę, patrzyli na miasto w dole. Najchętniej przy zapalonym świetle, jeśli partnerki się na to zgadzały.

Brunetka klapnęła na kanapę, pokazując, że będzie tam spać. Spence poszedł po pościel, koce i poduszki, a w tym czasie blondynka z trochę wystającymi zębami ulokowała się w jego łóżku. Kiedy z naręczem pościeli mijał otwarte drzwi, posłała mu promienny uśmiech i na moment odsłoniła piersi, drobne, ciut obwisłe i bardzo szeroko rozstawione. Jak cycki u małpy. Kobiety są pokręcone - pomyślał Spence, idąc dalej korytarzem. Niemniej nie odpuścił.

Kiedy było po wszystkim, ona przewróciła się na bok i zapadła w sen, a Spence, leżąc na plecach, gapił się w sufit, bo nie mógł zasnąć. W ciągu dnia dwukrotnie dzwonił do Cathleen, a ona nie oddzwoniła. Przedwczoraj też zadzwonił o takiej porze, kiedy wiedział, że powinna być w domu, iecz nie podniosła słuchawki. Nie rozumiał tego. Po tym wszystkim, po rozmowach z Szaloną Molly, po namierzeniu Holly, po przepytywaniu go całymi godzinami. Naprawdę, ta kobieta była nieugięta. Jak szop pracz, który stara się dostać do śmietnika. Po czym nagle nic. Cisza.

Kiedy Holly dotarła do poczekalni przed gabinetem pediatry, Amanda już tam była. Siedziała na krześle w rogu, a Jacob przelewał się jej na kolanach niczym worek mąki. Holly szokowało, że tak bardzo świat się zmienił od czasów jej dzieciństwa, lecz największy szok przeżyła w gabinecie pediatry na Upper East Side. Kiedyś u pediatrów były pisemka „Highlights” ze zgadywankami, gdzie szukało się warząchwii w koronie drzewa, natomiast to miejsce przypominało centrum rozrywki Chuck-E-Cheese, z rozłożonymi wszędzie pikającymi i migoczącymi zabawkami elektronicznymi. W umocowanym na ścianie pięćdziesięciocalowym telewizorze plazmowym leciał film o mówiącym pociągu z fonią, która Holly wydała się porażająco „high defmition”. Kilkoro maluchów stało przed ekranem z otwartymi buziami w niemal katatonicznym bezruchu.

- Dzięki, że przyszłaś - przywitała ją Amanda.
- Nie ma sprawy - odparła Holly. - Cześć, Jacob! Pucata buzia Jacoba z blond czuprynką pozostała odwrócona w stronę telewizora.
- Jesteś kochana, że zgodziłaś się w tym uczestniczyć -powiedziała Amanda.
- Uwielbiam trzymać takie bobaski, kiedy obcy zadają im

ból. Mam nadzieję, że w ten sposób zjednuję sobie następne pokolenie.

- Nie mogę patrzeć, jak robią mi krzywdę - wyznała Amanda. - I nie chcę, żeby przejął ode mnie neurotyczną reakcję na zastrzyki. Mark miał się tu ze mną spotkać, ale w ostatniej chwili jakaś ważna sprawa przeszkodziła mu w ochronie dziecka przed polio.

Holly rozejrzała się po poczekalni. Przy stojaku z czasopismami dwie mamy karmiły piersią noworodki. Jedna miała rozanieloną minę, druga krzywiła się z bólu. Czterdziestokilkuletnia kobieta w niebieskim kostiumie skupiona była na komórce firmy BlackBerry, podczas gdy au pair bawiła się w „a kuku” z jej niewątpliwie cudem urodzonym dzieckiem.

- Mogę cię o coś spytać? - odezwała się Holly. Zniżyła nieco głos. - Jak to jest, że te wszystkie kobiety mają dzieci, a ja nie? Nic z tego nie rozumiem. Co się stało z moim życiem? Zupełnie się pogubiłam. Gdzie popełniłam błąd?

- Naprawdę chcesz znać odpowiedź na to pytanie? Holly zastanawiała się przez chwilę.

- Nie.

- Bo ja mogę ci powiedzieć.

- Wiem. Ale nie dzisiaj - odparła Holly. - Dziś nie jest na to dobry dzień.

Jacob dostał szczepionkę - zdziwiona mina, chwila ciszy nabrzmiałej zdumieniem, a po niej przeraźliwy krzyk, który przygnał Amandę z poczekalni i kazał jej wyłuskać synka z ramion Holly. Amanda postanowiła odprowadzić przyjaciółkę do domu przez park, żeby Jacob mógł zapoznać się z Chesterem. Holly pchała wózek.

- Jack wspomniał, że widział się z tobą któregoś dnia - zaczęła Amanda.

- Taak, wpadliśmy na siebie w Strand.

- I jak?
- Co „i jak”?
- Co myślisz?

Holly w milczeniu przeszła parę kroków.

- Chyba nie jest taki beznadziejny, jak sądziłam.
- Wiedziałam, że ci się spodoba, jeśli dasz mu szansę. Przed nimi powoli sunęła grupka niemieckich turystów, agresywnie kościstych i odzianych w dziwaczne spodnie. Holly zauważyła, że pewne tygodnie przyciągają Niemców, następnie przez wiele miesięcy widuje się wyłącznie Japończyków, po czym jest krótki wysyp Skandynawów, domytych i wodzących ze sobą trzyletnich blondasków.

- On jest zabawny, prawda? - odezwała się Amanda, kiedy wyprzedziły Niemców.

- Jak mówiłam, wydał się sympatyczny.

- Jest naprawdę inteligentny. Porażająco bystry. Według mnie to najbystrzejszy człowiek, jakiego znam.

- Martwię się o ludzi, kiedy dostrzegasz, że są bystrzy - rzekła Holly.

- O co ci chodzi?

- Coś w tym jest - powiedziała Holly. - Bo, wiesz, my też jesteśmy bystre, ale gdyby ktoś nas słuchał, mógłby tego nie zauważyć.

Jacob zaczął kwilić. Wydawał dziwne dźwięki pomiędzy pochlipywaniem i dramatycznym płaczem, więc Holly zatrzymała wózek, a Amanda wzięła malca na ręce.

- Ciągłe to robicie? - Holly dziwnie się czuła, poruszając ten temat przy Jacobie na biodrze Amandy, i dlatego, dla lepszego zrozumienia, podkreśliła niektóre słowa, szerzej otwierając oczy. - Znaczy: czy dalej uprawiacie to szaleństwo?

- Nadal trochę szalejemy. Holly przemilczała to wyznanie.

- Co ja robię? - ciągnęła Amanda. - Sama widziałas,

Jack jest fajnym facetem i może gdyby sprawy inaczej się potoczyły...
No, nie wiem. To nie jest dobra sytuacja.

- Nie rozumiem - powiedziała Holly. - Chodzi wyłącznie o s-e-k-s?

- Holly, Jacob ma szesnaście miesięcy. Nie musisz przy nim literować. A ja nie jestem pewna, o co chodzi - wyznała Amanda. -
Chyba rzeczywiście głównie o seks.

Holly z zaciekawieniem zmarszczyła nos.

- Jest aż taki dobry?

- Nie twierdzę, że to najlepszy seks, jaki uprawiałam, ale na pewno najlepszy, jaki pamiętam.

Szły wolnym krokiem wokół sporego trawnika. Grupa mężczyzn w białych koszulkach rozgrywała z drugą, w czerwonych, dość zaciekły mecz softballu. Według Holly ci wszyscy faceci powinni o tej porze być w pracy.

- Zastanawiałam się nad tym w nocy - odezwała się Amanda. - Ja tego nie szukałam. Nie należę do osób, które robią takie rzeczy. Więc, widzisz, może po prostu taka już jest moja droga.

Holly przez chwilę w milczeniu popychała pusty wózek.

- Czy można zejść ze swojej drogi? - zapytała w końcu.

- Co przez to rozumiesz? - spytała Amanda.

- Dokładnie to, co powiedziałam. Czy można zboczyć ze swojej drogi?

- Widzę w tym skrót myślowy, którego ludzie używają, mówiąc o byciu w zgodzie ze sobą.

- Nie, słuchaj, to nie tak! - zaprzeczyła Holly. - Bo w takim razie musiałaby to być droga, z której się schodzi, nie będąc w zgodzie ze sobą. I wtedy mogłabym stwierdzić, że na większą część lat dziewięćdziesiątych zesłam ze swojej drogi, ale potem umarł mój ojciec, przeżyłam to i owo i wróciłam na tę drogę. Ludzie jednak tak tego nie widzą. Wszystko jest twoją drogą. Te lata dziewięćdziesiąte? To też była

moja droga! Skoro więc wszystko jest twoją drogą, nie rozu-, miem, jak można uważać trzymanie się własnej drogi za wielkie osiągnięcie, gdy ipso facto nie da się z niej zejść.

- Ipso facto?

- Wiesz, co mam na myśli.

- Aha, zapomniałam ci powiedzieć - odezwała się Amanda. Jechały najwolniejszą windą na świecie. Holly mieszkała

zaledwie na piątym piętrze, ale wejście do windy przypominało wniknięcie do jakiegoś równoległego kosmosu, gdzie czas zwalnia do żółtego tempa. Człowiek miał wrażenie, że kiedy otworzą się drzwi, powinien się znaleźć na drugim końcu miasta.

- Obejrzałam odcinek serialu, który pisałaś parę dni temu.

- Widziałaś *Dzierlatki*]

- Aha - przytaknęła Amanda. - Beznadziejne.

- Mówiłam ci, że kiepskie.

- Leciały zaraz po kukielkach, które opiekunka nastawiła Jacobowi, i miałam poczucie winy, że zmieniłam kanał, kiedy się zorientowałam, że to twój serial.

- Dzięki. Chyba. Tak czy owak.

- Niesamowite. W sobotę poszliśmy z Markiem na proszoną kolację i między innymi była tam agentka zajmująca się literaturą młodzieżową u Williama Morrisa. Powiedziała, że będzie mnie reprezentować, jeśli kiedykolwiek zdecyduję się napisać książkę dla młodzieży.

- Naprawdę? Tylko dlatego, że siedziałyście obok siebie na przyjęciu?

- Opowiedziałam jej o kilku moich pomysłach, a ona *uznała* je za naprawdę dobre. Jej mąż pracuje razem z Markiem.

Drzwi windy rozsunęły się i cała trójka ruszyła korytarzem.

- A co z fotografowaniem? - spytała Holly. Ustawiła wó-

zek na podeście przed drzwiami i wsunęła klucz do zamka. -Mówiłaś, że całkiem dobrze ci wychodzi.

- Zbyt statyczne. Czuję potrzebę opowiedzenia historii.
- Zdaje się, że niedawno kupiłaś nowy aparat?
- Używam go. Po prostu mam chęć zająć się czymś innym.

Holly otworzyła drzwi na oścież.

- Nie zwracaj uwagi na zapach - uprzedziła.
- Jest obrzydliwy - przyznała Amanda.
- Przed wyjściem przygotowałam porcję mięsnej galaretki i trochę tu nasmrodziła. Jacob, przywitasz się z psem?

Chester leżał na kanapie i beznamiętnie patrzył na ekran włączonego telewizora z wyciszonym dźwiękiem. Na łbie miał bandaż, a łapy sztywno sterczały poza poduszkę w pozycji, jaka w kreskówkach sugeruje rigor mortis. Jacob spojrzał na psa i zaniósł się płaczem.

- Boże, Holly, co z twoim psem?!
- Ma guz mózgu - przypomniała. - Mówiłam ci.
- Tak, ale nie przypuszczałam, że to aż tak widoczne.
- Wczoraj znowu wrócił z kliniki - wyjaśniła Holly. -Czego się spodziewałaś?
- On się ledwo rusza.
- Spać mu się chce i tyle, prawda, Chester? - Holly przykucnęła przy kanapie i podrapała psa po szyi, za bandażem. -Może być trochę odwodniony. Dlatego zrobiłam mu galaretkę. W książce piszą, że jest smaczna, a pies się nawodni.

Amanda zaciekle podrzucała Jacoba na biodrze, patrząc na Chestera z nieukrywanym przerażeniem.

- Jesteś pewna, że wiesz, co robisz?
- O co ci chodzi?
- Hmm, czy nie sądzisz, że być może... - Amanda zawiesiła głos, jakby się zastanawiała, czy mówić dalej, jakby przemawiała do obcego mężczyzny, który idzie po Eighth Avenue w samej tylko czapce Świętego Mikołaja i w wełnianych

skarpetach w paski. - ...masz coś w rodzaju kompleksu mesjasza. Może czas się z tym zmierzyć i przestać męczyć to biedne zwierzę.

Holly podniosła głowę.

- Nie ma mowy o żadnym kompleksie, jeśli rzeczywiście mogę go uratować.

- Masz rację. - To nie kompleks - przyznała Amanda. - Zostaniesz jego prawdziwym mesjaszem.

- Może i tak - odrzekła Holly. Wiedziała, że to brzmi idiotycznie, ale nie potrafiła się opanować. - Może i tak! To chyba jeszcze nie najgorsze z tego, co ludzie wybierają.

Jacob nie przestawał płakać. Amanda, podrzucając go na biodrze, odeszła od kanapy i skierowała się do drzwi.

- Wiesz, w tym mieście pełno zwariowanych kobiet i mogę się założyć, że większość ich kiedyś była mniej więcej normalna. Nie od razu gromadzisz w mieszkaniu sterty gazet i zbierasz bezdomne psy, które sikają ci do butów. Kiedyś się to zaczyna. Mówię poważnie, Holly. Coś takiego nie dzieje się z dnia na dzień.

Tajemnica szczęścia

Betsy, odpływając myślami, klęczała przed kanapą i pracowała nad swoim facetem. Wolałaby teraz leżeć w łóżku, sama, i o dwudziestej trzeciej obejrzyć powtórkę *Misji mody*. Drętwiały jej szczęki. Przesada, jeszcze nie drętwiały, ale kolana rwały z bólu. Czuła się jak podstarzała robotnica. Nie na darmo nazywają to obciążaniem druta - pomyślała. Strasznie długo trwa. Udusi faceta, jeśli zapomniał napomknąć, że łyka jakieś leki. Niemniej nacierała jak kawalerzysta. Kawalerzy-sta z armii fellatio. Czuła się tak samo jak zawsze w tej pozycji, jakby udowadniała, jaka jest w tym dobra, jakby czekała ją jakaś nagroda, jakby walczyła o jakieś dziwaczne stypendium czy brała udział w przesłuchaniu do roli w musicalu na Broadwayu. Patrzcie - jestem najlepsza. Nie należała do dziewczyn, które się nie starają i jak podejrzane indywidua kręcą się tylko przed sklepem 7-Eleven bez celu, bez sensu, bez planu. To nie Betsy. Kiedy miała dwadzieścia cztery lata, jej ówczesny chłopak przyrównał jej technikę do usuwania uporczywej plamy przez gospodynię domową. Chciał, żeby czerpała z tego więcej przyjemności. Gdzie tu przyjemność? - pomyślała Betsy, ale wzięła sobie tę krytykę do serca i odtąd udawało jej się przekonać każdego kolejnego chłopaka, że najbardziej ze wszystkiego na świecie lubi ssać jego

genitalia, co w rezultacie miało przynajmniej jedną niefortunną konsekwencję, a mianowicie taką, że robiła to przez cały czas.

Hmm, lubiła o nich myśleć jak o „swoich chłopakach”, lecz tak naprawdę, przynajmniej tego akurat wieczoru, to była druga randka. Druga randka! Na pierwszej zawsze ściśle trzymała się zasady, że nie da nawet całusa na dobranoc. Miała też jeszcze jedną niewzruszoną zasadę - pełny seks dopiero w kontekście bliskiego związku, natomiast przestrzeń pomiędzy tymi dwiema zasadami wypełniała szara strefa. I tak oto znowu wylądowała na kolanach w szarej strefie. Miała wrażenie, że gdzieś pod koniec lat dziewięćdziesiątych fellatio dołączyło do na poły przypadkowych obmacywanek, mieszczących się w katalogu „obściskiwanie”, podczas gdy akt rewanzowy stanowił element zapowiadający obietnicę rozwoju związku, prawie równoznaczny z pozostawieniem szczoteczki do zębów w czyjejs w łazience. Betsy, pomimo swego uwielbienia dla Billa Clintona, o to akurat go obwiniła.

Dobra - pomyślała. Koniec, chłopie. Czas przeznaczony na twoją komplementarną laskę się wyczerpał. Gdy podniosła głowę, usłyszała serię wyjąkanych: „nie”.

- Nie przestawaj, Boże, błagam, nie przestawaj. Nie przestawaj, wal się, nie przestawaj.

- Jesteś niesamowita - powiedział. Betsy nie przestawała.

Betsy zmagala się z wieloma neurotycznymi lękami, ale najstarszy i najbardziej zakorzeniony był chyba strach, że nie jest dość dobra w łóżku. Kiedy miała piętnaście lat, rodzice wysłali ją na sześciotygodniowy pobyt w Camp Sh'lamim w Berkshire. Camp był jednym z tych liberalnych żydowskich obozów letnich na East Coast, założonych na początku lat siedemdziesiątych, gdzie pozornie szerzono kulturalne

i duchowe wartości wśród zreformowanej społeczności żydowskiej, a w rzeczywistości ułatwiano uczestnikom seksualne eksperymenty, stawiając na drodze do nich możliwie jak najmniej przeszkód. To właśnie tam Betsy straciła cnotę (uparcie utrzymywała, że stało się to kilka lat później) na kajaku, za hangarem dla łodzi, kiedy powinna była uczestniczyć w jak zawsze kiepsko strzeżonych, nocnych wspólnych śpiewach przy ognisku. Chłopak nazywał się Brendan Cohen i Betsy nabrała przekonania, że jest w nim zakochana, kiedy udało mu się wsunąć w nią kilka palców i część kciuka, gdy obściskiwala się z nim na stojaka, przyparta do pnia dębu. Utrata cnoty u Betsy wyglądała następująco: Brendan mniej więcej w nią wszedł i szybko wyszedł, po czym oznajmił, że chyba powinni się zbierać. W powrotnej drodze do ogniska spytała, czy wszystko było jak trzeba, a on odparł, że nie jest pewien. Gdy zapytała, co przez to rozumie, powiedział: nie sądzę, że robiłaś to jak należy. I tak zakorzenił się w niej na dobre kompleks seksualny.

Z jednej strony lęk ten nie był całkiem racjonalny - miała zaledwie piętnaście lat, działo się to na kajaku! - lecz, prawdę mówiąc, nie był też całkiem irracjonalny. Od czasu druzgocącej krytyki Cohena Betsy nieczęsto doświadczała pozytywnego wzmocnienia. Miała również własne zastrzeżenia. Nic ważnego, lecz wystarczyło, aby zaczęła podejrzewać, że to, co powiedział Brendan, mogło być prawdą.

Nie wychodziło jej na dobre rzucanie się na pokręconych, neurotycznych, artystycznych i nafaszerowanych lekami facetów, i może gdyby rzeczywiście przespała się z odźwiernym, w jedno popołudnie pozbyłaby się zahamowań. Niestety; była przekonana, że nie dorobiła się męża czy choćby stałego chłopaka, bo nie ma dość tego czegoś w łóżku. Nawet nie wiedziała, czym jest to coś, czego nie ma dość. To Prowadziło do kompensowania poczucia niższości, co z kolei wywoływało reakcje i prowadziło do coraz silniejszego

przekonania, że robi coś inaczej, niekoniecznie lepiej niż wszyscy.

Leonard niespokojnie kręcił się po salonie, nasłuchując dzwonka domofonu, żeby wpuścić NYBoya23 do swojej gawry. Nie przestawał myśleć o zdjęciu, które zamieścił w ogłoszeniu, zastanawiając się, jak daleko odbiegało od rzeczywistości. To była fotka faceta o budowie i karnacji Leonarda, gdyby facet o budowie i karnacji Leonarda chodził regularnie do siłowni, a ostatnio spędził mniej więcej tydzień wystawiony na słońce na plaży nudystów. Odrobinę podfałszowany wizerunek był w Internecie dopuszczalny, lecz Leonard obawiał się, iż tym razem posunął się za daleko. Nie był pewien, jak sobie poradzi, gdy, powiedzmy, NYBoy23 spojrzy na niego i zacznie się wycofywać za drzwi, mamrocząc jakieś wymówki. Już raz coś takiego mu się przydarzyło i potem przez cztery dni dochodził do siebie. Leonard obejrzał się w dużym lustrze nad kanapą. Wciągnął brzuch. Znacznie lepiej. Zdecydowanie lepiej. Zastanowiło go, czy ktoś wytrzyma ze wciągniętym brzuchem, gdy mu się robi loda. Czy to w ogóle możliwe?

Ogarnęło go poczucie winy. Wiedział, że to, co niedługo zrobi, nie mieści się w żadnej tradycji duchowej, jaką zna świat. Hmm, no może w hedonizmie. Czy hedonizm zalicza się do tradycji duchowych? Nie był tego pewien. Przecież nikomu nie robi krzywdy - uspokajał się. Obaj z NYBoyem23 byli dorośli. Co prawda dzieliła ich różnica dwudziestu dwóch lat, ale co z tego? Obaj korzystali z szybkiego Internetu i możliwości zamieszczania zdjęć na ogólnie dostępnej stronie internetowej, a może łączyło ich także coś więcej...

Po południu grubas z siłowni po raz drugi próbował umówić się z Betsy, tamten Lonnie z parku. Właściwie był z niego zabawny gość i chętnie widziałaby w nim kolegę, może nie do umawiania się na drinka, ale takiego, któremu mówi się „cześć”, mijając biurko w drodze do atlasa. Te jego namolne próby umówienia się, szczerze mówiąc, nieco ją obrażały. Naprawdę sądził, że ona się zgodzi? Takie historie -grubasy proponujące spotkanie, ortodonta z paluchami jak parówki, który nie raczył do niej zadzwonić z prośbą o drugą randkę - budziły niepokój o to, jak widzi ją świat. Czy rzeczywiście wysyła aż tak wyraźne sygnały zdesperowania?

- Przedsiębiorca budowlany? - zwróciła się do swej siostry, Christine, kiedy pomysł wypłynął nad rosołem z macą w Paschę tego roku. Pomimo imienia z niefortunnie gojskim zabarwieniem Christine stanowiła spoiwo dla żydowskiego rdzenia rodziny Betsy. Matka została wychowana jako katoliczka, a ojciec, poza brakiem zgody na świąteczną choinkę, słabo zachęcał potomstwo do kulturowej identyfikacji z narodem ogólnie ciemniejszym i sam dawno przestał o to dbać. Christine natomiast po ślubie z Leo przywdziała strój podmiejskiej żydowskiej matrony i nakładała surowe kary emocjonalne na Betsy i Lucasa oraz dalszych krewnych, którzy nie wykazywali chęci przyjazdu na ważne święta do jej starannie urządzonego domu w Scarsdale.

- Przedsiębiorca budowlany? - powtórzyła Betsy.

-Z Long Island?

- The Hamptons leży na Long Island - podkreślił Lucas.

- On jest z Great Neck - uściśliła Christine. - To dobra część Long Island.

- Co się stało z jego ostatnią kobietą?

Znaleźli jej ciało w kanale pod garażem - odezwał się Leo. - Ale moja siostra zapewnia, że został oczyszczony z wszelkich zarzutów.

- Wspaniale, Leo. To wielka ulga - powiedziała Betsy.
-Ile ma lat?
- Pięćdziesiąt cztery - poinformowała Christine. Betsy zamruła.
- Powiedz, że żartujesz!
- Kochana, mam dla ciebie wiadomość - odparła Christine. - Ty masz prawie trzydzieści osiem.

Serce Betsy zabiło tak mocno, że poczuła pulsowanie w opuszkach palców.

- Nie chcę iść na randkę w ciemno z pięćdziesięcioletnim przedsiębiorcą budowlanym z Long Island. Bardzo mi przykro, ale nie, i już.

- Siostra Leo mówi, że to sympatyczny i całkiem przystojny mężczyzna.

- Skoro jest taki sympatyczny, przystojny i do wzięcia, możesz mi wierzyć, coś z nim musi być mocno nie tak.

- Ludzie mogliby powiedzieć to samo o tobie - podpowiedziała Christine, wyławiając kiwi z salaterki z sałatką owocową.

Później, gdy Betsy i Lucas jechali już pociągiem do miasta, Leo zwrócił się do żony:

- Twoja siostra musi przemyśleć swoje postępowanie.

To prawda, Betsy już dawno powinna zastanowić się nad swoim postępowaniem. Nie była w zgodzie ze sobą. Przez dwa lata, nie będąc w zgodzie ze sobą, umawiała się z mężczyznami, którzy przyprawiali ją o ciarki, zawsze zgadzała się przynajmniej na dwie randki, i o ile chcieli, pozwalała się całować pod koniec drugiej, żeby sprawdzić, czy między nią i kolejnym mężczyzną jest chemia, której jakoś nie dostrzegła, bo w oczy rzucały się głównie wady tych ludzi. Dwa takie lata. Całowała się z mężczyznami, z którymi nie miała ochoty się całować, nie zgadzała się iść do łóżka z tymi, którzy straszliwie ją pociągali; poznawała ich na imprezach, całowała się z nimi na rogach ulic w deszczu, a kiedy błagali,

aby poszła z nimi do domu, odmawiała, a oni więcej nie dzwonili.

Na gruncie tej filozofii po dwunastu dniach dzielących ją od chwili, gdy po raz pierwszy wypłynął tamten pomysł, Betsy znalazła się przy stoliku naprzeciwko Alana Murry'ego, przedsiębiorcy budowlanego szwagierki swej siostry. Alan pojawił się w czarnym T-shircie, sportowej marynarce i w spodniach, które kiedyś należały do garnituru, a podróż na Manhattan, żeby zabrać ją na kolację, zajęła mu godzinę i czterdzieści minut. Według Betsy był miły i nawet ją rozśmieszył opowiadaniem o współlokatorze z college'u, pojemniku po chipsach i bardzo rozeźlonej wiewiórce, ale nie potrafiła zagłuszyć głosu w głowie, który przez cały wieczór przynudzał: Co się stało z moim życiem? Gdzie popełniłam błąd? Naprawdę tak nisko upadłam?

- Uważasz się za szczęśliwą osobę? - zagadnął Alan, kiedy kelner pozbierał talerze.

- Co masz na myśli?

- Dokładnie to, o co zapytałem - odparł. - Czy uważasz się za szczęśliwą osobę?

- Nie wiem. Chyba jestem mniej więcej tak samo szczęśliwa jak inni.

- Uśmiechnęła się promiennie, po czym spuściła nieco z tonu. - Miewam gorsze dni. Mogłabym jednak wiedzieć, czemu o to pytasz?

- Mój wujek zawsze mówił mi: „Alan, ożeń się ze szczęśliwą kobietą”. Często to powtarzał. - Odchylił się na oparcie krzesła i splótł ramiona na piersi. - Wiesz, tajemnicą szczęśliwego małżeństwa jest poślubienie kogoś, kto jest szczęśliwy. A tego ci nikt nie mówi. Z początku uważałem to za dziwaczne, ale im dłużej żyję, tym wyraźniej widzę, że znajomi, którzy poślubili szczęśliwe kobiety, są szczęśliwi, natomiast ci, którzy tego nie zrobili, mają przeróżne problemy.

- Nie możesz obwiniać żon o problemy tych mężczyzn - zauważyła Betsy.

- Taak, myślę jednak, że wuj chciał powiedzieć, iż trudno uszczęśliwić nieszczęśliwą kobietę.

- Uszczęśliwianie drugiej osoby nie jest niczym zadaniem. - Betsy naczytała się dość poradników, ażeby wyrecytować tę opinię z pełnym przekonaniem. - Nie odpowiada się za szczęście drugiej osoby w związku.

- Być może - odparł Alan. - Lecz dom jest tylko wówczas szczęśliwy, gdy pod jego dachem żyje przynajmniej jedna szczęśliwa osoba.

W Betsy zaczął wzbierać gniew.

- Nawet nie bardzo rozumiem, co znaczy określenie „szczęśliwa kobieta”.

- Wiesz, czasem ktoś się rodzi z dobrym usposobieniem, idzie sobie przez życie i jak wszystkim przytrafiają mu się różne złe rzeczy, ale linia bazowa przebiega gdzieś tutaj. - Uniósł lewą rękę nad głowę, ustawiając sztywno wyprostowane palce równolegle do podłogi. - Myślę, że o to wujkowi chodziło. Gdyby żył, poprosiłbym go, żeby to wyjaśnił.

- Hmm, według mnie to uproszczenie - podsumowała Betsy. - Najróżniejsi ludzie z zasady są szczęśliwi i nie rozumiem, czemu chciałbyś się z nimi żenić. Życie bywa skomplikowane, trudne, bolesne i jeśli jesteś inteligentny, nie będziesz bez przerwy szczerzyć zębów jak idiota.

- Chcesz powiedzieć, że szczęśliwe kobiety są za głupie, aby odczuwać smutek?

- Tak. Może. Nie wiem - wyznała. Wygładziła rąbek spódnicy. - Nie podoba mi się ta rozmowa. Wiesz, że to samo słowo powtarzane w kółko w końcu traci znaczenie? W tej chwili mam takie wrażenie w związku ze słowem „szczęśliwy”.

- Przepraszam, że poruszyłem ten temat.

- Nie przejmuj się.

- Nie miałem takiego zamiaru - tłumaczył się. - Masz ochotę na deser? Czemu rozmowa o szczęściu, odbyta w zeszłym tygodniu,

przyszła jej na myśl akurat teraz - gdy robiła dobrze obiecującemu doktorce od chorób uszu, nosa i gardła, który na pierwszej randce zabrał ją do Blue Hill, a do Pastis na drugiej - nie miała pojęcia. Być może, po prostu musiała myśleć o czymkolwiek, bo wykonywane zajęcie, szczerze mówiąc, nie było zbyt absorbujące. Randka z Alanem, przedsiębiorcą budowlanym z Long Island, miała mało obiecujące zakończenie - cmoknięcie w policzek i wzajemne zapewnienie, że mile spędzili czas - a potem Betsy dowiedziała się od Christine, a ta z kolei od siostry Leo z Great Neck, że Alanowi Betsy wydała się smutna. Christine potraktowała tę wiadomość jako wartościową informację wywiadowczą z linii frontu, jakby to było coś, co Betsy może zmienić, podobnie jak kolor włosów czy dobór bardziej kusych strojów. Betsy przyznała, że jest smutna! To słowo idealnie do niej pasowało.

Myśl, że niedomiar uszczęśliwienia w jakiś sposób pozbawia ją prawa do związku, wydała jej się najbardziej niesprawiedliwa ze wszystkich możliwych przyczyn braku akceptacji. Z jakiego niby powodu miałyby czuć się szczęśliwa? No, z jakiego? Praca nigdy nie stanowiła dla niej błyszczącej orbity, po której mogłaby krążyć, a obecnie wyglądało na to, że w ogóle przeliczyła się. Dawno już zdecydowała, że nie będzie się starać zdobyć wszystkiego, no i, jak widać, skończy z niczym. Może powinna była postarać się zostać Maureen Dowd* czy kimś w tym rodzaju?

Nareszcie - pomyślała.

Przełknęła, uśmiechnęła się i odprawiła doktora do domu.

Leonard zrezygnował z wciągania brzucha, spróbował się odprężyć i rozkoszować sytuacją. Umowa wynegocjowana przez Internet opiewała na wzajemność usługi, raczej po ko-

* Felietonistka z „New York Timesa”.

lei niż symultanicznie, bez narkotyków, niespodzianek oraz prawdziwych nazwisk. NYBoy23 miał ciekawą technikę: każde mniej więcej dziesięć energicznych skłonów przedzierał jednym przeciągłym, powolnym i głębokim, co byłoby bardzo przyjemne, gdyby za każdym razem nie trafiał nosem w obwisły brzuch Leonarda. Kurde, ale jestem gruby - myślał Leonard po każdym kolejnym dźgnięciu. Potem głowa NYBoya23 wracała do podrygów, a Leonard usiłował się skupić na chwili, choć to nie było proste. Co z tobą? Poważnie, jaki masz problem? Nie potrafisz nawet skupić się w pełni na jednej z podstawowych życiowych przyjemności? Masz tu gorącego, młodego faceta, który gorącymi ustami ssie twój duży, gorący interes. I znowu ten nos! Jasna dupa, jesteś pieprzonym grubasem!

Bardzo długo nie mógł dojść.

Co słyhać?

W sobotę rano Holly poszła z Lucasem do Brooks Brothers na Fifth Avenue, żeby wymienić marynarkę, którą dostał od babki na uroczystość wręczania dyplomów. Sześć lat wcześniej, po ukończeniu szkoły średniej, babka podarowała mu identyczną marynarkę, a ponieważ tamta nadal wisiała w szafie, z metką, zamknięta w firmowym worku Brooks Brothers, uznał, że nic się nie stanie, jeśli zwróci tę nową.

- Zgadnij - odezwał się.
- Co? - spytała Holly.
- Przyjęli mnie do Columbia Law.
- To świetnie.
- Jestem trochę zaskoczony. Nie sądziłem, że się dostanę.
- A co z Austin? - zainteresowała się Holly. - Miałeś tam z kolegą otworzyć klub. Wydawało mi się, że myślałeś o tym całkiem poważnie.
- Myślałem. Myślę. Sam nie wiem - wyznał Lucas. - Tata chce, żebym najpierw poszedł na prawo. Siedzę więc w rozkroku na płocie.
- Trudno, ja ci nie pomogę. Nie mogę cię zepchnąć z tego Płotu na właściwie pastwisko, bo dla mnie to oczywiste, że wtedy trafiłbyś tam, gdzie nie zostaje się prawnikiem.
- Czemu tak mówisz?

- To jedyny obszar, na którym różnica wieku daje mi perspektywę, jakiej ty nie masz - odparła Holly. - Wszyscy znajomi, którzy poszli na prawo, są rozgoryczeni. Nie nieszczęśliwi czy niespełnieni, lecz właśnie rozgoryczeni.

Zamilkła na chwilę, dając mu czas do namysłu, po czym podała mu koszulę w biało-niebieskie paski, którą zdjęła z wieszaka.

- W tej ci będzie dobrze.

- Dzięki.

- Jeśli jednak pójdziesz na prawo, powinieneś wiedzieć, że przez resztę życia będziesz kombinować, jak uciec od zawodu - powiedziała Holly. - Naprawdę. To jedna z tych rzeczy, których ci nie powiedzą, kiedy masz dwadzieścia trzy lata, bo gdyby to zrobili, na świecie zabrakłoby prawników, i wszyscy musieliby sami sobie radzić.

- Nie chcę być prawnikiem - wyznał Lucas. - Myślę jednak, że w ten sposób zyskałbym trochę czasu na zorientowanie się, co chciałbym w życiu robić.

- Widzisz, i tu cię mają! Właśnie o to chodzi. O takie myślenie. Jeśli moja obecność w twoim młodym życiu nie ma większego sensu i specjalnie niczemu nie służy, niech spuścizną po niej będzie fakt, że odwiodłam cię od studiowania prawa. Kiedyś będę dla ciebie jedynie mglistym wspomnieniem, lecz nigdy nie przestaniesz mi dziękować.

- Skąd ta pewność, że będziesz mglistym wspomnieniem?

- Masz rację. Stanę się wyrazistym, erotycznie naładowanym wspomnieniem, które będziesz przywoływać, zmuszony po raz tysiąc pierwszy posuwać żonę.

- Może to ty zostaniesz moją żoną - zauważył Lucas. - I będę cię posuwać po raz tysiąc pierwszy.

Holly wspięła się na palce i cmoknęła go w czoło.

- Pod warunkiem, że nie zostaniesz prawnikiem.

- Holly! Frick! - rozległ się w całym sklepie donośny, nosowy głos.

Holly odskoczyła od Lucasa i przy okrągłym stoliku, zarzuconym krawatami, namierzyła niską, kręłą kobietę z ciemnoblond włosami przyciętymi na pazia.

- Susan!

- Tak mi się zdawało, że to ty - powiedziała Susan, ruszając w ich stronę. - Wieki cię nie widziałam. Co u ciebie słyhać? - Położyła akcent na „u ciebie”, dając telegraficznie do zrozumienia, że jest na bieżąco w sprawach Holly, wie o niedawnym rozwodzie, niewierności byłego męża i o obawach, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa Holly umrze bezdzietna i samotna.

- Wszystko dobrze, doskonale - odparła Holly. - To jest mój... To Lucas.

- Cześć, Lucas. Jestem Susan Berger, jedna z najstarszych koleżanek Holly na całym świecie.

- Miło mi.

- Boże, nie wkurza was to miejsce? - spytała Susan. - Za każdym razem, kiedy tu jestem, zastanawiam się, czego właściwie szukam. A wy czego szukacie?

- Moja babcia kupiła mi marynarkę na rozdanie dyplomów - wyjaśnił Lucas. - Pomyślałem, że spróbuję ją zamienić na coś, w czym nie będę wyglądał jak George Will.

- Marynarka na rozdanie dyplomów... - powtórzyła Susan. Spojrzała na Holly i uniosła brew.

- Zrobił sobie urlop - powiedziała Holly. - No wiesz, kiedy był w college'u. Nie skończył w terminie.

- Po drugim roku spędziłem trochę czasu w Europie - wyjaśnił Lucas.

- Dwa lata - dopowiedziała Holly. - Siedział dwa lata w Paryżu. Mówi płynnie po francusku.

- Fantastyczne! - zachwyciła się Susan. - Nie ma to jak młodość.

- Wiem - przytaknęła Holly. - Uwielbiam Paryż.

- Holly, co się z nami porobiło? Dopiero co studiowa-

łyśmy w college'u, zupełnie jakby to było wczoraj - westchnęła Susan. - W zeszłym miesiącu pojechałam na zjazd absolwentów szkoły średniej, po dwudziestu latach. Mężczyźni byli łysi i z workami pod oczyma, a ja wciąż biegałam do toalety, wpatrywałam się w lustro i pytałam, czy to możliwe, że jestem aż tak stara.

- Nie jesteś stara-zapewniła ją Holly.

- Młoda też nie - odparła Susan.

- Hmm - mruknęła Holly. - Jesteś starsza ode mnie. Susan zerknęła na Lucasa.

- Niewiele - powiedziała z szerokim uśmiechem. Lucas objął Holly ramieniem.

- Jeżeli panie wybaczą, pójdę sprawdzić, czy uda mi się wydać pięćset dolców na bokserki. - Ruszył w głąb sklepu.

Susan demonstracyjnie odprowadziła go wzrokiem, po czym odwróciła się do Holly i przyciskając dłoń do piersi, udała, że mdleje.

- O mój Boże! Holly, on jest słodki.

- Tak myślisz?

- Ale ci zazdrozczę! - powiedziała. - Jak to jest w tym dowcipie? Siedemnaście łatwiej wchodzi w trzydzieści pięć niż na odwrót?

- On ma nie siedemnaście lat, tylko dwadzieścia dwa...

- A kogo to obchodzi? Używaj życia. Należy ci się po tym, co przeszłaś. Skoro już o tym mowa, zgadnij, na kogo wpadłam w zeszłym tygodniu.

- Na kogo?

- Na twego byłego.

- Widziałaś Alexa?

- W Bloomington's. Nie wiem, po co mnie tam zanosło. To miejsce to istne zoo.

- Co u niego?

- W porządku. Najwyraźniej w porządku. Kupował skarpetki - doniosła Susan. - Jesteście w kontakcie?

- Tak.

Susan z wyraźną ulgą opuściła ramiona.

- Och, to dobrze. W takim razie już wiesz.

- Zapewne. Pewnie wiem - odrzekła Holly. - A co takiego powinnam wiedzieć?

Ramiona Susan uniosły się z powrotem.

- Nic.

- Susan!

- Nie wiem, czy akurat ja powinnam ci o tym powiedzieć.

- Powiedz - poprosiła Holly. Czuła, że płonie jej skóra.

- Żeni się.

Holly zamrugała, starając się za wszelką cenę uśmiechnąć.

- Żartujesz...

- Tak powiedział.

- Nie wierzę.

Susan pokiwała głową na potwierdzenie swych słów.

- W przyszłym miesiącu. Uroczystość w Magnolia Plantation. Ona jest z Południa.

- W przyszłym miesiącu? Naprawdę? Ha! - Holly przytrzymała się wieszaka na ubrania, o mało go przy tym nie wywracając.

- No cóż...

- To dobrze dla niego - powiedziała Holly. - Niemniej...

- Ją też widziałam. Przelotnie. Wydała się... - Susan spojrzała w górę, usiłując przywołać odpowiednio precyzyjne określenie. - ...wyjątkowo wprost stworzona po to, żeby go uszczęśliwić. I nie mówię tego jako komplementu dla któregośkolwiek z nich.

Spence obudził się w sobotę późnym rankiem, nagi, spocony i sam, z torsem owiniętym lepkiem, wilgotnym prześcieradłem. Wczoraj był na imprezie i wyrwał dziewczynę, która o drugiej w nocy w drodze do drzwi rzuciła do niego: „A tak

przy okazji, masz ohydne paznokcie u nóg". Co zrobić? Były ohydne. Długie, grube i żółtawe. Wyglądały nieco prehistorycznie. A jednak aż do teraz nie zauważył tego. Musiała mu to wytknąć dwudziestoczteroletnia szatniarka, która mu zrobiła zębatego loda. To nie to samo, co przeoczenie brudu za toaletą. Chodzi o jego ciało! Kiedy się postarzał, zauważył, że dbałość o wygląd wymaga więcej uwagi, precyzji i poświęcenia, a na to nie był jeszcze gotowy. Za każdym razem, gdy spoglądał w lustro, wpatrywał się w nie z uwagą, widział, że coś należy przyciąć, zgolić, wyrwać lub poskromić, i nieraz zdarzyło mu się coś usuwać pod miejscowym znieczuleniem w gabinecie dermatologa. Któregoś wieczoru, gdy miło, aczkolwiek zdradziecko odurzony sake, oglądał telewizję, leżąc na kanapie, koncentrując wzrok, zauważył, że zbuntowane prawie dwa centymetry jednej brwi zawijają się do dołu jak kolec z waty stalowej, grożąc wbiciem się w oko. Ruszył do łazienki i z jakiegoś powodu, niewątpliwie powiązanego z sake, uznał, że dobrym pomysłem będzie użycie cząstków do paznokci u nóg, co poskutkowało wycięciem sporego łysego pola na środku lewej brwi. Od tego czasu regulacja brwi stała się kolejnym priorytetem. Jak usuwanie włosów z uszu. I z nosa. Dobry Boże, nos! Spence miał wrażenie, że życie stało się niekończącą się paradą takich spraw, spraw, o których należało pamiętać, które należało załatwić i znowu do nich wrócić, zanim stanie się oczywiste, że trzeba będzie się do nich zabrać. Każdego roku, kiedy nadchodził czas składania zeznania podatkowego, Spence czuł się zaskoczony. Czy ja dopiero co nie robiłem tego? I jeszcze te wszystkie daty porzrzuć po całym roku, których zapamiętania i odpowiedniego uczczenia oczekiwała od niego matka. Jej urodziny i rocznica ślubu, dzień śmierci babki, urodziny ojca, rocznica jego śmierci.

W sumie nie miał żadnych prawdziwych obowiązków. Tak przynajmniej utrzymywała jego siostra. Poczekaj, aż bę-

dziesz mieć dzieci. Dopiero się dowiesz, co to znaczy mieć obowiązki. Wystarczyło mu spędzić jedno popołudnie z siostrzenicą i siostrzeńcami, żeby poznać smutną prawdę o posiadaniu dzieci: jak się raz zaczęło, końca nie widać. Nadal dostawał kartki z wakacji od kilku kolegów ze studiów i łapał się na tym, że wpatrując się w zdjęcia ich dzieci - chłopców o bladych twarzach i cienkich szyjach, dziewczynek, które wyglądały jak hostessy, chociaż nie mogły mieć więcej niż jedenaście lat - myślał: jak one szybko rosną. Nawet jeśli nie były twoje, kiedy co roku oglądało się zdjęcia z wakacji, one bardzo szybko rosły.

Zeszłego lata Spence poleciał na Sanibel Island, żeby spędzić Święto Niepodległości ze swoją siostrą, Nancy, i z jej rodziną. Obiecał to spontanicznie w święta Bożego Narodzenia, gdy lato wydawało się bardzo odległe, a Nancy dopilnowała, żeby dotrzymał słowa. Kupił bilet na samolot, który odlatywał z lotniska Kennedy'ego o czwartej po południu trzeciego lipca, a wracać miał piątego rano. Wczesnym rankiem czwartego lipca obudziło go entuzjastyczne walenie do drzwi w wykonaniu siostrzenicy i siostrzeńców bliźniaków. Posłusznie targał na plażę dmuchane zabawki, wiaderka, ręczniki, leżaki oraz parasole i rozkładał obozowisko w ciężkim florydzkim upale.

Na plaży roiło się od rodzin na wakacjach, skupisk ręczników oraz napoi chłodzących i Spence'a bardzo szybko ogarnęło niewytłumaczalne znużenie, które zawsze odczuwał w obecności małych dzieci; taka dziwna ospałość bezdziejnych. Po niecałych czterdziestu pięciu minutach spędzonych na budowaniu zamku z piasku zaczął marzyć o tym, aby wrócić do hotelu, włączyć telewizor i wyjąć piwo z barku. W miarę jak ciągnął się dzień, ta wizja nabierała uroku Shangrila* - cisza w chłodnym półmroku klimatyzowanego

* Fikcyjna kraina z powieści Jamesa Hiltona *Zaginiony horyzont*.

pokoju, pilot w dłoni, on w samych tylko bokserkach, być może z puszką orzeszków nerkowca za osiem dolarów. Kiedy się zbierał, aby powiedzieć Nancy, że nie czuje się dobrze, męczy go słońce i że prawdopodobnie będzie musiał zrezygnować z obiadu w którejś z tych jadłodajni, gdzie pozwala się dzieciom malować kredkami po papierowych podkładkach pod nakrycia, i lepiej będzie, jeśli zamówi sobie zupę do pokoju, dostrzegł samotnego mężczyznę, może pod pięćdziesiątkę, który siedział na leżaku kilkadziesiąt metrów dalej i patrzył na ocean. Był w rdzawych kąpielówkach, na głowie miał baseballową czapkę, a u stóp przenośną lodówkę i książkę w miękkich okładkach, której najwyraźniej nie chciało mu się czytać. Spence nie mógł oderwać od niego wzroku. Na tej plaży nikt nie był sam w ten szczególny świąteczny dzień. Taki wyczyn musiał wymagać sporo wysiłku -pomyślał. Nawet teraz, prawie po roku, wspomnienie tamtego mężczyzny było niewytłumaczalnie mile orzeźwiające.

Cathleen ucięła wszelkie kontakty. I dokładnie tak to zwerbalizowała. Nagrał jej kilka wiadomości na sekretarce, bombardował e-mailami, w końcu przełamał się i wysłał kwiaty do pracy. Następnego dnia dostał e-mail następującej treści: *Uznałam, że najzdrowiej będzie, jeśli zerwiemy wszelkie kontakty, i proszę, abyś uszanował moją decyzję.* Nawet to bardzo różniło się od tego, do czego przywykł. Był przyzwyczajony do kobiet, które nigdy więcej nie chciały już z nim rozmawiać, lecz wyrażały to pragnienie w zdecydowanie mniej elegancki i opanowany sposób. Cathleen była inna. Inna, jak się okazało, niż myślał.

Holly pożegnała się z Lucasem przed Brooks Brothers i pojechała taksówką do domu. Sięgnęła po babciny szal i zwinęła się na kanapie. Szal, okropnie brzydki, wydziergany pod koniec lat siedemdziesiątych z kombinacji akrylowej włóczki

w kolorach beżowobrazowym, awokado i musztardowym, większość czasu spędzał pod łóżkiem Holly w plastikowym worku zamykanym na suwak.

Telewizor był włączony, a o zachodzie słońca chodził już równo siedem godzin. Przeleciał *Celebrity Fit Club*, potem program dokumentalny o Operacji Entebbe, przeplatany amatorskimi filmikami długości reklam z serii *Maraton Bridezil-la*. Skończył się też reality show *Real World/Road Rules Challenge*, który Holly zazwyczaj oglądała. W tej chwili Bosonoga Contessa topiła porażającą ilość masła na błyszczącej patelni. Nic dziwnego, że ta kobieta wylewa się z koszuli - pomyślała Holly. Niemniej wygląda na szczęśliwą, radosną.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy Contessa do masła miała włożyć monstrialny klin roqueforta. Holly wyłączyła fonię i płynnym ruchem podniosła słuchawkę, bez odrywania głowy od poduszki i budzenia Chestera, który drzemał w ponapromiennym zamroczeniu, leżąc w poprzek jej nóg.

- Zgadnij, z kim przed chwilą rozmawiałam - zażądała Amanda.
- Nie mam pojęcia.
- Z Susan Berger. Doniosła mi, że wpadła na ciebie w Brooks Brothers i że byłeś z dwunastoletnim chłopakiem.
- Nie jej interes.
- To prawda?
- Moja sprawa.
- Holly, jak to możliwe, że nic o tym nie wiem?
- Czy Susan mówiła ci, że Alex się żeni? Amanda westchnęła w słuchawkę.
- Możliwe.
- Czy nie o tym powinnyśmy rozmawiać? Czy nie dlatego powinnaś do mnie zadzwonić?! - obruszyła się Holly.
- Żeby sprawdzić, jak sobie radzę z tą informacją.
- Jak sobie radzisz?

- Nie za dobrze.
 - Holly! - Amanda skarciła ją władczy tonem, w którym zdegustowanie mieszało się ze znużeniem tematem Alexa.
 - Przepraszam, po prostu nie mogę uwierzyć, że on się żeni.
 - Musiałaś przypuszczać, że prędzej czy później dojdzie do tego.
 - Nie, w tym właśnie rzecz. Nie przypuszczałam. Nie sądziłam, że kiedykolwiek to zrobi.
 - To szalone.
 - Czemu? Ten facet nie cierpiał być żonaty. Mówił, że to jak życie z pętlą na szyi albo z plastikowym workiem na głowie, lub coś równie miłego. Jak może tak szybko znów się żenić?
 - Mężczyźni żenią się po raz drugi mniej więcej półtora roku po rozwodzie - oświadczyła Amanda. - Tak już jest. Bo to dla nich idealny układ. Rozwodzą się i siedzą w tych swoich depresyjnych mieszkaniach, bez obrazów na ścianach, bez zasłon w oknach, a w lodówce mają tylko małe paczuszki sosu sojowego i ostrej musztardy w pojemniku na jajka i wszyscy mają to samo objawienie. Lubią być żonaci. Tylko nie lubią mieć swoich żon.
- Contessa bezgłośnie zalała maślano-serowym kremem pół kilo makaronu i zaczęła przekładać powstałą breję do czerwonego naczynia do zapiekanek w kształcie serca. Holly nie mogła się oprzeć wrażeniu, że połączenie tego akurat przepisu z tymże konkretnym naczyniem budzi skojarzenia nie tyle z romanssem, ile z problemem kardiologicznym.
- Czy Susan mówiła coś o narzeczonej Alexa?
 - Właściwie nie - odparła Amanda. - Tylko tyle, że jest z Południa i nie wydaje się zbyt bystra.
 - Ale jest ładna, tak?
 - Nie pytałam.
 - Założę się, że jest piękna.

- Czemu tak myślisz?
- Bo mężczyźni nie spieszą się do żeniaczki z głupimi i brzydkimi kobietami.
- Holly, odpuść sobie. Już czas. Wiem, że mi nie uwierzysz, ale ponowny ożenek Alexa to najlepsza rzecz, jaka mogła ci się przydarzyć.
- Niby czemu?
- Bo w ten sposób on spada z listy. Może wreszcie przestaniemy o nim rozmawiać? Serio, Holly, pogadajmy o czymś innym. Opowiedz mi o tym facecie, z którym widziała cię Susan.
- Nie będę o nim opowiadać, jeśli masz zamiar wydziwiać.
- Postaram się tego nie robić - obiecała Amanda. Holly milczała.
- Nie będę wydziwiał - powiedziała Amanda. - Przyrze-- kam. Kto to?
- Dobra. Pamiętasz moją kumpelę Betsy?
- Nie.
- Specjalistka od reklamy. Przyszła w takim przezroczyście na imprezę gwiazdkową w zeszłym roku.
- Ach, tak! - przypomniała sobie Amanda. - Chuda i zdesperowana.
- To jej brat. Ma na imię Lucas. Poznałam go na imprez-ce z okazji narodzin dziecka, na którą Betsy użyczyła mieszkania rodziców.
- Ile on ma lat?
- Niewiele.
- Jak bardzo niewiele?
- Dwadzieścia dwa.
- Ha! - wymknęło się Amandzie. - Okay. Co robi?
- Właśnie skończył studia na Columbii - powiedziała Holly. - I dostał się na prawo.
- Myślisz o nim poważnie?

- Oczywiście, że nie! - obruszyła się Holly. - To znaczy jest cudowny, naprawdę uroczy, dobrze się bawimy, bo jest słodki, ale, niestety, za młody. Ja to wiem.

- Powiem ci coś jako twoja przyjaciółka i chcę, żebyś mnie wysłuchała - oświadczyła Amanda. - Słuchasz?

- Mniej więcej.

- Dokonujesz złych wyborów. - Po chwili ciszy, zakłóconej tylko szumem w słuchawce, podjęła przerwany wątek: -Alex to był zły wybór. Trwanie przy nim było złym wyborem. Mrzonki o nim po rozwodzie były złym wyborem. I to, co robisz z tym młokosem, też jest złym wyborem. Musisz poszukać wolnego mężczyzny w swoim wieku, który chce założyć rodzinę.

- Amando, to nie takie proste. Nie masz pojęcia, jak to wszystko wygląda. Na świecie nie roi się od mężczyzn, którzy marzą o założeniu rodziny.

- Hmm, a Jack?

- Jack? - Strzał padł tak daleko z lewej flanki, że Holly dopiero po chwili się zorientowała, o kim Amanda mówi. -Masz na myśli swojego Jacka?

- On już nie jest moim Jackiem. Mówiłam ci, że to skończone - przypomniała przyjaciółka.

Rzeczywiście, powiedziała, że przestała się z Jackiem widywać, lecz Holly nie całkiem w to uwierzyła. Uznała, że Amanda chce ją w ten sposób chronić przed wybuchem moralnego oburzenia i ogólnej paniki, doceniła więc ten gest, nawet jeśli był fałszywy. Ale to? To było coś nowego.

- Naprawdę? - sondowała. - Zerwaliście na dobre?

- Na dobre. Miałaś rację. To było niemądre chwilowe szaleństwo i mam szczęście, że starczyło nam rozumu, żeby położyć temu kres, zanim wydarzyło się coś złego.

- I ani słowem nie wspomniałaś o tym Markowi?

- Byłoby to niesamowicie egoistyczne z mojej strony -oznajmiła Amanda. - Kiedy teraz o tym myślę, sędzę, że ta

historia stanowiła opóźnioną reakcję na pojawienie się Jacoba. Mój psychoterapeuta uważa, że to była oznaka budzących się we mnie na nowo sił witalnych.

- Doktor Rothman tak powiedział?

- Tak. I dodał, że to dobrze, iż odzyskuję chęć do życia, lecz muszę podjąć świadomą decyzję, czy chcę zakończyć małżeństwo, czy nie.

Holly nigdy nie przestało zdumiewać, jak psychoterapeuci potrafią naginać fakty. Im dłużej się mieszało na Manhattanie - gdzie nie dość, że wszyscy mieli swego psychiatrę, to w dodatku chętnie opowiadali o tym, co działo się podczas sesji - tym mocniejszego nabierało się przekonania, że tak naprawdę celem psychoterapii było umożliwienie człowiekowi robienia tego, co chciał, z kim chciał, kiedy i gdzie miał ochotę, bez ponoszenia jakichkolwiek emocjonalnych konsekwencji.

- W końcu on jest singlem - przypomniała Amanda. - Jack. I rozgląda się za czymś poważnym. Powinnaś do niego zadzwonić.

- Żartujesz?! Nie mogłabym tego zrobić.

- Niby czemu?

- A temu, że ta cała rozmowa jest idiotyczna.

- Dlaczego niby jest idiotyczna? - chciała wiedzieć Amanda. - Nie zamierzam odejść od męża. I nie mogę zabierać koleżankom spod nosa samotnych facetów. Poza tym podobasz mu się. Mówił mi.

- Kiedy ci to powiedział?

- Po tym, jak wpadliście na siebie w księgarni.

- Nieprawda.

- Prawda.

- A jak to ujął?

- Powiedział, że jesteś ładna, zabawna, inteligentna i nie rozumie, czemu nie jesteś w jakimś związku.

- No, to byłoby zbyt pokręcone.

- Nie odpuszczaj ze względu na mnie - zastrzegła Amanda. - Mówię zupełnie serio. Nic się nie dzieje bez powodu. Może ty jesteś tym powodem. Kto wie, czy we dwoje nie będziecie żyć długo i szczęśliwie.

- No jasne. Najpierw jednak musiałabym do niego zadzwonić, ale jakoś nie widzę siebie, jak to robię w następnym tysiącleciu, niemniej pomysł jest sympatyczny. Bardzo to wspomniałomyślnie z twojej strony. Dziękuję.

- Nie ma za co.

Holly zastanawiała się przez chwilę.

- To trochę tak jak z tą zabytkową szafą z gruszy po babci, którą chciałaś mi podarować pod warunkiem, że wykombinuję, jak ją wytaszczyć od ciebie z domu.

Ona mówi, że zrobiłeś głupią minę

Holly podjechała taksówką pod restaurację na Upper East Side o nazwie Jojo, którą Jack wybrał na spotkanie. Gdy taksówka zatrzymała się przed efektowną starą kamienicą, żołądek podszedł Holly do gardła pod wpływem nieprzyjemnego wrażenia, że zdecydowanie za mało elegancko się ubrała. Często czuła się nie dość elegancka - można powiedzieć, że swobodny strój stanowił filar tego, co uważała za swój indywidualny styl - lecz tym razem chyba trochę przesadziła. Miała na sobie czarne dżinsy - raczej szpanerskie, te kupione pod presją Amandy - oraz czarny, stosunkowo seksowny, lecz nie eksponujący cycków top. Stroju dopełniały niewygodne, ale za to jako tako wyjściowe kozaczki. Krótko mówiąc, wysiliła się, jednakże restauracja, przynajmniej widziana z zewnątrz, wyżej kładła poprzeczkę.

Kierownik sali wziął od Holly płaszcz i poprowadził ją imponującymi schodami do restauracji - romantycznie ciemnej, z mnóstwem świateł, z ciężkimi jedwabnymi portierami i z małymi aksamitnymi poduszkami. Jack zadał sobie wiele trudu - pomyślała Holly - wybierając to najbardziej pasujące do zakochanych miejsce, żeby zneutralizować fakt, iż to ona

zadzwoiła z propozycją spotkania. Doceniała ten gest, nawet jeśli czuła się nieco zakłopotana. Prawdę mówiąc, cała ta sytuacja wprawiała ją w zakłopotanie.

Jack już czekał przy stoliku, a kiedy weszła, uśmiechnął się i podniósł z fotela.

- Przepraszam. Powinam była... - Holly spojrzała na swój strój i wskazała wewnątrz. - Nie wiedziałam, że tu jest tak... hmm, kandelabrowo.

Tydzień wcześniej wykonała posunięcie, które należy uznać za absolutnie niezgodne z jej naturą, bo złapała słuchawkę i wykręciła numer Jacka. Jedynym wytłumaczeniem, jakie przychodziło jej do głowy, był do tej pory odczuwany żal, iż nigdy nie wymyśliła, jak wytaszczyć z domu Amandy szafę z gruszkowego drewna.

- Cześć - powiedziała do poczty głosowej. - Mówi Holly. Frick. Przyjaciółka Amandy. Spotkaliśmy się, ale jeśli nie pamiętasz, zignoruj tę wiadomość...

Usłyszała kliknięcie, nieomylny odgłos podnoszonej słuchawki.

- Holly? - odezwał się Jack.

- Cześć. Nie wiedziałam, że jesteś w domu.

- Właśnie wszedłem.

- Och, przepraszam. Mogę zadzwonić później, jeśli tak byłoby ci wygodniej.

- Nie. Nie ma sprawy. O co chodzi?

Holly poczuła pustkę w głowie. Po południu Amanda przemailowała jej numer telefonu Jacka, gest, który w tamtej chwili wydał jej się dziwny, a nawet nieco perwersyjny, teraz natomiast, gdy pytanie Jacka zawisło w powietrzu, zobaczyła, czym naprawdę był. Odruchem współczucia. Amanda jej współczuła. Nie było innego wytłumaczenia. Współczuła jej, bo Holly była samotna, rozwiedziona i znalazła się w sytuacji, gdzie coś takiego jak telefon z propozycją spotka-

nia do mężczyzny, którego ledwo znała, wydawał się rozsądnym posunięciem.

- Zastanawiałam się, czy nie chciałbyś się ze mną gdzieś wybrać, na kolację czy coś w tym rodzaju. Kiedyś tam. Kiedykolwiek.

- Proponujesz mi randkę? - zapytał Jack po długiej ciszy. Holly czuła, jak wali jej serce.

- Tak.

- Obawiam się, że będę zmuszony odmówić...

- Och! - sapnęła Holly. Poczowała, jak przebiegają fala niemal prymitywnego zażenowania, normalnie kojarzącego się ze szkołą średnią, z funkcjami fizjologicznymi czy z nagością w miejscu publicznym. I dlatego właśnie, Holly, nie robisz takich rzeczy. Dlatego to, co się tu dzieje, w tej chwili, było złym pomysłem. - W porządku. Przepraszam, że cię niepokoiłam.

- ...ponieważ wołałbym - kontynuował Jack - gdybyś pozwoliła mi zaprosić się na randkę.

- Och...

- Tak wołałbym to zrobić.

- Okay.

- Czy chciałabyś pójść ze mną na kolację w piątek wieczorem?

Holly uśmiechnęła się do słuchawki.

- Będzie mi miło.

Ze swego miejsca widziała noc za oknem. Krótco po tym, jak przyniesiono wino, zaczęło mżyć i kamienica po przeciwnej stronie ulicy rozbłysła świetlnymi punktami, co Holly przypomniało Paryż. Spojrzała na Jacka, który jakby zastygł nad tartą z kozim serem. Podniósł wzrok i podchwycił jej spojrzenie.

- Co? - zapytał.

- Nic - odparła.

- O co chodzi?

Holly milczała przez chwilę, a potem wyrzuciła z siebie to, co nurtowało ją przez całą noc, a właściwie przez cały tydzień, odkąd Amanda przesłała jej numer telefonu.

- Czy ta sytuacja nie jest trochę dziwna?

- W pewnym sensie.

- Zerwaliście z Amandą na dobre? Tak po prostu, jednego dnia, trzask prask i całkowita odstawka?

- Amanda zerwała, a ja uszanowałem jej decyzję - wyjaśnił Jack. - A więc tak, sądzę, że tak.

- Hmm. - Nie powiedziała nic więcej poza owym „hmm”, i tylko przechylając głowę, przyglądała mu się z nieukrywanym sceptycyzmem.

Jack patrzył na nią speszony.

- I to wszystko? - spytała w końcu. Odchyliła się na oparcie i splotła ramiona na piersi. - Któregoś dnia postanawiacie przestać ze sobą rozmawiać i po krzyku? Niczyje serce nie zostało złamane, Mark o niczym się nie dowiedział i wszyscy żyją sobie dalej jakby nigdy nic?

- O co ci chodzi?

- Sama nie wiem.

- Spróbuj jaśniej.

- Okay. Chyba odzywa się moja moralizatorska natura w połączeniu z pisarską, dramatopisarską, czy jakkolwiek to nazwać. - Holly podniosła kieliszek i dla kurażu wypła spory łyk wina. - Powinny pojawić się jakieś konsekwencje.

Jack w zamyśleniu pokiwał głową.

- Jakiego rodzaju?

- Na przykład Mark dowiaduje się o was i odchodzi od Amandy. Albo ona zachodzi w ciążę i nie wie, czyje to dziecko. Lub chce z tobą skończyć, a ty świrujesz i grozisz, że powiesz o wszystkim mężowi. *Fatalne zauroczenie, Zbrodnie i wykroczenia*. Film, w którym Dianę Lane oszukuje Richarda Gere, a on przypadkiem zabija tamtego przystojne-

go aktora, którego nazwisko mi umknęło, pp czym zawija go w dywan.

- To dość poważne konsekwencje.

- Dobra, może coś nie aż tak poważnego - ustąpiła Holly. - Chcę tylko powiedzieć, że coś się powinno wydarzyć.

- Czy wtedy lepiej byś się poczuła?

- Nie! To byłoby straszne! - zaprzeczyła Holly. - Ale przynajmniej czułabym, że istnieje jakieś moralne centrum, że żyjemy w sensownie poukładanym świecie. A tak ludzie mogą robić, co im się żywnie podoba, i wszystko uchodzi im na sucho. Nic złego się nie dzieje, nikt nie wpada w kłopoty, mija kilka tygodni i hajda ho, ty i ja lądujemy na randce!

Jack poprawił się w fotelu i przez dłuższą chwilę przyglądał jej się w milczeniu.

- Co? - zaniepokoiła się Holly.

- Wiesz, że to ma podłoże nerwicowe, prawda?

- Co ma podłoże nerwicowe?

- Twoje moralizatorskie oburzenie - skonkretyzował. -Czytałem twoją powieść. Uważasz, że to skutek twego porządnego chrześcijańskiego wychowania, lecz nie w tym rzecz.

- O czym ty mówisz?

- O tym. O tym wszystkim - powiedział i zamachał dłonią w powietrzu, jakby dzieliła ich mgła, a atmosfera zrobiła się gęsta od czegoś podejrzanego. - O twojej sztywnej purytańskiej postawie. To powszechna cecha nerwicowców. Podobnie jak pragnienie bycia ogólnie lubianym, a także kłopoty ze snem.

- Wcale nie.

- Zaufaj mi - powiedział Jack. - Możemy pójść do Strandu. Kupię ci książkę na ten temat.

- Mówisz poważnie?

- Niestety.

- To naprawdę przygnębiające - wyznała Holly.

To było przygnębiające. Holly dawno pogodziła się ze

świadomością, że jest ciut szurnięta, lecz coś takiego - myśl, iż jeden z fundamentalnych aspektów jej osobowości może być niczym innym jak tylko nerwicowym skrzywieniem - to było naprawdę niepokojące.

- Jeżeli ci to w jakiś sposób pomoże, dowiedz się, że źle się z tym czuję - oznajmił Jack. - Z tym, co było między mną i Amandą.

- Tak?

- Jak powiedziałaś ostatnim razem, w najlepszym wypadku to było nieetyczne. W przeciwieństwie do ciebie... - Uśmiechnął się mile. - ...cieszę się, że Mark mnie nie zabił i nie zawinął w turecki dywan. I cieszę się... - Zawiesił głos, odchylił się na oparcie i spojrzał na Holly. - ...że jestem tu z tobą na randce.

Po kolacji przywołał taksówkę i odwiózł Holly do domu przez całe miasto. Odprowadził ją do drzwi, a kiedy przed nimi stanęli, ujął jej dłoń, podniósł do ust i pocałował. Usta miał miękkie i ciepłe, a ona poczuła dreszczyk czegoś obiecującego, takie miłe uczucie, którego od niepamiętnych czasów nie zaznała.

- Powtórzmy to - zaproponował Jack. - Jeszcze raz, jeszcze raz i jeszcze raz.

Spence Samuelson stał na korytarzu przed swoim mieszkaniem, mocując się z drzwiami. Dzwonek telefonu wewnątrz wprawiał go w zdenerwowanie. Po randce w ciemno zaszedł do baru i teraz miał trudności z wsunięciem klucza w zamek. Telefon zamilkł, lecz kiedy Spence otworzył drzwi, rozdzwonił się na nowo. Spence spojrzał na zegar w kuchni. Za dwanaście pierwsza.

Podniósł słuchawkę i usłyszał warknięcie:

- Coś ty narobił?!

- Mama?
 - Coś ty narobił?!
 - Mamo, o czym ty mówisz?
 - Joan po powrocie do domu zadzwoniła do matki, ciężko rozhisteryzowana.
 - Cooo?
 - Rozhisteryzowana.
 - Czemu?
 - Podobno zrobiłeś głupią minę.
 - Cooo? - Spence, nadal w płaszczu, opadł na kanapę.
 - Podobno zrobiłeś głupią minę.
 - Mamo, musisz się jaśniej wyrażać, bo nie mam pojęcia, o czym mówisz.
 - Joan powiedziała matce, że kiedy weszła do restauracji, podniosłeś głowę, spojrzaleś na nią i zrobiłeś głupią minę.
 - Mamo, nie zrobiłem żadnej głupiej miny. Słowo daję, przysięgam, nie zrobiłem.
- Zrobił głupią minę? Całkiem możliwe. Siedział w barze, był w połowie martini i czekał na nieznajomą, gdy do środka weszła ogromna kobieta z nerwowym, wyczekującym wyrazem twarzy, i wtedy głos gdzieś głęboko w nim wrzasnął: „Nieeee!”. Być może temu odczuciu towarzyszył odpowiedni wyraz twarzy.
- Ona mówi, że zrobiłeś - utrzymywała z uporem Vera.
 - I że z trudem się opanowała, by nie wybiec z płaczem z tej restauracji, taka to była paskudna mina.
 - Przykro mi, ale poniosła ją wyobraźnia. Nie zrobiłem żadnej głupiej miny.
 - Cóż, ona mówi, że zrobiłeś - powtórzyła Vera tonem, który oznaczał, że nie ustąpi. -I powiedziała, że cały wieczór rozmawiałeś wyłącznie o biustach.
 - Co?!
 - Biustach, biustach, biustach. Widocznie tylko to intere-

suje mego syna. Wielkie, ogromniaste biusty. Tak bardzo go zajmują, że uważa je za odpowiedni temat uprzejmej konwersacji przy posiłku.

- Mamo, szczerze, nie wiem, czemu ona coś takiego mówi.

- Uważasz, że zmyśla? Według ciebie ta miła dziewczyna idzie na randkę, a potem dzwoni do matki i opowiada jej kłamstwa?

- Być może. Nie wiem. - Spence przebiegł w myślach wieczorną rozmowę i coś sobie przypomniał. - W pewnym momencie rozmowa zeszła na Pamelę Anderson. Możliwe, że wypłynął temat biustu, ale jakoś tego nie pamiętam.

- Muszę usiąść.

- Ale to była tylko taka sobie uwaga.

- Nie rozumiem, czemu według ciebie piersi Pameli Anderson stanowią odpowiedni temat na pierwszą randkę. Bardzo mi przykro, ale dla mnie to nie ma sensu. Poza tym za dużo piłeś i nie odwozłeś Joan do domu.

- Również nie pojechałem po nią. Spotkaliśmy się w restauracji. Sytuacja nie wymagała odwożenia do domu.

- Joan powiedziała matce, że po kolacji zatrzymałeś taksówkę, wskoczyłeś do niej, a ją zostawiłeś samą na ulicy.

- Oznajmiła, że chce wrócić do domu pieszo i odetchnąć świeżym powietrzem. Posłuchaj, mamo, dlatego nie chciałem się na to zgodzić. Dlatego ze dwadzieścia razy mówiłem „nie” na twój pomysł. Odgrywamy właśnie scenariusz, którego chciałem uniknąć.

- Musisz jutro z samego rana zadzwonić do Joan, przeprosić ją i umówić się na następną randkę.

- Nie ma mowy.

- Spencer, jestem ogromnie zażenowana tym epizodem.

- Przeproszę - obiecał Spence. - Ale nie mam zamiaru się z nią umawiać.

- Tylko jedna krótka kolacja.

- Mamo, jeśli ona wróciła z płaczem z pierwszego spotkania, jestem pewien, że nie zechce się ze mną po raz drugi umówić.

- Harriet powiedziała, że zgodziłaby się, gdybyś ją poprosił.

Spence westchnął ciężko.

- Jutro! - rzuciła matka i rozłączyła się.

Spence opadł na oparcie kanapy i usiłował odtworzyć przebieg wydarzeń, które doprowadziły do tej rozmowy. Jakiś czas temu matka doniosła mu przez telefon, że poznała pewną osobę, która według niej mogłaby mu się spodobać.

- Nie chodzę na randki w ciemno - oświadczył.

- Ona jest piękna - zachęcała matka. Nie ładna czy atrakcyjna, ale piękna. Powtarzała mu w kółko, jaka to piękna kobieta. - Ma na imię Joan i jest oszałamiająco piękna.

- Mamo, to mnie nie obchodzi. Nie chcę.

- Tylko jedna kolacja - nalegała. - Zrób to dla mnie.

I jakoś tak wbił sobie do głowy, że kolacja z Joan, oszałamiająco piękną córką sąsiadki, będzie stosunkowo bezbolesnym sposobem na uszczęśliwienie matki, tak jak pamięć o wysłaniu kwiatów w Dzień Matki czy uwaga, że coś zrobiła z włosami. W końcu wyraził więc zgodę.

Joan, jak się okazało, daleko było do piękności, i przez pierwszy kwadrans Spence trwał w stanie lekkiej konsternacji, usiłując rozgryźć kobietę, którą miał przed sobą. Była, zgodnie z zapowiedzią, dobrze po trzydziestce, z ładnymi brązowymi włosami sięgającymi ramion - musiał przyznać, że te włosy naprawdę dobrze wyglądały - a twarz, co prawda sympatyczna, otwarta i uśmiechnięta, jemu kojarzyła się z ciastkiem z kremem kokosowym. Piersi, ogromne i uniesione nieprawdopodobnie wysoko, budziły myśli o wielokrążkach, przeciwwagach i stalowych linach. Najwyraźniej Joan była z nich dumna i niepotrzebnie je eksponowała, podobnie

jak według spostrzeżeń Spence'a robiły to wszystkie grube kobiety. Ważyła przynajmniej o dwadzieścia kilogramów za dużo, a może nawet o trzydzieści kilka. (Spence nie bardzo potrafił ocenić wagę otyłych ludzi; dochodziła kwestia jędrności ciała). Czy według dwóch sześćdziesięcioletnich kobiet to właśnie jest ideał piękna? - zastanawiał się. Czy to w ogóle możliwe? A może celowo go nabrały? Za późno przypomniał sobie o skłonnościach matki do przesady w pochwałach. Przez całe miesiące wysłuchiwał przecież jej zachwyty nad mrożoną czekoladą, którą serwowano w lodziarni w Kimmswick. Matka mówiła, że musi tam z nią pojechać podczas następnego jej pobytu i spróbować tej niesamowitej mrożonej czekolady. W zeszłym roku w Święto Dziękczynienia wymyśliła, że wybiorą się tam na rodzinne spotkanie następnego dnia, i od rana roztaczała przed nim takie wizje, że siedząc w czerwonym boksie, autentycznie był przekonany, że za chwilę będzie konsumować delicje. A co postawiła przed nim kelnerka? Kubek mlecznego koktajlu z masą karmelową.

W sumie uznał, że randka, będąc tym, czym była, przebiegła całkiem dobrze. A była dwugodzinnym posiłkiem, składającym się z trzech dań, spożywanym przez dwoje ludzi, którzy nigdy się nie pocałują, nie dotkną, a przy odrobinie szczęścia nigdy więcej się nie zobaczą. Nawet był z siebie dumny. Może nie tak, jak czuje się człowiek po spełnieniu dobrego uczynku, ale przynajmniej zachował się jak dorosły. Nie zamierzał dzwonić do Joan z przeprosinami. Nie miał za co przeproszać. A już na pewno nie umówi się z nią po raz drugi. I nie obchodzi go, jak zareaguje matka.

Daj mi chociaż tyle

Osiem dni później Spence zjawił się w restauracji, którą zaproponowała Joan, w przesadnie drogim włoskim bistro tuż za rogiem, w sąsiedztwie mieszkania Spence'a. Jednak doszło do rozmowy telefonicznej. I rzeczywiście do przeprosin, które, jak Joan zapewniła, były zbyteczne, zupełnie zbyteczne, lecz wyraźnie podenerwowany ton, jakim to powiedziała, trochę go przestraszył. Nie wiadomo kiedy - Spence do dzisiaj nie był całkiem pewien, jak do tego doszło, poza tym, że wszystkiemu winna była matka - wypłynął temat ewentualnego ponownego spotkania. A potem, w środku tygodnia, nastąpiła wymiana e-maili, kiedy to uzgodnili miejsce i czas. Spence nie mógł się wyzbyć wrażenia, że został kompletnie pokonany.

Omiótł spojrzeniem salę i namierzył Joan. Siedziała na wyściełanej ławie pod ścianą, wciśnięta za mały kwadratowy stolik, który optycznie powiększał jej imponujące kształty. I tym razem balony były na wierzchu. Metry rowka na wystawie. Taki rowek - myślał Spence, zbliżając się do stolika - rodzi wrażenie, że człowiek, wsadzając tam rękę, wyciągnąłby kanapkę z szynką.

- Przepraszam, spóźniłem się? - zapytał.

- To ja przyszedłam za wcześnie.

- Uff, nie cierpię się spóźniać - wyznał.

Przechylił się ponad stolikiem i cmoknął ją, a dokładniej dotknął ustami jej włosów, jednocześnie ściskając jej prawe ramię. W dotyku była jak wytrybowana tuszka kurczaka. Usiadł naprzeciwko, wygładził przód koszuli i poprawił krawat, jakby muskał piórka, jakby starał się wyrzeć dobre wrażenie.

- Miło cię widzieć. Ładnie wyglądasz. Jakbyś się trochę opaliła w ciągu tego tygodnia?

- Raczej nie - powiedziała Joan.

- Naprawdę? Po prostu promieniejesz. - Dobra, stary, wy-luzuj - ostrzegł się w myślach, otwierając menu. - Zdażyłaś przejrzeć?

- Tak - padła krótka odpowiedź.

- Dobrze, szybka decyzja. Wezmę makaron z sosem arrabiata. Bo lubię to wymawiać. Arrabiata - powtórzył, akcentując „r”.

Zero reakcji. Choćby cienia uśmiechu.

- Zamówimy butelkę wina?

- Na pewno nie wolisz swoich martini? - zapytała.

Nie, po prostu, martini. Tylko martini w liczbie mnogiej. Ponosi go wyobraźnia czy to jakieś gierki? Podczas pierwszej randki wypił trzy, powiedzmy: cztery, jeśli doliczyć tamto, które wychylił, zanim się zjawiała. Kiedy ją zobaczył, od razu się zorientował, że to spotkanie nie zakończy się interesująco, więc musi się szybko i miło ubzdryngolić, jeśli chce uratować choć połowę wieczoru.

- Jeśli ty zamówisz wino, ja też zostanę przy nim.

- Dobrze - odparła.

Twarz jak piegowaty placek, pozbawiona wyrazu. Tamtym razem było inaczej - skonstatował Spence. Uśmiechała się, przechylała głowę, bawiła się włosami, muskała palcami przymarszczony brzeg głębokiego dekoltu. Teraz wyrastała

znad stolika ogromna i wyniosła, jak jeden z tych posagów na Wyspie Wielkanocnej. '

- Czerwone czy białe?

- Wolę białe.

- Białe, białe. Uwielbiam białe. Fajnie, że je wybrałaś. - Wskazał listę win oprawioną w czerwoną skórę. - Mogę?

- Bardzo proszę.

Przebiegł wzrokiem nazwy win, na żadnej się nie skupiając. Tak jak zawsze, wybierze drugie od końca pod względem ceny, ale udawał koncentrację, bo w ten sposób zyskiwał czas na pozбиieranie myśli. Tym razem jego towarzyszka wysyłała bardzo dziwne sygnały. Ostatnio zafundowała mu pokaz wrodzonych kobiecych cech - była miła, uważająca, ciepła i uległa. Teraz była dużą rozgniewaną kobietą. A on miał dać występ na rozkaz monarchini.

- Gdzie studiowałaś? - zapytał, gdy już zamówił wino.

- Mówiłam ci poprzednim razem.

- Racja. Oczywiście, że mówiłaś. Poczekaj, nie podpowiadaj. To była jedna z tych małych uczelni dla bystrzaków. Bryn Mawr? Middlebury...?

- Swarthmore.

- Swarthmore. Jasne. Garnet Tide.

- Twój przyjaciel Cliff tam studiował - powiedziała bezbarwnym głosem. - A ty byłeś w Brown.

- Tak. Rzeczywiście. Mają beznadziejną maskotkę. I okropne kolory szkoły. Nie ma nic brzydszego od T-shirtów Brown University. Dlatego nikt ich nie nosi. W sobotę w Central Parku zobaczysz ludzi w koszulkach Penn, Harvardu, Cornell, ale nikogo w T-shircie Brown. - Plótl trzy po trzy. Musiał trzymać się z daleka od tematów, które ewentualnie poruszył podczas zgubnej randki z trzema (no dobra, z czterema) martini. Czuł się jak księżniczka Leia tańcząca przed Jabba the Hut, kręcąca się i wirująca coraz szybciej.

Natomiast mamy paru sławnych absolwentów, na przykład Laura Linney. - Mały biust! - Czy Leelee Sobieski. - Płaska jak deska!

- Widziałam ludzi w koszulkach Brown.

Spence spojrział na nią z nikłym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Nosił ją facet z mojej siłowni i dziewczyna, która mieszka w tym samym domu co ja, chodzi w takiej w weekendy - wyliczała Joan.

- Ha, to obala moją teorię - powiedział Spence. Zaśmiał się wymuszonym śmiechem. - Widzę, że muszę wycofać ten kawałek: „Nikt nie nosi T-shirtów Brown”. Bum, leci do kosza.

Nad stolikiem zawisła ponura cisza. Kelner przyniósł wino i zebrał zamówienia.

- Wszystko gra? - spytał Spence po jego odejściu.

- To znaczy?

- Odnoszę wrażenie, że chyba nie bardzo masz ochotę tu siedzieć.

- Czemu tak mówisz?

- No, nie wiem, tak mi się wydaje. Jeśli chcesz się zbierać, po prostu powiedz.

- A ty chcesz się zbierać? - spytała Joan.

Podchwytliwe pytanie. Wiedział, że jeśli potwierdzi, natychmiast dowie się o tym i matka, i Harriet. Ech, chrzanić te dwa stare pudła! Skoro nie rozumieją sprawy tak podstawowej jak typ kobiet, na jaki on zasługuje, to...

- Świetnie się bawię - zapewnił.

- To dobrze.

- A więc...

- A więc.

- A więc dobrze ci minął tydzień? - zapytał.

- Tak.

- Robiłaś coś ciekawego?

- Poszłam na tę uroczystość, o której ci mówiłam. W muzeum.

Spence poczuł się tak, jakby podchodził do egzaminu na lekcji o ósmej rano, na którą wielokrotnie zdarzyło mu się zasnąć. Muzeum. Uroczystość w muzeum...

- Naprawdę? To fantastycznie. Jak było?

- No wiesz, mniej więcej tak, jak się spodziewałam. -Pociągnęła spory łyk chenin blanc. - Mnóstwo żab.

Jaja sobie robi? Przez chwilę wydawało mu się to wielce prawdopodobne. Żaby w muzeum. A może to było muzeum żab? Czy jest na Manhattanie muzeum żab?

- Brzmi dość niesamowicie - zauważył.

- Rzecz się działa w nocy, więc żaby były o wiele bardziej ożywione niż za dnia, gdy większość ludzi przychodzi je oglądać - wyjaśniła Joan. - Nawet fajnie było.

Czerwona lampka zgasła. Muzeum Historii Naturalnej. Wielka wystawa żab. Uratowany!

- Uwielbiam to muzeum - powiedział. - Kiedyś bardzo często chodziłem popatrzeć na dioramy przyrody. Czułem się jak w pętli czasu. Zupełnie jakby to było muzeum w muzeum.

- Właśnie tak.

- A więc to było coś w rodzaju nocnej imprezy połączonej z oglądaniem żab?

- Jak już mówiłam. - Piegowata, plackowata twarz pozostała niezgłębiona. - Zbieraliśmy fundusze na program, w którym uczestniczę jako wolontariuszka. Chodzi o umożliwienie dzieciom z biednych rodzin nauki w katolickich szkołach średnich w mieście. Byłam w komitecie organizacyjnym. Zgromadziliśmy dzieci i staraliśmy się zaprosić jak najliczniejszych sponsorów, żeby mogli je poznać, zorientować się, co robimy, i żeby zachęcić ich do wypisania sutych czeków.

- Dużo zebraliście?

- Prawie pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Niesamowite! Brawo. Jeśli pozwolisz, ja też wyślę czek. - Co on gada?! Chce płacić tej kobiecie? Nie wystarczą dwa wyjęte z życia wieczory?

- Nie musisz.

- Ale chcę. Szczerze - zapewnił. - Nie proponowałbym, gdybym nie chciał. Nie mam czasu chodzić na takie imprezy, lecz uważam, że to bardzo ważne, aby ludzie, no wiesz, spłacali swój dług.

- Jutro mailem prześlę ci adres.

- Koniecznie.

Kolejna przedłużająca się chwila ciszy. Spence postanowił jej nie przerywać. Nabrał ogromną porcję penne arrabiata na widelec i zaczął żuć. Czas, aby Wielka Joan wniosła wkład w tę randkę. W myślach zabawiał się sceną, w której odkłada widelec i patrząc jej w oczy, mówi: „Czy nie powinniśmy być wobec siebie szczerzy? Oboje wiemy, co poszło nie tak ostatnim razem. Absolutnie nie zamierzam się spotykać z kobietą twego pokroju. A ty jesteś za to na mnie wściekła. Jesteś obrażona na mnie i na wszystkich mężczyzn i wcale nie mam ci tego za złe, naprawdę, ale sama widzisz, że tak urządzone jest ten świat, i nie wiem... Może gdybyś zrzuciła parę kilogramów, wtedy, kto wie... Ech, kogo on chce nabrać? I tak by się z nią nie spotykał, bo jest za stara, no i te piegi, ale na pewno ktoś by się znalazł. Być może. Tymczasem ty, zamiast się z tym pogodzić, polecisz do domu i naskarżysz na mnie mamie!”.

Joan nawijała jak wprawna kwestarka, powtarzając to, co zapewne powtarzała już ze sto razy.

- W tym mieście poszkodowane są dzieci średnio zdolne - mówiła. - Jeśli dzieciak z biednej rodziny jest geniuszem, zostanie umieszczony w szkole z rozszerzonym programem, gdzie stawia mu się ambitne wyzwania i zapewnia pomoc finansową. W ostatniej dekadzie, po pewnej liczbie procesów sądowych i zmianach legislacyjnych, dzieciom opóźnionym

przydziela się specjalnych nauczycieli, umieszcza się je w małych klasach i wcześniej podejmuje działania interwencyjne, natomiast dzieci, którym my pomagamy, to przeciętni, średnio zdolni uczniowie, którzy bez tej pomocy nie mają szans. Opłacamy opiekuna i czesne, żeby mogły chodzić do szkół parafialnych. Sporo z nich kończy studia. Ich życie całkowicie się zmienia, a cały koszt to jedynie cztery tysiące dolarów.

- Nie jestem pewien, czy już o tym rozmawialiśmy.

- Spence wkraczał teraz na niebezpieczny teren. - Czy chodziłaś do katolickiej szkoły?

- Przez całych dwanaście lat.

Aha - pomyślał. Możliwe, że to tłumaczy dzisiejszą, nieco sadystyczną odsłonę natury Wielkiej Joan.

- Naprawdę? - zdziwił się. - Dwanaście lat? Jak tam było?

Po tym pytaniu naprawdę się ożywiła. W końcu. Mógł nareszcie trochę odetchnąć i musiał jedynie zaśmiać się czasem, zrobić zdziwioną minę, rzucić pytanie o kary cielesne czy dwuznaczną (lecz nieprzesadnie dwuznaczną!) uwagę na temat kolanówek i plisowanych spódnic.

- Nie sądzę, aby obecnie panował taki rygor jak za moich czasów, rozumiesz, mam na myśli kwestie religijne. Chodziłeś w dzieciństwie do kościoła?

- Czasami. W Boże Narodzenie i w Wielkanoc, przez kilka lat. W mojej rodzinie nie robiło się z tego wielkiej sprawy.

- Wierzysz w Boga? - spytała.

Spence nie wierzył w Boga. A dokładniej Spence wiedział, że Boga nie ma. Był tego pewien. Odkrył, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, że obecnie nie była to popularna postawa, nawet tu, w sercu Manhattanu, pośród elitarnej grupy jego równolatków, tych trzydziestokilkuletnich karierowiczów, którzy sprawiali wrażenie najbardziej bezbożnych, bezdusznych i materialistycznych istot, jakie nosiła

ziemia. Nie ma się co dziwić - myślał czasem - że w Teksasie głoszone kreacjonizm, skoro tutaj ateizm stał się niemodny. Jeśli ateizm był obciachowy na Manhattanie, to co z resztą kraju?

A był. Zdecydowanie obciachowy. Wszyscy uważali się za wierzących. „Wierząca, ale niereligijna” - w taki sposób określało się dziewięćdziesiąt procent kobiet znanych Spence'owi. Co do mężczyzn... Hmm, nigdy nie dyskutował z nimi na te tematy, ale miał prawo przypuszczać - sądząc po natężeniu zgromy i odrazy u swych wybrankach, gdy informował, że jest ateistą - iż inni mężczyźni, biegając po mieście, mówili dokładnie to samo. Wierzący, ale niereligijny! Kto wymyślił taką bzdurę?! Niemniej wszyscy tak się określali, w ten sam sposób. Jakby szukali odpowiednich słów, usiłując wysnuć je z powietrza i dać w ten sposób do zrozumienia, że zbadali wszelkie tradycyjne drogi wiodące do Boga poprzez największe religie świata i rozczarowani, kultywują prywatną i namacalną łączność z boskością. Spence był znany z tego, że lubił przypierać swoje wybranki do muru, lecz wychodziło mu z tego tyle, że „wierząca, ale niereligijna” oznacza czerpanie pociechy ze świadomości, iż Bóg istnieje, bez zadawania sobie trudu zgłębienia zasad lub przynajmniej poświęcenia im odrobiny myśli. Zupełnie jak wiara w Świętego Mikołaja.

- Nie - odparł.

- Ani trochę?

- Nie. Hmm, chyba do pewnego stopnia jestem skłonny przypuszczać, że być może istnieje jakaś siła, lecz ta siła nie jest ani inteligentna, ani dobrotliwa, ani w najmniejszym stopniu zainteresowana ludzkością.

- Jaka siła?

- Taka jak w drzewach. Albo w kawałku stali.

- I to jest Bóg?

- Nie. To siła - zaproponował Spence. - I nawet jeśli zechcesz nazwać ją Bogiem, to tak naprawdę nie ma żadnych atrybutów przypisywanych jej przez ludzi. Dalej w to nie wchodzę.

- To trochę przygnębiające.

- Taak, być może - przyznał Spence, zbierając resztki sosu arrabiata kawałkiem chleba. - Życie jest przygnębiające.

Spence zapłacił rachunek - sto dwanaście dolarów plus napiwek - i zaoferował Joan odprowadzenie do domu. Wy-koncypował sobie, że wspólny spacer jest ostatnim wymogiem tej randki; matka nie będzie mu prawić kazań, a kiedy już wreszcie odstawi Joan pod dom, nie będzie zmuszony jej więcej oglądać, rozmawiać z nią, ani nawet o niej pomyśleć.

- Wiesz, twoja matka jest w ciebie zapatrzona - odezwała się Joan, kiedy wyszli na zewnątrz.

- Co przez to rozumiesz?

- Właśnie to, że jest w ciebie zapatrzona. Szczerze mówiąc, chciałam cię poznać, żeby sprawdzić, jaki jest ten mężczyzna, w którym matka jest tak bezgranicznie zakochana.

- Moja matka nie jest we mnie zakochana.

- No, może to nie najszczęśliwsze określenie - przyznała Joan. - Ona ma obsesję na twoim punkcie. Bez przerwy mówi o tobie.

- Chciała nas skojarzyć - sprostował Spence. - Zależało jej, abym dobrze wypadł, bo inaczej nie zechciałabyś się ze mną umówić.

- Nie, nie. To coś więcej. Nie uwierzyłbyś, co o tobie wiem.

- Na przykład?

Joan przystanęła, jakby głęboka koncentracja uniemożliwiła jej ruch.

- No wiem, że ekspres do kawy, w którym codziennie

rano zaparzasz podwójne espresso, kosztował tysiąc czterysta dolarów.

- Moja matka ci powiedziała?

- Niestety - potwierdziła Joan. Ruszyła przed siebie, a Spence podreptał pół kroku za nią.

- Jasny gwint, czemu o tym mówiła?

- No właśnie. Bez sensu. Moja mama utrzymuje, że ona cały czas mówi takie rzeczy. Opowiada, co masz, ile zarabiasz, jak ci się dobrze powodzi. Tego rodzaju historie. Jakie drogie krawaty nosisz. Doprowadza tym moją matkę do szału.

- Trzy lata temu umarł mój tata - rzekł Spence. - Matka nie bardzo ma o czym rozmawiać.

- Mnie to nie interesuje. Spytałam ot tak.

- Jest samotna - mówił Spence. - Niewiele się u niej dzieje.

- I pewnie stąd się to bierze - zgodziła się Joan. Przystanąła przed budynkiem z brązowego piaskowca, z dużą donicą geranium na pierwszym stopniu. - Tu mieszkam.

- Ładny dom - pochwalił Spence.

- Dzięki - odparła. - Jutro przemailuję ci adres.

- Adres?

- Żebyś mógł przysłać czek. Pokwitowanie dostaniesz w terminie składania zeznań podatkowych.

- Racja. Świetnie.

- No cóż...

- Cóż - powtórzył i zdobył się na niezdarny uścisk, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. - Dobranoc.

- Dobranoc.

Doszedł do rogu Sixth Avenue i tam zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Kiedy opadł na tylne siedzenie, poczuł się straszliwie ociężały, jakby roztopiony ołów wypełnił mu klatkę piersiową i rozlał się po całym ciele. Przez moment miał wrażenie, że nie jest w stanie poruszyć ani ręką, ani nogą.

Spojrzał na lewą dłoń i przesunął nią parę cali po winylowej tapicerce, żeby zobaczyć, czy da radę. Dał. Nie potrafił ubrać tego w słowa, wiedział, że to go przerasta, lecz Joan potwierdziła nurtujące go podejrzenie, że coś z jego życiem jest nie tak.

- Wiesz, kim się staję? - zapytał Lucas. - Facetem, Który Wszystko Skrapia Tabasco.

Holly i Lucas siedzieli w małej greckiej restauracyjce, kilka przecznic od jej domu i jedli wczesny niedzielny brunch. Wybrała to miejsce z nieciekawym zestawem dań i dość nieuprzejmą obsługą, ale za to błogo pustawe o tej porze, gdyż żadne inne nie przychodziło jej do głowy.

- Wczoraj skropiłem mango tabaskiem - wyznał Lucas. - Pokropił obficie jajecznicę, smażone ziemniaki i kanadyjski bekon. -1 wiesz co? Było całkiem niezłe.

Na poprzedni wieczór Holly ponownie umówiła się z Jackiem. Druga randka była również udana, z pocałunkiem na progu, od którego zmiękły jej nogi w kolanach. W domu znalazła wiadomość od Lucasa. Był z przyjaciółmi w barze za rogiem i miał ochotę wpaść do niej. Holly poczuła moralne rozterki. Czy godzinę po randce z Jackiem mogła wskoczyć do łóżka z Lucasem? Czy to było w porządku? Przypomniała sobie uwagę Jacka z pierwszego spotkania o tym, że jej purytańskość to jedynie nerwicowa reakcja, po czym zadzwoniła do Lucasa i kazała mu przyjść. Czuła się tak samo jak zawsze, kiedy robiła coś takiego; była niemal dumna ze swej zuchwałości, niczym nastolatka, która ucieka z lekcji, pali papierosy i pije wódkę, którą podprowadziła z barku rodziców. I jeśli nawet łamanie zasad odbywało się wyłącznie w jej głowie - zaledwie dwie randki z Jackiem i jeden pocałunek, obojętnie jak bardzo podcinający kolana, sami przyznacie, trudno uznać za zobowiązujące, a luźne i tolerancyjne para-

metry seksualnego związku z Lucasem pozostawały jasne dla obu zainteresowanych stron - czuła się trochę jak buntowniczka.

Teraz jednak, w jaskrawym wiosennym słońcu, wróciła do swego dawnego ja.

- Myślę, że powinniśmy to zakończyć - oznajmiła.

- Co zakończyć? - spytał Lucas.

- Nasze spotkania.

- Czemu tak mówisz?

- Bo tak uważam.

- Okay - mruknął. Powoli i z namaszczeniem zatknął buteleczkę małym czerwonym korkiem. - Skąd ten pomysł?

- O co ci chodzi? Ze mnie, bo niby skąd miałby się wziąć?

- Ale dlaczego właśnie teraz? Czemu akurat dzisiaj prowadzimy tę rozmowę? Bo się dowiedziałaś, że twój były ponownie się żeni? Według mnie to nie powód, żeby się przestać ze mną spotykać.

- Nie dlatego.

- Z tego powodu. - Twarz Lucasa przybrała poważny, surowy wyraz i Holly mogła się domyślać, że on tak będzie wyglądać około czterdziestki. - Ale byłaby to głupia decyzja.

- Nie o to chodzi.

- W takim razie o co?

Holly zaczerpnęła powietrza i oparła się o chłodną skórę kanapy.

- Chyba kogoś spotkałam.

- Aha. - Lucas podniósł filiżankę z kawą i odstawił ją z powrotem. - Aha, aha. Kto to?

- Nie znasz go. Nikt ważny.

- Chyba ważny, skoro zrywasz ze mną.

- Lucas, my nigdy, no wiesz, to nie było...

- Czym?

- Mówię, że oboje wiedzieliśmy, iż to przelotne, tymczasowe.

- Słuchaj, Holly, możesz sobie mówić, że coś nie jest związkiem, ale to nie zmienia faktu, że jednak nim jest. Czyli zrywasz ze mną. Nazwij rzecz po imieniu. Przynajmniej tyle mi się należy.

- Okay. Zrywam z tobą.

- Dziękuję.

- Lecz nie byliśmy w stałym związku.

- Najwyraźniej.

Lucas nałożył jajecznicę na grzanekę i odgryzł spory kęs. Żując, patrzył Holly prosto w oczy. Przeżuwał bardzo dokładnie.

- Nie zamierzam wpędzać się w wyrzuty sumienia - odezwała się. - Stawiałam sprawę jasno. Od samego początku.

- Tak, to prawda. - Odgryzł następny kawałek i pracowicie żuł. - No to jaki on jest? Stary?

- Owszem, starszy od ciebie. Ode mnie również. Niedużo, więc należymy do tego samego pokolenia, jesteśmy mniej więcej na tym samym etapie życia i chcemy tego samego.

- Czego takiego chcesz, czego nie chcę ja?

- Och, nie wiem, dzieci?

- Ja chcę mieć dzieci.

- Już teraz?

- Mam przez to rozumieć, że facet, którego dopiero poznałaś, chce mieć z tobą dziecko już teraz?

- Tego nie powiedziałam - zastrzegła się Holly. - Ale, jak przypuszczam, w perspektywie tak, o ile nam się ułoży, w bliskiej perspektywie. Na pierwszym planie.

- Hmm, uważam, że popełniasz błąd.

- Całkiem możliwe.

Lucas spuścił oczy na talerz z na wpół zjedzonym posiłkiem. Holly zauważyła, że urosły mu włosy, układając się w nieokiełznaną plątaninę loków. Jest słodki - pomyślała. Najchętniej wzięłabym go w rękę i schowała do kieszeni.

- No, powiedz coś - odezwała się w końcu.

- Co mam powiedzieć?
 - Nie wiem. Coś. Cokolwiek. , Podniósł się od stolika i wyjął pieniądze z portfela. Położył kilka banknotów na blacie.
 - Powodzenia.
- I wyszedł z restauracji.

Ekspozycja A

- Trochę mnie dziwi, że reinkarnacja nie stała się większym hitem w Ameryce.

Holly leżała naga obok Jacka w jego łóżku i kiedy te słowa padły z jej ust, zdała sobie sprawę, że złamała ustaloną przez siebie zasadę o odzywaniu się jako pierwsza po seksie. Można by przyjąć, że Holly i Jack doszli do punktu, gdzie takie zasady nie obowiązują - od sześciu tygodni bywali ze sobą mniej więcej systematycznie, i to robiąc rzeczy, które wydają się uroczo romantycznym wstępem do takiej zażyłości, kiedy kupuje się sobie nawzajem przybory toaletowe i nosi domowe portki partnera - lecz Holly nie była tego całkiem pewna.

To, co zawsze ją zaskakiwało w seksie, to ta jego cholerna intymność. Naprawdę, robienie tych rzeczy z drugą osobą wydawało się nadzwyczaj osobiste. Kto coś takiego wymyślił? - przemknęło jej przez głowę. I chociaż seks z Jackiem tej nocy był udany - obydwójce osiągnęli satysfakcję, aczkolwiek nie równocześnie - pojawił się taki moment pod koniec - już po końcu dla Holly, bez szału zresztą, a przed końcem dla Jacka - gdy wylądowała w poprzek łóżka na czworakach, z wypiętą pupą i z prawym uchem przyciśniętym do materaca. Otworzyła oczy i niemal podświadomie powiodła wzrokiem

po grzbietach książek na nocnej szafce Jacka. *Aura nieznanego. Droga jest celem. Reinkarnacja i karma.* Wiedziała, że to nie jest koszerne, rozpatrując rzecz w kategoriach seksualnych, ale nic nie mogła na to poradzić; jeśli miała przed oczyma słowa, to je czytała.

- Czemu tak mówisz? - spytał Jack.

- Jeśli się nad tym zastanowić, reinkarnacja to bardzo atrakcyjna propozycja. Te ciągłe powroty. - Wsunęła się głębiej w zgięcie jego ramienia. - Można sobie wmawiać, że życie jest cierpieniem, lecz wydaje mi się, że idea kompletnego niebytu jest znacznie gorsza. Świadomość, że umierasz i, puf, już cię nie ma.

- Reinkarnacja niekoniecznie musi być sprawą pozytywną.

- Wiem. Można powrócić w postaci karalucha - zgodziła się. - Ale ciekawe, że zarówno buddyzm, jak i chrześcijaństwo głoszą tę samą ideę. Twoja dusza będzie trwać wiecznie. I to nie wtopiona w jakąś anonimową siłę w rodzaju „światła”, „energii” czy „miłości”, lecz jako nieodłączna część twej istoty. W chrześcijaństwie masz nieśmiertelność duszy, a nawet zmartwychwstanie ciała, a buddyzm, o ile wiem, głosi, że twój duch wraca do ziemi i przechodzi w ciało innego człowieka, zwierzęcia, robala czy czegoś tam jeszcze.

- Do chwili, kiedy osiągasz stan oświecenia i stajesz się Buddą. Wtedy wtapiasz się, jak to ujęłaś, w „anonimową siłę”.

- Podejrzewam, że ta filozofia rozwijała się w takim czasie i w takiej części świata, gdzie, rozumiesz, cierpienie było prawdziwym cierpieniem. I tu wracamy do mej opinii o Ameryce. Jest mi źle, a mimo to nawet najmniejszą częścią istoty nie chcę przestać istnieć.

- Czy ty kiedykolwiek medytujesz?

- Próbowałam - wyznała Holly.

- I co?

- Nie wiem. Według mnie za dużo w tym samodoskonalenia. Religia jako lek na stres. A ja zawsze chciałam pełni szczęścia.

- W buddyzmie nie chodzi o pełnię szczęścia.

- Dobra, w takim razie o co? - spytała. - Naprawdę nie kapuję. Wiem tylko, że jest reinkarnacja, no i że nie można zabijać robali.

- To może kupię ci książkę?

- Okay - zgodziła się. - Ale nie obiecuję, że całą przeczytam.

- Czemu nie miałabyś przeczytać?

Holly podniosła z podłogi jedną z porzucanych poduszek i podłożyła sobie pod głowę.

- Nie wiem - odparła. - Chyba nie odpowiada mi religia, w której nie ma Boga.

- To nie jest tak, że w buddyzmie nie ma Boga.

- A jest?

- Pema Chódrón ujmuje to tak, że w buddyzmie Bóg pozostaje otwartym pytaniem - tłumaczył Jack.

- Otwartym pytaniem?

- Może istnieje, a może nie. To tajemnica.

- Aha. Nie, to mi się nie podoba. - Wywinęła się spod jego ramienia i usiadła.

- Czemu?

- Bo przez całe życie Bóg pozostaje otwartym pytaniem. Patrzysz na ocean, i Bóg jest otwartym pytaniem. Stoisz na szczycie góry, i znowu to samo. Celem religii jest udzielenie odpowiedzi.

Oparła się plecami o zagłówek i nakryła poduszką.

- Powiem jednak coś na korzyść twojej religii - zaczęła. Nieco dramatycznie zawiesiła głos, żeby nabrać pewności, że uważnie jej słucha, i dopiero wtedy dokończyła: - Dziwne

w reinkarnacji jest to, że brzmi to zwariowanie, ale nie wydaje się wariactwem.

- Co to znaczy?

- Kiedy o tym słyszysz, mówisz „uuuch”. Mam to połączyć? To coś było kiedyś czymś innym? Ten lama był tamtym lamą który był innym lamą dawno temu? To zwariowane! A potem twoje odczucia względem siebie, idea, że będziesz istniał zawsze, bardzo ci odpowiada. To wydaje się sensowniejsze od myśli, że jutro możesz wpaść pod autobus i będzie po tobie.

- Wiesz, na czym polega twój problem? - spytał Jack. - Jesteś religijną osobą, lecz nie praktykujesz. Wróć na łono kościoła, skoro nie możesz medytować.

- Nie mogę.

- Czemu?

- Już tam nie pasuję.

- I co z tego? Jakie to ma znaczenie?

- Uwierz mi, że ma - upierała się Holly. - Poza tym grzeszę na lewo i prawo i w najbliższym czasie nie mam zamiaru się poprawić.

- O czym ty mówisz?

- Eksponat A - powiedziała, ogarniając szerokim gestem zmiętą pościel i ich nagie ciała. - To chyba główny problem. W dodatku jestem po rozwodzie, no i napisałam książkę, w której słowa na „p” pojawiają się przynajmniej ze sto razy, i w ogóle na niewiele się zdało moje religijne wychowanie. Nie, pod tym względem spaliłam mosty łączące mnie ze współwyznawcami.

- W takim razie można poszukać kościoła, który jest chrześcijański, ale nie tak...

- ...ewangeliczny?

- Chciałem powiedzieć: nie tak konserwatywny.

- Jak na przykład któryś z tych episkopalnych kościołów z gejowskimi księżmi? - podsunęła Holly.

- Czemu nie?
- Gdzie się zbiera w kruchcie rzeczy dla ubogich, organizuje w piwnicy grupy wsparcia dla transseksualistów, słucha się z ambony antywojennych sloganów, przynosi dania z fasolki mung i z tofu chili i śpiewa hymny do Boga Matki?
O taki kościół ci chodzi?
- Mniej więcej.
- Nie da rady - odrzekła Holly. - To zupełnie mi obce. Nawet gorzej niż obce. To wyzwała pewne reakcje.
- Co masz na myśli?
- Siedzę w takim kościele i budzi się we mnie Jerry Falwell¹. Odzywają się wszelkie dawno wygaszone podstawowe impulsy - wyznała Holly. - Widzę siebie, jak przerzucam Księgę Kapłańską w poszukiwaniu zakazu sodomii. Poważnie, utknęłam w martwym punkcie. Ani kroku do przodu, ani kroku w tył.
- Możesz pójść do przodu - przekonywał Jack.
- Szczerze mówiąc, nie wiem jak.
Jack przetoczył się przez łóżko i pocałował ją czule w biodro.
- Czasami myślę - zaczęła Holly - że jestem chrześcijanką, ale beznadziejną. Może w tym problem. Bo, wiesz, nie jestem bardzo dobrym człowiekiem. Mój charakter nie ulega przemianie. Nie mam zakusów czy czegoś tam, żeby nawracać innych, brakuje mi ewangelizacyjnego żaru, a to jeden z podstawowych aspektów chrześcijaństwa. Roztrwoniałam bogatą spuściznę, tę całą edukację duchową i to, co było całkiem potężnym doświadczeniem mistycznym. A dlaczego? Bo nie było czadowe? Czy to mój podstawowy problem, jeśli chodzi o chrześcijaństwo? Poza tym jestem za leniwa i zbyt egocentryczna, żeby przestrzegać czegokolwiek rygo

¹Amerykański pastor i teleewangelista, znany z konserwatywnych poglądów na obyczajowość i politykę.
207

rystycznie, intensywnie o czymś myśleć czy oddać się bez reszty jakiejś idei. A z drugiej strony, kiedy samolot schodzi do lądowania, modłę się do Jezusa. Kiedy czuję ciężar w piersi, wszystko błyskawicznie powraca.

Jack zebrał się z łóżka i ruszył do łazienki.

- Ale to nie jest równoznaczne z byciem chrześcijaninem, prawda? - zapytał.

Freudowski model biznesu

Amanda zjawiała się na lunchu z nową torebką.

- I jak? - spytała, unosząc ją, żeby Holly mogła lepiej zobaczyć.

- Piękna! - zachwyciła się Holly.

- Kosztowała tysiąc dwieście dolarów.

- Co?!

- Wiem - przytaknęła Amanda. - Mark mnie zabije.

- Nie rozumiem - powiedziała Holly. - Wydałaś tysiąc dwieście dolarów na torebkę?

- Zaraz ci udowodnię, że to ma sens - oznajmiła Amanda. Położyła torebkę na stole, po prawej stronie, tuż przy nakryciu, na honorowym miejscu, zarezerwowanym zazwyczaj na telefon komórkowy. - Torebki, jakie kupuję, przeważnie kosztują przeciętnie trzysta dolarów. Czyli ta stanowi ekwiwalent czterech. Nie kupię pozostałych trzech, bo w tej jestem zakochana, więc można uznać, że wyszłam na zero. I to perspektywicznie, bo ona jest wieczna. Na swoim pogrzebie, gdy będę patrzeć na wszystkich z góry, zobaczę córkę i ona będzie z tą torebką.

- Jesteś naprawdę bogata.

- E tam. W tym roku Mark dostał wysoką premię.

- Ile wy macie kasy?

- Holly, nie pyta się ludzi o takie rzeczy.
- Czemu? Jestem ciekawa.
- Nie pyta się i już.
- Dobra - ustąpiła Holly. - Przepraszam.
- Nie musisz przepraszać.
- To dobrze, bo wcale nie jest mi głupio. Amanda przewróciła oczami.
- Nic nie poradzę, że ciekawią mnie kwestie finansowe. Dlatego lubię wiktoriańskie powieści. Trollope zawsze dokładnie podaje, ile kto ma pieniędzy. Przynajmniej wszystko jest jasne. - Holly sięgnęła po menu.
- W prawdziwym życiu nigdy nie mam pojęcia, co się, kurczę, dzieje - dodała cicho, do siebie.

Kiedyś Holly wyczytała gdzieś, że ludzie cierpiący na lęk wysokości w rzeczywistości podświadomie pragną wykonać skok. Lęk wysokości, jak się okazuje, jest sposobem psychiki na obronę człowieka przed nim samym, powstrzymuje go od skoku z mostu czy rzucenia się z klifów Moher lub z północnej krawędzi Wielkiego Kanionu. Holly nie była zupełnie pewna, czy to fakt, czy jedynie teoria, lecz to nie miało większego znaczenia, bo odkryła, że jeśli ktoś chciałby wzmocnić lęk wysokości, ta informacja skutkowałą. Gdy stała gdzieś wysoko i odczuwała znajomy strach, głos w jej głowie mówił: nie skacz.

Coś takiego czuła właśnie w tej chwili. Wiedziała, że musi powiedzieć Amandzie o Jacku, a jednocześnie się bała, że wkurzy tym przyjaciółkę i ich przyjaźń się skończy, a jednak jakaś część jej istoty, część, której w ogóle nie rozumiała, podpowiadała: skacz.

- Chcę ci coś powiedzieć - zaczęła.
- Co?
- To jest dość... Sama nie wiem. Nie wiem, jak o tym mówić.

Amanda zmrużyła oczy.

- Chyba nie sypiasz z tamtym kelnerem, co?

- Nie. To już skończone.

- Dobrze.

- Chodzi o to, że się z kimś spotykam.

- Ha! W końcu! - podsumowała Amanda. - Jak się nazywa? Co robi?

Holly skrzywiła się.

- To Jack. No wiesz, twój Jack.

- Chodzisz z Jackiem? - spytała Amanda, szerzej niż zazwyczaj otwierając oczy.

Holly, z cierpiętniczą miną, skinęła głową.

- Jak sugerowałaś. Wtedy, przez telefon, pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam. Czemu nic nie mówiłaś?

- Bo to dziwaczne.

- Trochę tak - przyznała Amanda. Kiwała powoli głową, jakby chłonąc dziwaczność tej sytuacji. - Ale to dobrze. Dobrze dla ciebie, kochana. Serio. Dla ciebie to dobrze.

- Nie jesteś zła?

- Nie.

- Szczerze?

- Cieszę się ze względu na ciebie - powiedziała Amanda. - I ze względu na Jacka też. Posłuchaj, nie zamierzałam zniszczyć swojego małżeństwa. Nie jestem taką osobą. Mark czasami doprowadza mnie do szału, ale nie jestem gotowa wyrócić swego życia do góry nogami.

- To tylko twoja siła witalna - przypomniała Holly. - Zaczęła się burzyć.

- Wiem, myślisz, że wciskam ci kit, ale ja naprawdę się tego nie wstydzę. I wcale nie żałuję - zapewniła Amanda. Otworzyła menu. - Jestem głodna jak wilk. Co zamawiasz?

Dopiero później, po południu, w drodze do weterynarza po Chestera, Holly przyszły na myśl słowa Amandy. O tym,

że nie żałuje. Jak to możliwe? Według niej dla Amandy to był idealny moment na odczuwanie kilku żalów. Jej najbliższa przyjaciółka chodzi z mężczyzną, z którym ona miała romans zagrażający jej rodzinie i małżeństwu, romans, o którym mąż nie miał pojęcia. To trudna sprawa być równocześnie z dwoma facetami. Czy prawdą jest - dumiała Holly - że jeśli nie czujesz się głupio z powodu czegoś, co zrobiłaś, i w dodatku nie zostałam nakryta, to się to nie liczy?

Im dłużej nad tym myślała, tym bardziej ją zastanawiało, czy obecnie ktokolwiek odczuwa jeszcze jakikolwiek żal. Zapewne mogłaby zapytać Christophera Reeve'a², kiedy jeszcze żył, czy żałuje, że owego feralnego dnia dosiadł konia, a on opowiedziałby, czego się dzięki temu nauczył i jak jego życie, dotąd pełne wyzwania, stało się jeszcze bogatsze, a on stał się tym, kim jest, po czym odjechałby na wózku ku zachodowi słońca. Żałowanie czegokolwiek stało się nieamerykańskie. Zastąpiła je wiara w to, że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. Coś złego ci się przydarzyło? Hmm, musiał być ku temu jakiś powód. Nie ma przypadków. We wszechświecie panuje ład. Raz, jedyny raz, Holly chciałaby usłyszeć, jak ktoś mówi, że co prawda nic się nie dzieje bez przyczyny, ale to nie ma większego znaczenia, bo w końcu i tak, wszyscy, do ostatniej sztuki, poumieramy.

Dwa Pióra był jak zawsze ciemny, połyskliwy i w niebieskawym odcieniu, lecz zamiast typową dla siebie miną - która kazała Holly myśleć o kocach zakażonych ospą wietrzną i o przykrym końcu handlu opłacanego koralikami - tego dnia przywitał ją szerokim uśmiechem.

- Właśnie przyszły wyniki ostatnich analiz Chestera.
- I jak?

²Aktor amerykański (1952-2004). Na planie filmowym spłoszony koń zrzucił go z siodła. W wyniku urazu aktor został sparaliżowany.

- Krew w normie, rezonans niczego nie wykazał. Guz zniknął i wygląda na to, że nie dojdzie do nawrotu. Dlatego zatrzymałem psa dzień dłużej. Chciałem sprawdzić, czy nie doszło do pomyłki w laboratorium.

- Poważnie?

- Nie widziałem dotąd psa, który tak szybko zareagowałby na terapię. Przez rok mniej więcej będziemy go uważnie obserwować, ale nie ma powodu myśleć, że dojdzie do jakichś zmian.

- Nie rozumiem - powiedziała Holly. - Czy to znaczy, że nie będzie więcej naświetlań?

- Żadnych naświetlań. Proszę go przyprowadzić, powiedzmy, za mniej więcej cztery miesiące, obejrzymy go, ale tylko tak dla pewności - powiedział Dwa Pióra. - Jest jak nowy.

Ostatnio Spence wracał myślami do rozmowy z Cathleen sprzed paru miesięcy, już po pojawieniu się kłopotów, gdy jeszcze wykazywała chęć do rozmów z nim. Była wtedy na etapie płaczu, próśb i wybuchów złości, ale chyba ciągle miała nadzieję, że doszło do pomyłki lub, przynajmniej, że on się zmieni. Poprosiła go, żeby poszedł do terapeuty.

- Cathleen, chodziłem na terapię - oznajmił Spence. - Na ten temat wiem wszystko.

- Proszę cię, żebyś jeszcze raz spróbował.

- Nie mówię, że terapia to bezsens - odparł. - Ale to nie dla mnie.

Chodził do terapeuty parę lat wcześniej na życzenie swojej ówczesnej dziewczyny, Minnie, obecnie żony pediatry onkologa i matki bliźniaków. Spence i Minnie byli ze sobą od roku, gdy on zaczął, jak to ujęła, dokazywać - wracał do domu o trzeciej nad ranem, „przypadkiem” wyłączał komórkę - i Minnie zaczynała mieć tego dość. Naturalnie,

o wielu sprawach nie miała pojęcia, lecz Spence zgodził się z kimś porozmawiać, jeśli dzięki temu ona mogła się lepiej poczuć.

Terapeutka Minnie napisała nazwisko koleżanki po fachu na odwrocie własnej kremowej wizytówki, którą Minnie wręczyła Spence'owi podczas kolacji i którą jemu udało się zgubić gdzieś pomiędzy restauracją a frontowymi drzwiami domu. Minął tydzień, zanim Minnie ponownie spotkała się ze swoją terapeutką, a ta sprokurowała nową wizytówkę, którą Minnie zapobiegliwie zatrzymała do chwili, gdy ze Spence'em przy telefonie i z kalendarzem w ręce wstrzeliła się w godziny przyjęć terapeutki.

Terapeutka miała na imię Lucinda i burzę czarnych loków, była niewysoka i seksowna. Ubierała się jak hippiska; nosiła długie spódnice, masywną biżuterię i toporne sandały, ale z miejsca rzuciło się w oczy, że pochodziła z miejsca w rodzaju Scranton i miała normalnych rodziców z klasy średniej. Wyglądała na czterdziestkę z okładem, a trzeci palec u lewej dłoni miała zauważalnie goły, co wywołało u Spence'a pewną refleksję. Każdy znany mu mężczyzna, który korzystał z terapii: a) chodził do psychoterapeutki, a nie psychoterapeuty, b) robił to, bo jego dziewczyna, która była w trakcie terapii, takim czy innym sposobem go do tego zmusiła. To oznaczało, że całą społeczność terapeutyczną nakręcały kobiety niezadowolone ze swych związków z mężczyznami, które po trzydziestce chodziły na terapię, po czterdziestce zostawały terapeutkami, a w sumie wszystkie zgodnie próbowały zapędzić na terapię mężczyzn, bo to oni, w ich przekonaniu, stanowili źródło wszelkich damsko-męskich problemów. To był freudowski model biznesu.

Spence'owi podobała się terapia. Pasowało mu, że może mówić o sobie w miarę szczerze, nie martwiąc się przy tym, że słowa obrócą się przeciwko niemu, jak to bywało w przeszłości, kiedy się otwierał przed swymi dziewczynami. Lubił

patrzeć na siebie oczyma Lucindy, doceniać własną głębię oraz złożoność i, umoszczony w fotelu, podziwiać swą gotowość do analizowania problemów w związkach oraz chęć do stawiania się na sesję i „brania się do roboty”. Pierwsza sesja przypominała randkę w ciemno, ale taką randkę w ciemno, podczas której absolutnie nie czuł się zobowiązany do wypytywania o cokolwiek, co okazało się, jeśli miał być szczerzy, miłsze, niż prawdopodobnie powinno się okazać. Druga sesja wyglądała mniej więcej tak samo. Przed trzecią zaczął się zastanawiać, co ma tam robić. Obawiał się, że po dwóch pięćdziesięciminutowych spotkaniach, wypełnionych autobiograficznym monologiem, zacznie się powtarzać. Gdy podzielił się swymi obawami z Lucindą, uspokoiła go i poleciła:

- Mów, co ci tylko przyjdzie do głowy.

Więc robił tak przez chwilę. Opowiadał o problemach w pracy. O tym, jak w dzieciństwie siostra go zamknęła w piwnicy. I o tym, że zaczyna się martwić o matkę, która umiera w wieku sześćdziesięciu dwóch lat. Te myśli nie towarzyszyły mu stale, raczej nachodziły go czasem niespodziewanie. Matka jest stara. Kiedyś umrze.

- Czasami, kiedy nasz umysł zaprzętają niewyjaśnione ponure myśli, tak naprawdę coś innego wchodzi w grę - skomentowała Lucinda.

- Niby co? - zainteresował się.

- Hmm, na przykład ponura myśl bywa zakamuflowanym życzeniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Patrzyła na niego z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Uważasz, że życzę matce śmierci? Terapeutyczne milczenie.

- Nie chcę, żeby moja matka umarła. Kocham ją. Ale jest stara i jak każdy normalny człowiek martwię się o nią.

W następnym tygodniu Spence zapomniał nastawić bu-

dzik i przespał umówioną wizytę. Lucinda, zgodnie z ustaloną zasadą, skasowała go za sesję, a on poczuł się wykorzystany i wkurzony. Dowiedział się ile trzeba o psychoterapii. Doprawdy, miał szczęście, że poznał się na tym tak szybko. Wysłał Lucindzie czek i więcej się nie pokazał.

- Zauważyłaś, jakie beznadziejne są zawsze zdjęcia zaginionych ludzi? - zapytał Leonard.

Byli z Holly w drodze na lunch, szli po Amsterdam Avenue i przystanęli na czerwonym świetle.

- O czym ty mówisz?

- Sama zobacz. - Leonard wskazał czarno-białą ulotkę, przyklepioną do słupa telefonicznego. - Stacy Margiano, lat dwadzieścia cztery, zaginął w ubiegły czwartek. Co tu widzisz? - zapytał. - Dwoje oczu. Coś na kształt ust. To może być każdy.

- Może dlatego ci ludzie są zaginionieni - zauważyła Holly. - Nikt nie potrafi znaleźć ich porządnego zdjęcia.

Światło zmieniło się na zielone i przeszli przez jezdnię.

- Alex się żeni w sobotę - powiedziała Holly, kiedy znaleźli się na chodniku.

- Rozmawiałaś z nim? - spytał Leonard.

- Przypadkiem natrafiłam na listę prezentów w Internecie.

- Tu cię mam!

- Dom towarowy Crate and Barrel - dodała Holly. - Mnóstwo białych talerzy.

- Myślałem, że ci przeszło.

- Przeszło. Po prostu mnie to ciekawi - wyjaśniła Holly. - Przysięgałam spędzić z tym człowiekiem całe życie, a teraz on przysięgnie spędzić życie z tą drugą, której w ogóle nie poznałam, a wiem o niej tyle, że jest piękną z Południa i najwyraźniej planuje piec mnóstwo chleba. Zażyczyli

sobie urządzenia do wypieku chleba. Ale, i jest to ogromne „ale”, mnie to nie obchodzi - oznajmiła. - Nie obchodzi! Właściwie mam do tego wszystkiego filozoficzny stosunek. Wszyscy chcą komplikować sobie życie, tymczasem ja zgłębiłam sekret: jeśli będę dobrze postępować, w końcu spotkają mnie dobre rzeczy i życie mi się ułoży.

- Nie widzę związku - stwierdził Leonard.

- Okay. Dam ci przykład. Wzięłam Chestera, wiedząc, że ma guz mózgu, ale pomyślałam sobie, że zachowałabym się nie w porządku, pozwalając mu umrzeć, no i popatrz, stał się cud. Uważam też, że powstrzymałam Amandę od romansowania z Jackiem. Nie kierowały mną żadne ukryte motywy, chociaż możesz mi nie uwierzyć, zważywszy, co z tego wyszło, ale taka jest prawda. Zrobiłam, co należało. A teraz jesteśmy z Jackiem razem i sprawa z Amandą wydaje się zamierzchnią przeszłością. Wczoraj powiedziałam o wszystkim Amandzie i ona się cieszy ze względu na nas.

- To dobrze - podsumował Leonard.

- Czuję się jak naukowiec, który od lat znał teorie, a teraz wszystko wpasowało się na swoje miejsce. Nawet ta historia z Alexem. Było okropnie, ale minęło. Mam wrażenie, że wreszcie wypływam na powierzchnię.

- Tak, to był stresujący okres dla nas obojga - potwierdził Leonard.

- W jakim sensie był stresujący dla ciebie? - zainteresowała się Holly.

- Musiałem się przeprowadzić.

Holly zmierzyła go wzrokiem, nie odzywając się.

- No co? Przeniosłeś się z mieszkania do mieszkania - przypomniała.

Cisza.

- W tym samym budynku - dodała.

- Wszelkie zmiany są odczuwane przez psychikę jak śmierć - oświadczył dobitnie Leonard.

- Porównujesz zakończenie mojego małżeństwa, rozpad pięcioletniego związku, fakt, że mój pies o mało nie umarł na raka mózgu, ze swoją przeprowadzką dwa piętra niżej?
- Mówię tylko, że wszystko to jest stresujące.
- Wyliczył na palcach:
- Śmierć, rozwód, przeprowadzka.

Słabe pocieszenia

Jeśli Holly czasem czuła się złapana w pułapkę brutalnego związku z Nowym Jorkiem, to sierpień był tym miesiącem, kiedy miasto szło w tango i miotało nią, trzymając za włosy. Ludzie jakoś lepiej sobie radzili - mieli bardziej lukratywne zawody, dobrze się dobierali, dostawali w spadku domy na wsi - uciekali do Hamptons albo do Nantucket, objeżdżali na rowerach wysepki wzdłuż wybrzeża Maine, wdychali morskie powietrze i jedli małże gotowane na parze, a Holly tkwiła w mieście. Przynajmniej nie ma problemu z rezerwacją stolika na niedzielny brunch w Upper West Side - pocieszała się. Przynajmniej można dostać dobre miejsce w kinie na wieczorny seans piątkowy. Słaba pociecha, ale zawsze. I kiedy zaczynała rozważać wyprawę z miasta na dobre, a co się z tym wiązało, rzucenie ręcznika na ring, nadchodził wrzesień, niosąc ze sobą krystaliczne powietrze i nowy koloryt, a ona na nowo ulegała czarom tego miasta.

- Gdzie się podziewasz? - zwrócił się do niej Mark. - Praktycznie mieszkałaś na naszej kanapie, a teraz w ogóle cię nie widzimy.

- Widujecie - zaprzeczyła Holly. - Teraz mnie widzisz. Mark przez chwilę uważnie przyglądał się jej twarzy, a następnie orzekł:

- Zakochałaś się.

- O czym ty mówisz?! - obruszyła się. Czuła, że rumieniec oblewa jej policzki.

- Amanda wspominała, że się z kimś spotykasz, ale nie sądziłem, że to od razu miłość. Czemu nie pokazałaś nam dotąd tego faceta?

Holly zmrużyła oczy.

- Nie wiem.

- Coś z nim nie tak? - naciskał Mark. - Jest homo? Łysy? Niski? Garbaty? Jąkała? Nie ma ręki? No, szczerze.

- Nic z tych rzeczy.

- W takim razie przyprowadź go na kolację. Spotykasz się z nim już przez jakiś czas, więc nie przejmiesz się moją opinią.

Amanda wyłoniła się z kuchni z miską kukurydzianych chipsów i słoiczkiem salsy.

- Zaproś go na operę do parku w przyszły czwartek - zaproponowała.

- Poważnie? - spytała Holly. - Chcesz, żeby tam przyszedł?

Amanda wręczyła słoik Markowi.

- Czemu nie? To proste. Wystarczy rozłożyć dodatkowy koc.

- Aha - mruknął Mark. - Z tego, co słyszę, facet jest taki gruby, że potrzebuje osobnego koca.

- Jest trochę przewrażliwiony na tym punkcie, więc postaraj się udawać, że tego nie dostrzegasz - powiedziała Holly.

- Nie musisz mówić nic więcej.

Mark bez efektu zabrał się do otwierania słoiczka z salsą, po czym naprawdę się przyłożył, udając, że się nie wysiła. Nadal nic. Z miną eksperta kilkakrotnie postukał słoikiem o kant ławy i ponowił próbę.

- Nie chcę salsy - ruszyła mu z pomocą Holly.

- Mamy jakąś ściereczkę czy coś w tym rodzaju? - zapytał Mark.

Amanda podała mu ścierkę w biało-niebieskie paski, którą przyniosła z kuchni zapewne na tę okoliczność. Mark owinał nią wieczko i wsunął słoik między uda. Zgiął się wpół i wydał z siebie pomruk budzący skojarzenia ze zmaganiem ciężarowców na olimpiadzie.

- Właściwie nie przepadam za salsą - znów odezwała się Holly.

Twarz Marka zrobiła się czerwona, żyły nabrzmiały na szyi.

- Czemu... mi... to... robisz?

- Mark jest przekonany - zwróciła się Amanda do przyjaciółki - że idę do spożywcza i wybieram najmocniej zakręcone słoiki, by pokazać, jaki on jest zniewieściały.

- Często się to zdarza?

- Nieczęsto - wysapał Mark. I zamilkł dla nabrania powietrza.

Amanda przysiadła na oparciu kanapy.

- Czasem muszę lecieć ze słoikiem do delikatesów na rogu i prosić drobnego wietnamskiego sprzedawcę, żeby go otworzył.

- Raz - sprostował Mark. - Raz się tak zdarzyło.

- Chłopina zmierzył mnie od stóp do głów, odkręcił wieczko i wręczył mi słoik. Chyba myślał, że go podrywam.

- Ten gość jest jak czołg - powiedział Mark.

- Ma siedemdziesiąt osiem lat - przypomniała Amanda.

- Czemu nie kupisz takiego dynksa do otwierania słoików? - spytała Holly.

Mark teatralnym gestem odstawił wciąż nieotwarty słoik na ławę, spojrzął znad okularów na żonę i zwrócił się do Holly:

- Dynks do otwierania słoików?

- Nakładasz takie coś na wieczko, naciskasz uchwyt, i słoik otwarty - tłumaczyła Holly.

- Tam jest uchwyt? - Mark zwrócił się do Amandy: - Rany, kobieto, czemu tak długo ukrywałaś to przede mną?!

- Niczego przed tobą nie ukrywałam - zaprzeczyła Amanda. - Po prostu nie pomyślałam o tym.

- W takim razie koniec. Strajkuję. Żadnych więcej słoików, dopóki tego nie kupimy.

Amanda rzuciła mu znużone żonine spojrzenie.

- Przyniosę hummus³ do chipsów.

- Jaką operę będziemy oglądać? - spytała Holly. Mark wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

- Na mnie nie patrz.

- *Rigoletto* - zawołała Amanda z kuchni. Holly zastanawiała się przez moment.

- To ta - odchrząknęła do Amandy - gdzie martwa dziewczyna siedzi w worku, potem ożywa, wystawia z worka głowę, śpiewa ostatni kawałek i znowu umiera, tak?

Amanda wyszła z kuchni z hummusem.

- Nie mam pojęcia.

- Całkiem niezłe się zapowiada - rzekł Mark. - Obudźcie mnie na ostatni akt. Lubię, jak ktoś śpiewa w worku.

- Gdzie studiowałeś? - spytała Betsy.

- Na Harvardzie - odrzekł Lonnie.

Betsy bez powodzenia usiłowała ukryć zaskoczenie.

- Byłeś na Harvardzie?

- A w Princeton robiłem kulturoznawstwo amerykańskie na studiach podyplomowych. Tylko nie dokończyłem pracy doktorskiej, więc jestem magistrem, a nie doktorem.

- Czemu nie skończyłeś?

- To długa historia.

- Jesteśmy na randce - przypomniała Betsy. - Randki są stworzone do długich historii.

Betsy i Lonnie rzeczywiście byli na randce. Betsy nie bar-

dzo potrafiła zrozumieć, jak doszło do tego, że umówiła się z grubym facetem pracującym w siłowni, poza tym, że uparcie ją nagabywał. Lonnie sześć razy prosił ją o spotkanie, zanim powiedziała „tak”. Sześć razy! W końcu się zgodziła, ale tylko dlatego, że nie widziała innego sposobu, aby się odczepił. Zgodziła się pójść z nim do kina w sobotę po południu, co było w jej mniemaniu odpowiednią rozrywką dla ludzi na przyjacielskiej stopie, a potem z jakiegoś powodu dała się zaprosić na szybką przekąskę.

- Jesteś pewna? To niezbyt interesujące. Betsy skinęła głową.

- No dobra. Po ukończeniu studiów dostałem bardzo korzystne stypendium na zrobienie doktoratu, ale zgodnie z moim Supersekretnym Wielkim Planem zamierzałem wykorzystać ten czas oraz pieniądze na pisanie powieści.

- Poważnie? - zdziwiła się Betsy. - O czym?

- Przez całe lata mailowaliśmy do siebie z koleśkami z college[^] i trzymałem te wszystkie maile w jednym ogromnym pliku. Listy puszczałem tam i z powrotem przez osiem lat. Wymyśliłem więc sobie, że jak to wszystko wymieszam i posklejam kawałkami nowego tekstu, wyjdzie z tego całkiem zabawna rzecz. Wielka mailowa powieść epistolarna. Kupiłem skrzynkę papieru i wydrukowałem to wszystko. Było tego... no, nie wiem, jakieś sześć tysięcy stron. Potem zacząłem to czytać i strasznie się zdołowałem.

- Czemu?

- Szczerze? - Lonnie podniósł wzrok. - Zorientowałem się, że ludzie nie będą mieli ochoty czytać takich rzeczy jak: „Hej, stary, popatrz tylko, jak ta Japonka wpycha sobie rybę w tyłek”.

Betsy roześmiała się mimo woli. Lonnie łyknął piwa i zauważył:

- Trudno to nazwać ambitną literaturą. I wtedy wpadłem w dołek - wyznał. - Pieniądze z grantu się skończyły, wró-

ciłem do domu i urządziłem się w basemencie rodziców. Mówię ci, to był smętny czas - ten okres w Saddle River. Moi rodzice zachowywali się w porządku, ale trochę zacząłem ich martwić. W końcu zatrudniłem się jako nauczyciel na zastępstwa, żeby nie wysłali mnie do wariatkowa.

Betsy nie potrafiła ustalić, czy on przypadkiem nie przesadza. Wyraz jego twarzy podpowiadał, że jednak nie.

- I tak utknąłem w Jersey, pracując dorywczo i mieszkając wciąż u rodziców. Powiem ci, że dziewczyny uwielbiają, kiedy dzwonią do ciebie, a odbiera matka. Strasznie je to kręci. A nauczanie okazało się bardzo stresujące, jeśli w ogóle to można nazwać nauczaniem. Już samo wejście do klasy wymagało odwagi. Nigdy nie wiedziałaś, co cię spotka po otwarciu drzwi. Mogłaś mieć przed sobą pięćdziesięciu świrusów albo siedmiu azjatyckich uczonych o nienaganych manierach - opowiadał Lonnie. - W końcu udałem się do psychiatrii i podczas drugiej sesji doznałem olśnienia.

- To znaczy?

- Odkryłem, że to nic złego zostać zwyczajnym człowiekiem i prowadzić zwyczajne życie.

Betsy popatrzyła na niego ponad stolikiem. Był zwyczajny. Był zabawniejszy, niż przypuszczała, okazał się inteligentny, wydawał się miły i uprzejmy, niemniej był zwyczajny. Jak powiedziałaaby jej matka, miły człowiek, ale na świecie pełno takich.

- Wiedziałem już, że niepotrzebna mi terapia - ciągnął Lonnie. - Tylko musiałem się odbić.

- Czemu więc... - zaczęła Betsy, usiłując odnaleźć sens w tej historii i połączyć ją z Lonniem, jakiego znała, czyli z facetem, który siedział za biurkiem w siłowni. - Co skłoniło cię do pracy w Crunch?

- Myślałem, że to pomoże mi rozwiązać drugi istotny problem, a jednocześnie da mi czas na przemyślenie, co chciałbym w życiu robić.

- Lonnie odchylił się na oparcie.

Jak jednak widać, przebywanie w pobliżu urządzeń gimnastycznych nie przekłada się na utratę wagi. Betsy skwitowała to uśmiechem.

- Moja matka mówi, że mam wysklepiony tors, ale... -Lonnie złapał się obiema rękami za brzuch. - To nie w torsie problem. Jednakże, biorąc pod uwagę całokształt, praca w siłowni okazała się dla mnie korzystna.

- W jakim sensie?

- Przyglądam się tej paradyzie wchodzących i wychodzących, bankierom i anorektyczkom, patrzę na ich ponure, zacięte twarze i myślę sobie, że to nie jest sposób na życie.

- Co masz na myśli?

- Na tym właśnie polega problem wielkiej metropolii. Zbyt wielu ludzi stłoczonych w jednym miejscu, a wszyscy cierpią z powodu wybujałego ego - podsumował Lonnie. -Prawda jest taka, że mnie potrzeba prostych rzeczy.

- Takich jak...?

- Jak grill - powiedział. - Chciałbym mieć ogródek za domem z grillem i żonę, która mnie kocha. Przy odrobinie szczęścia kilkoro dzieciaków. I chciałbym się przenieść w jakieś bardziej odpowiednie dla mnie miejsce, trochę swobodniejsze, może cieplejsze, gdzie są ścieżki rowerowe i ludzie grają w piłkę na boisku.

- A co chcesz robić? Zawodowo?

- Nie jestem pewien, czy ma to dla mnie wielkie znaczenie - wyznał. - Prawdopodobnie znów zająłbym się nauczaniem. Lubię to i jestem w tym dobry, więc czemu by nie?

- Pewnie.

- Chciałbym wyjaśnić pewną sprawę.

- Tak?

- Myślisz pewnie, że usiłowałem się z tobą umówić, bo jesteś szczupła, ładna, no i w ogóle, ale nie w tym rzecz.

- A w czym?

- Wydajesz się miłą osobą. Trochę może... hmm, jakby

chwilami smutną, lecz z tym potrafię sobie poradzić. Sam też byłem kiedyś smutny. Wiem, jak to jest.

Lonnie spojrział Betsy w oczy. Na moment podtrzymała jego spojrzenie, a potem zwróciła wzrok w bok i na dół, na dłonie, które wydawały się drobne i blade na tle ciemnego gładkiego blatu.

- Nawet kiedy mnie spławiałaś, robiłaś to w niezwykle sympatyczny sposób. Więc pomyślałem sobie: Czemu nie? Czemu by dalej nie próbować? Co mam do stracenia? Za dużo gadam - zachnął się. - A jak jest z tobą, Betsy Silverstein? Czemu, na Boga, jesteś jeszcze sama?

Pod koniec wieczoru Amanda wyszła z Holly na korytarz i czekała z nią na windę. Na piętrze były tylko dwa mieszkania i jakby dla podkreślenia tego faktu Amanda wspólnymi siłami z sąsiadką dość agresywnie urządziła niewielki podest, wynosząc tam, poza roślinami doniczkowymi, lustrami, reprodukcjami i stojakami na parasole, rozkładaną sofę z dwoma stolikami po bokach, lampy w kształcie kandelabrow i kolekcję oprawnych w skórę tomów poezji. Tak pomyślana całość miała tworzyć wrażenie, że każdy, wychodząc z windy, mógł natychmiast poczytać Walta Whitmana, gdyby akurat naszła go taka ochota.

- Jesteś pewna? - zwróciła się Holly do przyjaciółki. - Co do tego zaproszenia Jacka do parku w następnym tygodniu?

- Oczywiście, że jestem pewna. To dziwaczne, że cię nie widzimy.

Holly zniżyła głos:

- Ale czy nie będziesz się czuć niezręcznie?

- Kto wie? Może trochę - wyznała Amanda. - Na pewno jednak dam sobie radę.

- Bo ja się z tym źle czuję - wyszeptała Holly. - Wiesz,

sytuacja jest naprawdę dziwna, a nigdy o tym szczerze nie pogadałyśmy. Nie jestem przekonana, czy dobrze zrobiłam, zadając się z Jackiem po tym, jak wy...

- Óóóó - uciszyła ją Amanda. - To była z mojej strony chwila szaleństwa. Straciłam głowę, sama tak powiedziałaś. Mówiąc szczerze, mam takie wrażenie, jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu.

- I nie masz pretensji, że się z nim spotykam? Wiem, powiedziałaś, że nie, ale może teraz, kiedy sprawy zdają się posuwać do przodu, patrzysz na to inaczej.

- Cieszę się ze względu na was. Posłuchaj, nie zamierzałam rujnować sobie życia dla romansu bez gwarancji powodzenia. Biadoliłaś na temat Alexa i marnowałaś czas z dwudziestodwulatkiem. Jack jest porządnym facetem i szuka czegoś na stałe - mówiła Amanda. - Poza tym jestem mężatką. Nie mogę trzymać singlowych facetów poza zasięgiem moich koleżanek.

- Okay, ale czy naprawdę chcesz, żebym przyprowadziła Jacka na tę operę?

- Oczywiście - potwierdziła Amanda. - Szczerze. Zrobimy tak i pozbędziemy się niezręczności. Wszystko stanie się normalne.

Drzwi windy rozsunęły się i Holly szybko uścisnęła Amandę.

- To jedna z takich sytuacji, kiedy mam wrażenie, że życie mnie przerasta - wyznała.

- Wiem, o czym mówisz - odrzekła Amanda.

- Mam trochę stracha.

- Wiesz, chciałbym cię pocałować, ale się boję, że mogłabyś uciec z piskiem z pokoju czy coś w tym rodzaju.

Było późno. Lonnie i Betsy siedzieli na kanapie Betsy i rozmawiali. Nie wiedziała, jak to się stało, że po kolacji

Lonnie wylądował u niej, a ona zaproponowała kawę, której jednak żadne z nich nie wypilo. Nic w tym nie miało sensu, poza jednym, a mianowicie, że z jakiegoś powodu wcale nie chciała, aby ta randka się zakończyła.

- Czy mogę tylko... - zaczęła Betsy, po czym przysunęła się bliżej i delikatnie położyła mu głowę na piersi.

Siedział odchyłony na oparcie, z rękami na poduszkach kanapy, a jego wełniany sweter, który przez cały wieczór wyglądał jak bardzo zwyczajny grafitowy pulower z wycięciem w szpic, okazał się kaszmirowy i niesamowicie miękki. Dobrze pachnie - pomyślała Betsy - jakoś tak swojsko, jakby zeschniętymi liśćmi i smolnymi szczapami, deszczem na rozgrzanym betonie, gliną, torfem, a może ziemią, ale taką czystą ziemią, w którą chce się głęboko zanurzyć ręce albo hoduje się na niej pomidory. Jego pierś i brzuch podnosiły się i opadały z każdym oddechem i nagle Betsy zaczęła oddychać równo z nim, wolniej i głębiej niż zazwyczaj. Trwała tak przez chwilę, z głową na piersi Lonniego, czując, jak coś się w niej rozluźnia, odpręża, i wtedy przyszła jej na myśl matka, koścista, ze skórą jak pergamin, a potem ojciec, który przestał ją przytulać, gdy skończyła jedenaście lat. Po chwili gładziła już Lonniego po piersi, z początku ostrożnie, a potem coraz śmieiej. Wydawał się twardszy, niż się spodziewała, niż mogłaby przypuszczać. Jednego absolutnie nie przewidziała, a mianowicie, że Lonnie o północy będzie siedzieć u niej na kanapie, z nią samą wtuloną w niego niczym małe zwierzątko szukające schronienia w jaskini, i tym razem niczego nie będzie musiała udowadniać ani odczuwać lęku i tylko jej serce uchyli się odrobinę na przebłysk tego, jak może być, jak, być może, mogłoby być.

- Tak się boję - wyszeptała bardziej w jego sweter niż do niego, lecz on ją usłyszał i pogłaskał po głowie.

- Wiem - powiedział. - Wiem.

Dziewczyna w worku

- To jest Jack - przedstawiła swego towarzysza Holly.

Amanda i Mark leżeli na starej kołdrze obok rozpostartego czarno-żółtego meksykańskiego pledu, rezerwując w ten sposób miejsce dla Holly i Jacka. Park był wypełniony ludźmi. Szybko zapadał zmierzch, ale nadal panowała duchota i Holly czuła się spięta i wilgotna od potu.

- Cześć, Jack - przywitał go Mark. - Jestem Mark. - Podniósłbym się, żeby uścisnąć ci dłoń, ale w tej pozycji jest mi cholernie wygodnie.

- Nie kłopotz się - odparł Jack. - Miło mi cię poznać.

- A ja jestem Amanda - odezwała się Amanda. Ze zdawkowym uśmiechem patrzyła mu prosto w twarz.

- Miło mi - odpowiedział.

- Przepraszam, że przyszedliśmy tak późno - odezwała się Holly. Bardzo się starała zachowywać normalnie, jakby to była zwyczajna towarzyska okazja, wolna od ukrytych emocji i podtekstów. - Prosto z pracy poszłam na zakupy do Fairway i jeszcze musiałam wrócić do domu po Chestera.

Amanda przeglądała zawartość toreb przyniesionych przez Holly.

- Hej! - pochwaliła ją. - Dobry wybór serów.

- Jakaś starsza pani przyłożyła mi wózkem w kostki

u nóg - opowiadała Holly. - I nawet nie przeprosiła. Właściwie to spiorunowała mnie wzrokiem. Jakby to była moja wina, bo akurat spacerowałam sobie po sklepie.

- Ach, doceniamy twoje poświęcenie, wynikające z chęci przyniesienia nam moliterno z truflami - powiedziała Amanda.

- Wreszcie mam okazję poznać Psa z Rakiem - odezwał się Mark. - Chodź tu, piesku.

Chester podszedł do Marka, a ten zaczął go drapać. Pies, wiedząc, co dobre, wyciągnął się na trawie obok niego.

- Czy Holly opowiedziała ci historię o adopcji psa z guzem mózgu? - zwrócił się Mark do Jacka. - Jest urocza, a jednocześnie trochę niepokojąca.

- Mówiła mi - przytaknął Jack. - Wygląda na to, że w końcu to się obróciło na dobre.

- Wszyscy uważali, że wyląduję z bardzo droгим i bardzo martwym psem - powiedziała Holly. - A ja udowodniłam, że nie mieli racji. Nie mieli racji, prawda, Chester?

Amanda rozdała plastikowe kubki z białym winem. Mark uniósł swój w geście toastu.

- Za Chestera - zaproponował.

- Za Chestera - powtórzyli zgodnym chórem. Powietrze wypełniły dźwięki strojonych instrumentów,

tak wzmocnionych przez głośniki, że pewnie niosły się aż do New Jersey. Holly zapaliła kilka świec, Amanda rozwinęła ser, Chester zawachlował ogonem. Przez tłum przetoczyły się oklaski, gdy na ustawioną w oddali scenę weszli śpiewacy.

Gdy coś ciekawego dzieje się w Nowym Jorku, ludzie o tym wiedzą. Kiedy w parku organizują koncert, przychodzą tłumy. Całe falangi, procesje, gromady ciągną tam na wiele godzin przed rozpoczęciem przedstawienia, gromadzą sobie teren, mocują baloniki napełnione helem jako znak rozpoznawczy dla spóźnialskich znajomych, obrzucają gniewnym spoj-

rzeniem intruzów, którzy próbują wcisnąć się tuż obok lub przypadkowo nadepną na róg tego, co ci wcześniej przybyli uważają w tej chwili za swój kawałek parku pod piknikowym kocem. Nadchodzi taki moment, kiedy zdrowy na umyśle człowiek zadaje sobie pytanie: i to ma być relaks?

A jednak tak. W końcu można się zrelaksować. Kiedy już uda się kupić ser, dotrze się do parku, odnajdzie znajomych, którzy trzymali miejsce gdzieś pośród morza piknikowych koców, zaczyna się odpoczywać. A potem rozbrzmiewa muzyka, odrobinę chłodnieje, powoli zapada zmierzch i pojawiają się pierwsze blade gwiazdy. O ile nie liczyłeś, że naprawdę zobaczysz artystów na scenie i wystarcza ci świadomość, że gdzieś tam dyrygent prowadzi na żywo orkiestrę światowej klasy, chociaż to, co słyszysz, leci z głośników pozostałych po występie U2, o ile nie musisz skorzystać z toalety, trawa nie jest wilgotna, nie zapomniałeś zabrać ze sobą , swetra, nie tną komary i nie marudzą dzieci, to jest to prawdziwa uczta.

Dochodziła jedenasta, kiedy dziewczyna w worku wreszcie umarła, po czym zaśpiewała i umarła jeszcze raz. Szkopuł w tym, że opera wystawiana na dworze miała nieco okrojona formę i nie było worka, a dziewczyna, podobnie jak reszta artystów, po prostu stała na środku sceny, co rozczarowało trochę zarówno Holly, jak i Marka. Potem był jeszcze pokaz fajerwerków i wkrótce ludzie zaczęli się zwijać i kierować ku wyjściom. Mark z Amandą planowali złapać taksówkę przy wschodniej ścianie parku, więc cała czwórka pożegnała się na środku wielkiego trawnika. Holly i Jack wylądowali na ścieżce prowadzącej do Seventy-ninth Street.

- I jak? - spytała Holly.

- Całkiem, całkiem - odparł. - Wspaniała muzyka.

- Kiedy oglądam operę, zawsze ogarnia mnie wstyd, gdy się podniecam, rozpoznając jakiś utwór, bo najpierw serce mi

skacze z radości, że go znam, a potem się okazuje, że słyszałam go w reklamie sosu do spaghetti.

Tłum przesuwał się powoli, Chester podszedł do latarni i podniósł nogę.

- Mark wydaje się miłym facetem - zauważył Jack. Holly spojrzała mu w twarz.

- Czułeś się trochę dziwnie, poznając go?

- Nie. Jest taki, jak się spodziewałem.

- A spotkanie z Amandą?

- Nic - odparł. - Zupełnie nic.

- To dobrze - powiedziała Holly. - Zostaniesz u mnie?

- Jeśli mnie zapraszasz.

Nieco przed nimi w tłumie szedł ojciec ze śpiącym chłopczykiem na rękach. Malec uniósł sennie powieki.

- To mój pies! - oznajmił.

- Nie, kochanie - odezwała się jego matka owym denerwującym tonem, jakim rodzice zdają się obecnie przemawiać do dzieci. - To pies tych państwa.

- Nie. Mój. Mój! - Dzieciak otworzył szeroko oczy, celując palcem prosto w Chestera.

- To piesek tych miłych państwa - powtórzyła kobieta typowym rodzicielskim tonem, po czym cała trójka zawróciła i szybko przechodząc na drugą stronę ulicy, ruszyła na południe.

- Mogę o coś zapytać? - zwróciła się Holly do Jacka, gdy byli już u niej w mieszkaniu i leżeli w łóżku.

- Wal śmiało.

Holly zaczerpnęła powietrza.

- Wyjaśnij sprawę cheeseburgera.

- Okay. Taak, a więc cheeseburger... - zaczął Jack. - Zazwyczaj składa się z mielonego kotleta, wsuniętego w bułkę wraz plasterkiem roztopionego sera...

- Kiedy cię poznałam, zamówiłeś cheeseburgera. Wtedy na lunchu z Amandą. Cały czas mnie to męczy.

- Ponieważ jestem buddystą.

- Tak, ponieważ jesteś buddystą. To wydaje się dość istotne.

- Dobra, przede wszystkim argument na moją obronę - powiedział Jack. - Dalajlama je mięso.

- On je mięso?

- Tak.

- I wiadomo o tym? - dociekała Holly. - To znany fakt?

- Od czasu do czasu w różnych okresach życia bywałem wegetarianinem, lecz obecnie je mięso i ryby. Lekarze mu kazali, dla zdrowia. Widziałaś kiedyś zdjęcia z Tybetu?

- Nie pamiętam - powiedziała Holly. - Być może.

- Roślinność jest tam raczej uboga. Mięso stanowi znaczną część diety i dlatego tradycja wegetariańska nie rozwinęła się wśród tybetańskich buddystów tak jak na przykład w Japonii.

- Aha.

- Ale, wiesz, to jedna z tych rzeczy, jakie można zmienić - dodał Jack.

- Zostawiam sprawę otwartą.

Zgasił światło.

- Gdybym była buddystką, zostałabym wegetarianką - rzekła Holly. - A nawet, jak się nad tym bliżej zastanowić, weganą. I nieważne, jak bardzo byłabym blada i mizerna i że włosy wychodziłyby mi garściami, bo nie zniosłabym myśli o całej karmie gromadzącej się przeciw mnie. I tak ciągle czekam, kiedy Bóg mnie ukarze.

- Ukarze za co? - zdziwił się Jack.

- Za wszystko! Za nic. Sama nie wiem. I w tym właśnie problem - wyznała Holly. - Tak już jest, gdy zostało się wychowanym tak jak ja. Przez całe życie czekasz, kiedy Bóg ci przyłoży.

Jack pogłodził ją po głowie.

- A z drugiej strony ciągle mam w pamięci taką scenę - zaczęła Holly. Leżała na plecach, patrząc w sufit, który w ciemnościach wydawał się dziwnie odległy. - Siedzę w samochodzie, wracamy całą rodziną z kościoła. Musiałam mieć wtedy jakieś trzynaście, może czternaście lat i przeżywałam szczyt religijnych uniesień; do kościoła biegałam cztery, pięć razy w tygodniu, każdego ranka czytałam Biblię, ucząc się na pamięć całych fragmentów. I to wszystko nie było mechaniczne, ja naprawdę wierzyłam, byłam autentycznie wierząca. Jedziemy, wyglądam przez okno, a tam w rynsztoku leży zmięty papierek po snickersie. I pamiętam, jak pomyślałam, jak uderzyła mnie myśl, że nic tam, w niebie, nie będzie się równać z tym tutaj.

Jack milczał przez chwilę, po czym odwrócił się na bok i popatrzył na nią.

- Ciekawe - podsumował.
- Co ciekawe?
- Ty wierzysz w Boga - powiedział. - Tylko nie wierzysz, że Bóg jest dobry.

Londyn, kochany

Po długich tygodniach totalnej ciszy Spence, wracając późnym wieczorem z pracy, znalazł w skrzynce list w zielonej kopercie firmowej papeterii Cathleen ze stemplem z Boulder. Wjechał na trzydzieste siódme piętro, czując, jak wali mu serce, zrobił sobie wódkę z tonikiem i dopiero wtedy usiadł w jadalni przy stole ze szklanym blatem i rozerwał kopertę. List był oficjalny i utrzymany w bardzo wyważonym tonie. Rzeczowa Cathleen, jak Spence nazywał ją w myślach, najwyraźniej wracała na scenę. List zawierał propozycję, podsunętą przez terapeutkę Monę (która, chociaż Spence nigdy się nie miał tego dowiedzieć, sama napisała do niego), aby zaczęli na nowo kontaktować się przez telefon, rozmawiając tylko przez godzinę w tygodniu, w każdą niedzielę, od ósmej czasu Boulder, a dziesiątej Nowego Jorku. Po dwukrotnym przeczytaniu listu Spence nabrał przekonania, że w zatrzaśniętych dotąd drzwiach pokazała się szczelina, na którą od dawna czekał, i serce podskoczyło mu z radości.

Sześć tygodni wcześniej Cathleen powierzyła kierowanie swym emocjonalnym życiem Monie. Był to krok, który wymagał zwiększenia liczby sesji do trzech w tygodniu. Mona była mniej więcej niemym i raczej zdziwionym świadkiem ostatnich, fatalnych związków Cathleen - osiem miesięcy sy-

piania z profesorem wprowadzającym ją w tajniki hodowli rodzimych drzew i krzewów, który zaklinał się, że od osiemnastu lat żyje w separacji z żoną (on śpi w pokoju gościnnym, naprawdę!); romans z pracownikiem socjalnym cierpiącym na depresję, który znęcał się nad Cathleen werbalnie i palił trawkę zdobywaną od podopiecznych korzystających ze zwolnienia warunkowego. Tym razem Mona miała zapracować na swoje honorarium. Wymogła na Cathleen, aby zerwała wszelkie kontakty ze Spence'em, przestała oddzwaniać do Szalonej Molly i odpowiadać na jej maile oraz ucięła rozmowy z Holly Frick, a Cathleen posłuchała jej we wszystkich trzech wypadkach. Przez sześć tygodni, leżąc przez godzinę na kanapie Mony w każdy poniedziałek, środę i piątek, nawijała o historii ze Spence'em, usiłując znaleźć w niej jakiś sens. I gdy już wyglądało na to, że wkrótce zabraknie tematów, Mona pozwoliła jej odnowić kontakty ze Spence'em, pod warunkiem że będzie je dozować i nie wpędzi się w obsesję. Stąd właśnie ten list.

Nie całkiem pozostaje jasna motywacja Mony, bo na wczesnopopołudniowe sesje zawsze trudno znaleźć klientów, a Cathleen, jako osoba samozatrudniona, mogła się umawiać o drugiej, trzeciej czy czwartej po południu w zależności od tego, jak Mona dysponowała czasem. Należy jednak uczciwie przyznać, że związki Cathleen zawsze były ni do rymu, ni do sensu. Profesor od krzaków zniknął, bo popłynął z żoną na dwutygodniową wycieczkę statkiem po Morzu Śródziemnym, a palacz trawy do chłodnego spojrzenia i słów „to koniec” nie raczył dodać żadnych wyjaśnień. Być może więc pomysł z telefonami miał pozwolić Cathleen nabrać jasności i umożliwić trafną ocenę sytuacji, której zawsze jej brakowało. W bezpiecznej atmosferze pierwszej sesji Cathleen wyznała, że za każdym razem, kiedy wchodzi w związek, czuje się tak, jakby nakręcała szkatułkę z diabełkiem na sprężynce; leci wesoła piosenka i wszystko idzie jak z płatka, a wtedy, ni

stąd, ni zowąd, diabełek wyskakuje z pudełka i już jest po wszystkim. Zupełnie tak samo było z jej ojcem, kiedy zniknął bez śladu, gdy miała jedenaście lat!

W każdym razie Spence i Cathleen znowu zaczęli ze sobą rozmawiać. Zwracali się do siebie ciepłymi, przyciszonymi głosami, jak dwoje kombatantów zranionych w miłosnej bitwie. Oboje mieli wrażenie, że czegoś się nauczyli, że razem przeszli próbę ognia i nadal trzymają się na nogach. Na zakończenie pierwszej rozmowy po obu stronach padło: kocham cię. W trzecią niedzielę snuli wspólne plany: czy Cathleen wytrzymałaby kilka lat w Nowym Jorku, czy Spence byłby gotowy przenieść się do Kolorado, a co z dziećmi, prywatnymi szkołami, jakie masz zdanie na temat szczepienia dzieci, zdrowej żywności i naturalnej odzieży oraz spania dziecka w jednym łóżku z nami? Nie wyszło na jaw, że Spence spędził ostatnie sześć tygodni, zaspokajając swe zwykłe miłosne apetyty (dwie randki z Wielką Joan, kilka masturbacji, niezobowiązujący seks ze Szkotką o wystających zębach z platformy wiertniczej, która okazała się znacznie zabawniejsza, niż się z początku wydawało, i że spisał Cathleen na straty). Umówili się, że ona przyleci do niego, do Nowego Jorku, uczcić odnowę kontaktów.

Gdy Leonard wracał do domu ze sklepu z witaminami, odezwała się jego komórka.

- Siedzisz?

To dzwonił z Los Angeles Jake, jego agent.

- Idę Seventh Avenue.

- To usiądź. A przynajmniej oprzyj się o coś solidnego -poradził Jake.

- Mam ważną wiadomość.

- Co się dzieje?

Po chwili ciszy Jack nietypowo melodyjnym głosem rzucił pytanie:

- Co myślisz o Londynie?
 - Byłem jedynie na Heathrow. Zeszłego lata miałem czterogodzinny postój w drodze do Rzymu.
 - Chciałbyś tam polecieć?
 - Do Londynu? Chyba tak. I znowu śpiewne:
 - A co ty na to, żeby pomieszkać tam przez jakiś czas? Leonard nie miał pojęcia, dokąd zmierza ta rozmowa, i czuł się dziwnie zawieszony.
 - Co chcesz przez to powiedzieć?
 - Oto konkretne pytanie - zaczął Jake, robiąc dramatyczną, hollywoodzką pauzę. - Co powiesz na to, aby przenieść się do Londynu i zostać głównym scenarzystą oraz producentem wykonawczym filmiku, który napisałeś jakiś czas temu, pod tytułem: *Co jest grane?*
 - Mówisz poważnie?
 - Trzymam w ręce ofertę.
 - Sądziłem, że ten pilot jest martwy.
 - Nic nie jest martwe, kiedy masz mnie za agenta, kochany.
- Leonard ścisnął w dłoni kapsułki z tranem. Jake od bardzo dawna nie nazwał go kochanym.
- Co? Jak...? - Milion rzeczy w tej rozmowie nie miało sensu, lecz Leonard uczeplił się tej najważniejszej: - Czemu Londyn?
 - Telewizja Sky chce rozpocząć produkcję półgodzinnych odcinków ukierunkowanych na wrażliwość międzynarodową co w tych klimatach oznacza amerykańską. Ich prezes przyleciał tutaj w zeszłym tygodniu i szuka gotowych scenariuszy, żeby jak najszybciej rozpocząć nagrania.
 - Nawet nie wiedziałem, że brałeś mnie pod uwagę.
 - Oczywiście, że brałem. Czy informuję cię o wszystkich miejscach, w których proponuję twoją kandydaturę? Zaproponowałem cię do reżyserowania *Spidermana 4*. Nie musisz

wiedzieć o wszystkich robotach, których nie dostałeś. Jestem po to, żeby cię chronić.

- Zaproponowałeś, abym reżyserował *Spidermana 41*

- Rzecz w tym... - Jake zmienił temat. - Rzecz w tym, że Ameryka zaprzestała produkcji sitcomów, jedynymi zaś sitcomami, jakie świat chce oglądać, są amerykańskie, więc Brytole postanowili je robić. Wiem, wiem, to nie za bardzo ma sens, ale to ich pomysł, a ty masz zostać jego największym beneficjentem.

- Nadal nie rozumiem, jak do tego doszło.

- Jak to nie rozumiesz? Ja to załatwiłem. A co ty myślisz? Według ciebie takie rzeczy dzieją się na skutek cudów?

Prawdę mówiąc, to był cud. A ziścił się w taki sposób, że Nigel Blankly, prezes Telewizji Sky, przyleciał do Los Angeles, zasiadł u szczytu czterech długich konferencyjnych stołów, w czterech głównych agencjach impresaryjnych, i wyniszczył, czego szuka. Miał to być oryginalny scenariusz na serial komediowy o półgodzinnych odcinkach, napisany dla amerykańskiego studia, jednak nigdy nie zrealizowany, którego prawa autorskie wróciły do twórcy, a ten był gotów przenieść się na czas nieokreślony do Londynu. Najchętniej z mężczyzną w głównej roli; bohater ma być silny, o wyrafinowanej wrażliwości, a zarazem atrakcyjny. Zanim Blankly wrócił do Shatters, do apartamentu dostarczono mu przez gońców cztery stosy pięćdziesięciostronicowych scenariuszy, bo niewyprodukowane piloty były takim samym kłopotliwym produktem ubocznym Los Angeles jak bezrobotni aktorzy czy uliczne korki. Przez czysty przypadek Nigel o północy w drodze do łazienki złapał to, co Leonard napisał cztery lata wcześniej w ramach nieudanego kontraktu dla Sony. Leonard miał szczęście, że Nigel na kolację zamówił jhinga vindaloo. Nie do końca wiadomo, czy to za sprawą jhinga, czy też vin-daloo przesiedział w toalecie dostatecznie dużo czasu, aby dwukrotnie przeczytać scenariusz od deski do deski.

- Od początku podobał mi się ten scenariusz - kontynuował Jake. - Przez dwa lata trzymałem go na narożniku biurka. Ty tego nie wiesz, ale to szczerą prawdą. Czuję, że mi nie wierzysz. - Jake zawołał do asystentki: - Angela, czy to prawda, że od dwóch lat trzymam *Co jest grane?* na rogu biurka?!

- Prawda - zaćwierkał w słuchawce radosny głos. - Na rogu biurka! To była pierwsza rzecz, jaką dał mi do przeczytania, gdy zaczęłam u niego pracować.

- Widzisz? - odezwał się Jake. - Nawet nie wiesz, jak ja cię ubóstwiam. Pakuj walizki. Jedziesz do Londynu, kochany.

Dwa razy „kochany” podczas jednej rozmowy.

Leonard zamknął klapy telefonu i stał jak wmurowany na środku chodnika, rozdzielając tłum sunących wokół niego ludzi. Czy życie może zmienić się tak szybko? W taki prosty sposób, że coś wielkiego, dobrego i zupełnie nieoczekiwanego nagle spada ci z góry prosto na kolana? W ułamku sekundy doznał olśnienia - to było odroczenie wyroku. A może nawet ulaskawienie. Być może tymczasowe, lecz całkiem możliwe, że przynajmniej coś od niego zależało. A tego, co od niego zależało, postanowił nie zepsuć. Autentycznie chciał zrobić coś dobrego, stworzyć coś dobrego i jeżeli żądano od niego, aby był dobry lub przynajmniej dążył do pobudzenia odrobiny świadomości, klarowności oraz zaangażowania się w świat i w pracę... Hmm, to tak postąpi. Dano mu drugą szansę, i nie chodzi o to, że na nią nie zasługiwał, bo naturalnie, czego był w pełni świadomy, należała mu się jak psu zupa, lecz to czyniło tę sytuację jeszcze słodsza. Gdzieś tam w środku, w miejscu, którego istnienia nawet nie podejrzewał, poczuł głęboką wdzięczność. Dziękuję.

Z tym uczuciem odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do sklepu z witaminami. Sam tran tu nie pomoże. Przyda się tyle wsparcia, ile tylko uda mu się zdobyć.

W tym czasie daleko od centrum Holly spacerowała z Chesterem po Central Parku. W ostatnich miesiącach narodziło się kilka sympatycznych rytuałów, związanych głównie z tym, co robili podczas spacerów. A więc mieli Długi Miejski Spacer po Columbus Avenue, z powrotem po Amsterdam Avenue lub po Broadwayu z przystankiem w psim butik, gdzie sprzedawano smakołyki o zapachu wątroby; Krótki Miejski Spacer (po obrysie dwóch kwartałów, aby Chester mógł zrobić swoje); Krótki Spacer po Parku (Eighty-fifth Street z szybkim kółkiem pomiędzy sosnami) oraz Długi Spacer po Parku. Ten był szczególny i obowiązywały podczas niego dwie zasady. Po pierwsze, za każdym razem wybierali nową trasę, a po drugie, nie wracali do domu, dopóki nie natknęli się na coś niezwykłego. Czasami po godzinnym bezowocnym meandrowaniu tym czymś niezwykłym, w dość swobodnie lub wręcz wspaniałomyślnie pojętym znaczeniu > tego słowa, był fioletowy krokus wychylający się spod śniegu albo para wiewiórek w akcie prokreacyjnym na drzewie. Kilkakrotnie udało im się wytropić jastrzębie z rudymi ogonami, a raz nawet Woody Allena z Sun Yi.

Tego akurat dnia zaczęli spacer od ścieżki do jazdy konnej, obeszlą staw, minęli japońskie wiśnie, przecięli kępę strzelistych klonów i kierując się na północ, weszli w niemal opustoszałą część parku, gdzie, jak wiadomo, wydarzyło się wiele złych rzeczy. Holly lubiła ten zakątek. Turyści bali się tu zapuszczać, a rozsądni mieszkańcy Nowego Jorku woleli trzymać się ludniej szych parkowych połaci, więc w rezultacie było to jedyne takie miejsce na całym Manhattanie, gdzie przebywając na dworze, pozostawało się całkowicie i kompletnie samym. Szli jakiś czas, zanim Holly dojrzała je jako pierwsza. Ptaki. Niewiarygodna masa ptaków, setki, a może nawet tysiące małych, smolistoczarnych ptaszków wirowało ciemną chmurą na niebie. Chester, z początku podniecony, zastygł, drżąc na całym ciele, kiedy stado ich otoczyło. Holly

przykucnęła, objęła go i patrzyła z niemym podziwem, jak ptaki, tłocząc się i skrzecząc, dziobały w ziemi; podskakiwały, przenosiły się odrobinę dalej i znowu dziobały, pokrywając ziemię tak jak wcześniej niebo. Niektóre z nich wzbijały się na gałęzie, inne z nich zlatywały; całe stado niespodziewanie z szumem skrzydeł podrywało się do lotu, po to jedynie, by chwilę później opaść z powrotem. To wszystko przypomina sen - pomyślała Holly. Wkrótce miała się przekonać, że to był omen.

Kiedy wracała z ehesterem do domu, na schodku przed frontowymi drzwiami ujrzała siedzącą kobietę. Nie od razu ją poznała, nie skojarzyła, a szkoda, bo gdyby tak się stało, prawdopodobnie poszłaby dalej. Niestety, wspięła się po stopniach, a wtedy kobieta powoli podniosła się.

- Przyszłam, licząc na pani litość - odezwała się.

Źli ludzie

Jack, jak obiecał, zjawił się u Holly zaraz po pracy. Kiedy przyszedł, akurat rozładowywała zmywarkę, więc otworzyła drzwi z wilgotną ścierką przerzuconą przez ramię i ze starą porcelanową filiżanką w dłoni.

- Nie uwierzysz, co mi się dzisiaj przydarzyło - przywitała go. - Nawet nie chcę, żebyś próbował zgadywać, bo nie odgadniesz za milion lat.

- Ja też muszę z tobą o czymś porozmawiać - odrzekł Jack.

- Dobra, ale ja pierwsza, bo to nie może czekać. - Wróciła do zmywarki, a Jack zdjął płaszcz i powiesił go w szafie w holu.

- Pamiętasz kobietę z tamtego wieczoru w parku? - zawołała. - Tamtą z małym chłopczykiem, któremu się wydawało, że Chester jest jego psem?

- Taak.

- A więc wychodzi na to, że Chester rzeczywiście był jego psem. A ta kobieta oddała go do schroniska.

- Źartujesz!

- Przez cały czas nurtowało mnie, kto mógł coś takiego zrobić swojemu psu, a dzisiaj odpowiedź stanęła na moim Progu.

Jack usiadł na jednym z barowych stołków.

- Przyszła tutaj? Jakim cudem cię znalazła?

- Chce, żebym oddała Chestera! - powiedziała Holly. - Wyobrażasz to sobie? Co się dzieje na tym świecie? Naprawdę, chyba nie jestem przygotowana na radzenie sobie z ludzką naturą w takich momentach. Kim są ludzie, którzy sądzą, że można tak postępować?

- Co powiedziała?

- Podobno... - Holly mocno zaakcentowała to słowo, jakby dając do zrozumienia, że wszystko, co powie dalej, jest wysoce nieprawdopodobne. - Podobno kiedy dzieciak zobaczył Chestera, wpadł w histerię i płakał nieustannie, więc go zaprowadzili do psychiatry, a ten stwierdził, że mały się boi, bo rodzice chcą się go pozbyć, i takie tam bzdury. Ta kobieta chce mi więc zwrócić pieniądze, które wydałam na Chestera, i jeszcze dołożyć za „moje kłopoty”. Za „moje kłopoty”! Próbuje mnie przekupić! Czy wyglądam na kogoś, kto da się przekupić? - spytała Holly. Zrobiła przerwę i spojrzała na Jacka, jakby sprawdzała, czy to do niego dociera, czy ogarnia skandaliczność tego wszystkiego. - Co jest? Wydajesz się roztargniony.

- Nic. Nie. Mów dalej.

- Ci ludzie byli skłonni pozwolić Chesterowi umrzeć, bo nie chcieli wydawać swoich cennych pieniędzy, tymczasem ja uratowałam mu życie, a teraz, kiedy jest zdrowy, chcą go z powrotem! Uuch, przykro mi, nie ma mowy! - sapnęła Holly. Zaczęła wyjmować sztucce, szcękając nimi. - I powiem ci, że oni nie należą do biednych. Mieszkają na West Endzie, w tych domach z lat osiemdziesiątych, wiem, bo dała mi wizytówkę na wypadek, „gdybym zmieniła zdanie”; była w adidasach od Prądy, takich z czerwonym paskiem nad piętą, które ogłaszają całemu światu: „Wydaję trzysta dolców na buty do biegania po mieście”.

- Trochę żal mi tego dziecka.

- Może to dla niego dobra lekcja na temat własnych rodziców. Lepiej niech się teraz dowie. Na jego miejscu nie czułabym się komfortowo - podsumowała Holly. - Poza tym kocham mojego psa. Nie oddam go.

- Powiem jedynie, że to kiepska sytuacja.

- Nie moja kiepska sytuacja - ucięła Holly. Przykucnęła i pocałowała Chestera, który wyłonił się z salonu, licząc na smakołyki. - I wiesz co? Mam to w nosie. Nawet jeśli należałoby tak postąpić. Nie dbam o to. Nie zrobię tego!

- Hmm, twoja wola.

- Właśnie - przytaknęła Holly. - No to co chciałeś mi powiedzieć?

- Może później.

- Nie, nie. Zaraz ochłonę. Muszę tylko głębiej odetchnąć. - Opuściła powieki, nabrała powietrza, wypuściła długi, oczyszczający oddech, otworzyła oczy i spojrzała na Jacka. Siedział przycupnięty na barowym stołku, stukając jed-nocentówką o granitowy blat. - O co chodzi?

- Niełatwo mi o tym mówić - zaczął. Postukał monetą w blat. - Chcę się zachować uczciwie i być z tobą szczery.

- Okay... - zgodziła się. Nie podobał jej się ten nerwowy wstęp o uczciwości i szczerości, wygłoszony przez człowieka, z którym była związana. - Co jest?

Jack wypuścił oddech.

- Amanda i ja znowu ze sobą rozmawiamy.

- Co to znaczy „rozmawiamy”? - podchwyciła Holly. -O czym rozmawiacie?

- O wszystkim. O nas.

Pomyślała, że to „o nas” odnosi się do niej i do Jacka. Że to o takim „o nas” Amanda z nim rozmawia, lecz wtedy on dodał:

- Chyba nadal ją kocham.

- Co?! - wydusiła z siebie. - Kochasz? - Oparła się o drzwi lodówki. - Myślałam, że to skończone.

- Tak mi się wydawało. A potem zobaczyliśmy się w parku, wtedy, wieczorem, i sam nie wiem... Coś się wydarzyło.

- Co to znaczy „coś się wydarzyło”? Co? Co się wydarzyło? - Holly przebiegła myślami wieczór w parku. Ciepławe wino, gęste, lepkie powietrze, ryk *Rigoletta* z głośników o gabarytach volkswagena. Owszem, sytuacja była trochę niezręczna, kiedy przyszli z Jackiem i zobaczyli Marka i Amandę wyciągniętych na piknikowym kocu; towarzyszyło temu podskórne napięcie. Ale to? Jak to możliwe?

- Nie wiem, co to było - mówił Jack. - W każdym razie znowu ze sobą rozmawiamy.

- Nie całkiem rozumiem - odezwała się Holly. - Czyli między nami koniec? To starasz się mi powiedzieć? Że ty i Amanda wracacie do tego, co było?

- Holly, naprawdę paskudnie się z tym czuję.

- A ten drobny szczegół, że ona jest czyjąś żoną? Czy to nie przedstawia dla ciebie żadnego problemu?

- Chce odejść od Marka.

- To szaleństwo! Oboje jesteście szaleni - rzekła Holly. Zaczęła krążyć po kuchni, co nie było łatwe ze względu na rozmiar pomieszczenia. - Odebrało wam rozum. Mam ochotę wziąć was za głowy i stuknąć nimi o siebie, tak jak mój ojciec robił ze mną i z siostrą, żeby wam wybić ten pomysł. Jak długo to trwa? Sypiałeś z nią za moimi plecami?

- Nie, nie. Absolutnie nie! Dlatego wolałem ci od razu powiedzieć, żeby nie było żadnych kłamstw.

- Uhm, skoro nie ma żadnych kłamstw... - zaczęła Holly. - Jesteś w porządku, rozbijając rodzinę, niszcząc życie małemu dziecku, bo postępujesz uczciwie i szczerze.

- Amanda i tak zamierzała odejść od Marka - poinformował Jack. - Już dawno temu skontaktowała się z prawnikiem. Jeszcze zanim pojawiłem się na horyzoncie.

- Bardzo w to wątpię - prychnęła Holly.

- Niby czemu?

- Mówi ci tak, żebyś nie stchórzył, kiedy zostawi dla ciebie męża. Znam Amandę od lat. To kobieta bluszcz. Nie marnuje czasu na płożenie się po ziemi.

- Naprawdę czuję się z tym wszystkim paskudnie.

- Bo i powinieneś się paskudnie czuć. Tak właśnie masz się czuć - podsumowała Holly. - Oboje mówicie, że to skończone, oboje zapewniacie, że szczerze mnie lubicie, zaczynam się angażować, a wtedy co? A co z... - Holly przystanąła na środku kuchni i milion pytań cisnęło jej się na usta, lecz wszystkie powstrzymała.

Jack siedział i obserwował ją, jakby szykując się na to, co chce powiedzieć, a może na coś jeszcze gorszego.

- Czy ja jestem porąbana? - odezwała się Holly w końcu. - Wydawało mi się, że między nami nieźle się układa. Że się zgadzamy, lubimy te same rzeczy, że dobrze się nam rozmawia i mamy udany seks, a teraz ty mi mówisz, że wolisz ode mnie Amandę? Nie pojmuję, co wy w sobie widzicie. Serio. Zupełnie się pogubiłam.

- Te sprawy nie zawsze są racjonalne - odparł Jack. - Powiem ci, że sam czuję się zaskoczony.

- Hmm, nie aż tak jak ja - odpaliła Holly. - Czy też Mark, kiedy się dowie. Podejrzewam, że Jacob również się trochę zdziwi, gdy rodzice zamieszkają osobno.

- Przykro mi, Holly - powiedział Jack. - Szczerze mi przykro.

- Cóż, mnie też. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym zostać sama z moim psem.

Spence przyrządzał w kuchni martini. Cathleen poprzedniego wieczoru przyjechała z Boulder i przez cały dzień włóczyli się po Brooklynie, żeby poczuć atmosferę tego miejsca. Starał się znaleźć taką część miasta, w której ona widziałaby siebie, nawet jeśli mieliby tam mieszkać tylko przez kilka lat.

Chyba skłaniała się ku Brooklynowi, po części ku Cobble Hill, no i Carroll Gardens, z zastrzeżeniem, że będzie mieć własny ogródek, co najwyraźniej było jedną z kwestii niepodlegających negocjacji. Spence zauważył - prowadząc ją szerokimi ulicami z trójpasmowymi jezdniami i zaglądając do sklepów z wymyślnymi kapeluszami i modnymi butami, do butiku z rzeczami robionymi na drutach, do sklepu ze zdrową żywnością i do studia jogi, gdzie sprzedawano również dziecięce ubranka (Brooklyn!) - że, o dziwo, tym razem bardzo chce sprawić jej przyjemność.

- Dlaczego nakłamałeś mi o tym kwiecie? - spytała Cathleen. Zmaterializowała się w drzwiach, trzymając w dłoni doniczkę z rachityczną roślinką.

- O co ci chodzi? - spytał. - Nie bardzo, uhm, wiem...

- Kwiat, Spence. To nie ten, który ci kupiłam.

- Nie? - Zrobił nadnaturalnie niewinną minę, w której zakłopotanie mieszało się z zaskoczeniem, przechylił głowę na bok i ściągnął brwi, unosząc je odrobinę.

Cathleen wydała z siebie przeciągłe westchnienie.

- Nie, Spence. To nie ten sam kwiat.

Postawiła doniczkę na kuchennym blacie. Spence odwrócił liść i wpatrywał się ze skupieniem we wzór żyłek.

- Jesteś pewna?

- Oj Spence! Przestań, proszę, dość tego. Puścił liść.

- Zapomniałem go podlewać - wyznał w końcu. Zwiesił bezradnie ramiona. - Kiedy zaczęliśmy znowu do siebie dzwonić, zapytałaś, jak się miewa kwiat, a ja odparłem, że dobrze, więc gdy powiedziałaś, że przyjedziesz, poszedłem po nowy.

Cathleen splotła ramiona na piersi.

- Nie powinienem był kłamać.

- Tak, Spence, nie powinienes.

- Ale nie chciałem zranić twoich uczuć - zapewnił. - Prze-

cież kupiłaś ten kwiat dla mnie. Wydało mi się to najłatwiejszym rozwiązaniem.

Cathleen wciąż wpatrywała się w niego w milczeniu, a potem zaczęła powoli kiwać głową, jakby wszystko stawało się jasne, a fragmenty układanki, dotąd rozsypane na podłodze, nagle się dopasowały, tworząc wyraźny obraz. Wreszcie ogarniała całość, a oszustwo z kwiatem było ostatnią kroplą. Otrzymała odpowiedź na wszystkie pytania dotyczące Spencer, po czym otrzymała ją ponownie, i została jej tylko jedna rzecz do zrobienia.

Spence obserwował emocje widoczne na jej twarzy i gdzieś w dołku czuł ucisk niemal bezgranicznego lęku. Postąpił tak, cokolwiek to znaczyło, jak zawsze udawało mu się postąpić, bo z jakiegoś powodu zawsze tak postępował. Nie rozumiał tego, nie pojmował, a jednocześnie doznał bolesnego olśnienia. Cathleen, słodka Cathleen - ze swoimi idiotycznymi szmacianymi torebkami, z niewiarygodnie długimi włosami, w topornych butach z Boulder, z naj smuklejszą talią na świecie, ta bezgranicznie wyrozumiała Cathleen, i jak dotąd mu się wydawało, z niewyczerpanym oceanem miłości do niego - była jego ostatnią, najlepszą szansą na szczęście.

- Muszę wiedzieć, czy zamierzasz przestać być takim idiotą - odezwała się w końcu.

Holly, oparta o ceglany murek, czekała przed siłownią, aż grupa Amandy zakończy zajęcia. Zmierzchało. Większość mijających ją ludzi wracała do domu po pracy; szli nieobecni, znużeni, połowa ich z komórką przy uchu. Holly obserwowała, jak Amanda w czarnych rybaczkach i w szarej bluzie, ze sportową torbą przewieszoną przez ramię, wychodzi przez szklane obrotowe drzwi.

- Gówniana z ciebie przyjaciółka - odezwała się Holly.

Amanda się odwróciła i wtedy dopiero ją dostrzegła.

- Widziałaś się z Jackiem - powiedziała, zaczerpnąwszy wcześniej powietrza.

- Tak, rozmawiałam z nim - potwierdziła Holly. - Co wy, do diabła, wyrabiacie?

- Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

- Zadzwoiłam do ciebie do domu. Nowa niania mi powiedziała - wyjaśniła Holly. - A tak dla twojej wiadomości: jest cholernie niedyskretna.

- Holly, paskudnie się z tym czuję.

- Cóż, dobrze, najwyraźniej wszyscy czujemy się paskudnie.

- Jestem w nim zakochana.

- Oooch! - Holly przycisnęła dłonie do głowy. - Czy wy dwoje moglibyście łaskawie przestać szafować tym słowem do opisywania tego czegoś? Nie wiem, co to jest, ale mam wątpliwości, czy to miłość.

- Chyba przez cały ten czas byłam w nim zakochana - wyznała Amanda.

- W takim razie po jaką cholerę kazałaś mi się z nim umówić?! - uniosła się Holly. - Pytam poważnie. To było podłe. Sama przysłałaś mi numer jego telefonu! Nic z tego nie rozumiem.

- Nie mam pretensji, że jesteś zdenerwowana...

- Zdenerwowana?! Jestem wściekła! - wrzasnęła Holly, machając bezładnie rękami. - Jestem wściekła. Stawiasz mnie w okropnej sytuacji!

- Myślałam, że to skończone - powiedziała Amanda. -Chciałam to zakończyć.

- Mogłaś sobie oszukiwać męża, ale nie pomyślałaś, że oszukujesz swoją najlepszą koleżankę? Uznałaś, że wpychając mnie w środek tego wszystkiego, przestaniesz się z nim spotykać?

- Holly, nie zrobiłam tego z premedytacją. - Amanda ciężko westchnęła. - Ale, taak, chyba coś w tym jest.

- To idiotyczne - orzekła Holly. - Masz męża, Amando. A Jack mi się podoba! Naprawdę! Od dawna nikt mi się nie podobał.

Amanda stała przez chwilę nieruchomo.

- Strasznie nabałaganiłam - przyznała w końcu. - Zrobił się z tego potworny chaos.

Na chodniku przed apteką stała parkowa ławka, przeznaczona, jak głosił napis, dla klientów, ale usiadły na niej. Amanda jakby trochę się skurczyła. Była spocona po treningu, włosy miała przyklepione do głowy, i Holly pomyślała, że przyjaciółka wygląda jak jedenastoletni chłopiec.

- A więc mówisz, że odchodzisz od Marka? Amanda nieznacznie skinęła głową.

- I przeprowadzisz się na Brooklyn do maleńkiego mieszkania Jacka, i będziesz na weekendy odwozić Jacoba do tatusia?

- Możliwe.

- I co? Zostaniesz buddystką? Zrezygnujesz z zakupów w Barney, oddasz Jacoba do żłobka, a sama pójdziesz do pracy w agencji nieruchomości albo znajdziesz... no nie wiem, jakąś inną robotę z rodzaju tych podejmowanych przez rozwiedzione kobiety?

- Możliwe. Nie wiem. Nie wybiegam jeszcze myślą tak daleko.

- Amando, to wcale nie jest odległe. Tak właśnie będzie, kiedy powiesz Markowi, że jesteś zakochana w innym facecie.

- Nie zastanawiałam się dotąd nad szczegółami. Holly przechyliła głowę.

- Zdajesz sobie sprawę, że Jack pracuje dla organizacji non-profit? Jak sama nazwa wskazuje, dużo nie zarabia.

- Nie dbam o pieniądze.

- Nie dbasz o pieniądze - powtórzyła beznamiętnie Holly.

- Holly, to ty masz obsesję na punkcie pieniędzy. Seksu,

pieniędzy i religii. Tych wszystkich spraw, o których się nie rozmawia w kulturalnym towarzystwie.

- To są bardzo istotne aspekty życia! A to akurat jedna z tych rzadkich sytuacji, kiedy wchodzisz w kolizję z wszystkimi trzema - rzekła Holly. - Naprawdę, Amando. Popatrz tylko, co robisz. Zapomnij o mnie, chociaż wolałabym, abyś pamiętała. Ale co z Jacobem? Zniszczysz mu życie.

- Dzieci wolą żyć poza rozbitą rodziną niż w niej.

- Nieprawda! Totalna bzdura! Robiono na ten temat badania. Dzieciom pod każdym względem jest lepiej, jeśli rodzice są razem. Poza tym twoje małżeństwo wcale nie było złe, dopóki nie zaczęłaś się pieprzyć za plecami Marka.

- To nie tak. Wszyscy dobrze o tym wiedzą. Nie rozglądasz się za kimś nowym, jeśli układa ci się w małżeństwie.

- Niektórzy tak robią.

- Czyżby?

- Żli ludzie na przykład.

- Nie chcę tego słuchać - rzekła Amanda. Podniosła się z ławki, zdecydowanym krokiem podeszła do krawężnika i pomachała na taksówkę.

- A ja myślę, że powinnaś - rzuciła Holly. Ruszyła za Amandą. - Myślę, że to ci się przyda. Zapewne nigdy nie słyszałaś niczego choć trochę zbliżonego do tego i jednym z powodów, dla których zesłano mnie na tę planetę, jest to, że właśnie ja mam ci to powiedzieć.

- Jesteś zadufana w sobie, wiesz o tym?

- A co się stało ze słowem „prawa”? - podchwyciła Holly. - Co się stało z jego znaczeniem? Bo mnie się wydaje, że lepiej by pasowało.

- Jezu, Holly...

- A tak pół żartem, pół serio, czyżbym była jedyną osobą oprócz paru świrów z republikańskich stanów, która próbuje postępować jak należy? Przynajmniej zdobądź się choć na

uncję prawości. Pomyśl, że są ważniejsze sprawy od własnego widzimisię i od tego, czego akurat w tej chwili chcesz.

Podjechała taksówka. Amanda otworzyła drzwiczki i położyła torbę na tylnym siedzeniu.

- Nie wyobrażam sobie, że mogłabym go nie spotkać -powiedziała, odwracając się do Holly. - Nie wyobrażam sobie nie zaznać tego. I nie chcę przeżyć reszty życia bez tego. Już nie kocham Marka. Nie wiem, kiedy i czemu tak się porobiło, lecz tak to wygląda. Przykro mi, jeśli nie potrafisz mnie zrozumieć i uważasz, że źle postępuję, ale to moje życie, Holly. Tak jest. To wszystko, co mogę mieć. I nie zamierzam z tego zrezygnować. - Wsiadła do taksówki i zatrzasnęła drzwiczki.

Holly, stojąc, patrzyła, jak samochód odbija od krawężnika, włącza się w ruch uliczny i znika w wielkim sercu miasta, do chwili, kiedy wtopił się w strumień czerwonych świateł.

Piosenka *Edelweiss*

West End Avenue ma bardzo szczególny charakter jak na ulicę, w której nie ma nic szczególnego. Nie wyróżnia się pod względem handlowym, ruch jest dwukierunkowy, na zmianę świateł czeka się całe wieki, lecz to nie wyjaśnia tego wrażenia. Holly zawsze postrzegala to miejsce jako żyjące w niezgodzie z czasem, i nie chodziło o inne stulecie czy nawet dekadę, lecz raczej o wrażenie, że człowiek trafia tam na inny dzień tygodnia. Na Broadwayu była środa, a kilkaset metrów dalej, na West Endzie, jakby niedziela.

Chester wrócił do domu po operacji z zabandażowaną głową i do obowiązków Holly należała zmiana opatrunku oraz przemywanie rany. Musiała to robić codziennie, a zadanie nie było łatwe, głównie dlatego, że Chester słabo ją znał. Przebywał u niej niecały tydzień przed operacją, bo Dwa Pióra uważał, że nie należy zwlekać z zabiegiem. Gdy pierwszy raz zmieniała bandaż, wyczuła, że Chester jest przerażony, więc żeby go uspokoić, zaczęła śpiewać. Holly miała beznadziejny głos i nie znała tekstów wielu piosenek, lecz jedna, *Edelweiss*, nie wiadomo czemu chodziła jej po głowie. Zmieniła słowo „ojczyzna” na „Chester” i śpiewała piosenkę w kółko, tak jak należy ją śpiewać, co na psa działało niemal jak narkotyk. Kiedy przechodził radioterapię, śpiewała mu co-

dziennie z samego rana i wieczorem, kiedy kładli się spać przytuleni do siebie. Każdego ranka markowa pościel firmy Marimekko, ślubny prezent od bardziej zwariowanej z dwóch ciotek Alexa, pachniała psem, a Holly każdego wieczoru, odpływając w sen, gryzła się myślą, czy Amanda nie miała racji, że ona męczy Chestera, i czy na pewno postępuje właściwie. Kiedyś przypadkiem zaśpiewała *Edelweiss* przy Jacku. Myślała, że on jest pod prysznicem, a tymczasem zobaczyła go w drzwiach; stał z ramionami splecionymi na piersi i przyglądał jej się w milczeniu, z uśmiechem na twarzy.

Przypominała sobie to wszystko, zjeżdżając windą po oddaniu Chestera do nowego życia czy też starego nowego życia - życia bez niej. Patrząc z perspektywy, *Edelweiss* nie była złym wyborem. Obecnie nieczęsto się ją słyszy, chyba wyłącznie podczas projekcji *Dźwięków muzyki*. Jeśli więc ma przez całe życie kojarzyć piosenkę z głęboką tęsknotą, połączoną z zaskakująco bolesnym uczuciem straty, które niemal budzi zakłopotanie, zapewne najlepiej wybrać taką, od której może uciec, zmieniając kanał, ilekroć zobaczy Julie Andrews wirującą na niewiarygodnie zielonym wzgórzu. Jeśli więc będzie trzymać się od niej z daleka, podobnie jak od kawiarni z kiczowatym wiedeńskim wystrojem i koncertów dawanych przez uczniów szkół średnich, prawdopodobnie wyjdzie na prostą - pomyślała.

Sześć jabłek

Kilka miesięcy później Mark zadzwonił do Holly z pytaniem, czy nie wybrałaby się na kawę. Na „kawę dla porzuconych”, tak to ujął, jakby to był utarty zwrot z rodzaju „dzień zmarłych”. Prawda, oboje zostali porzuceni. Amanda po rozstaniu się z Holly przed siłownią wróciła do Marka i rzuciła granat w sam środek domowego ogniska, wysadzając je w powietrze. Wszystko działo się niewiarygodnie szybko, bez wizyt w poradni małżeńskiej ani też drugich czy trzecich prób ratowania związku. Aż trudno uwierzyć, że tak łatwo można zakończyć małżeństwo, lecz Amanda sprawiała wrażenie, że po prostu zrzuciła jedną skórę i weszła w drugą.

Holly przysłała do kawiarni przed umówioną godziną. Siedziała przy okrągłym stoliku, walcząc z chęcią przejrzenia torebki, bo nie chciała, aby Mark zastał ją nad stosem starych paragonów, pomiętych chusteczek higienicznych i papierków po gumie do żucia. Nie powinna się była jednak przejmować. Mark zjawił się w wypchanych na kolanach spodniach khaki i w pogniecionym pomarańczowym swetrze. Od zawsze groziła mu łysina, lecz teraz włosy zdawały się wychodzić mu całymi garściami, a kępki, jakie jeszcze pozostały, czyniły go trochę podobnym do ptaka. Przykro było na niego patrzeć, bo wyglądał, jakby dostał za dużą dawkę promieniowania albo

powyrywał sobie włosy z powodu urażonej dumy. Holly zrobiło się go żal. Zupełnie jakby włosy postanowiły jeszcze dokopać leżącemu.

- Co słychać? - spytała, kiedy usiadł.

- Eech... - Wzruszył ramionami.

- „Eech” to nie tak źle. „Eech” to wyśmienie - skomentowała. Wkurzał ją własny głos, sztucznie energiczny i pogodny, jakby przemawiała do maślaka. Odetchnęła i pozwoliła opaść głosowi do bardziej naturalnego tonu. - Kiedy Alex mnie rzucił, przez miesiąc nie byłam w stanie zawiązać sznurowadeł.

- Poważnie?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Dałabym się wtedy pokrajać za takie „eech”.

- W takim razie to już coś.

- Do twojej wiadomości: nie kontaktuję już się z Amandą, cokolwiek więc powiesz, do niej nie dotrze, co nie oznacza, że jestem po którejkolwiek stronie - zastrzegła się. - Lecz na pewno nie po jej.

- Bo odeszła z twoim facetem?

W tej chwili do Holly dotarło, że według Marka Amanda odbiła jej Jacka. Nie znał sporej części tej historii, nie wiedział o wcześniejszym romansie Amandy ani o tym, jak Holly znalazła się w środku tego wszystkiego, i bardzo ją kusilo, żeby zdradzić mu pikantne szczegóły. Natychmiast jednak stłumiła tę chęć. Jakie to miało w tej chwili znaczenie? Jemu to nie pomoże, nie da tego, czego potrzebuje, a jedynie sprawi, że poczuje się jak ślepiec i głupiec, za którego zapewne i tak się już ma. Poza tym pomyślała, że to nie jej interes.

- Nie, raczej z powodu całej tej sprawy - odparła.

- Nie pochwalasz tego.

- Nie, zdecydowanie nie.

- Na twoim miejscu nie byłbym dla niej taki surowy.

- A to dlaczego? - Otworzyła szeroko oczy.

- Myślę, że czasami dochodzi do swoistego wyścigu, kto pierwszy kogoś sobie znajdzie - rzekł Mark. - Nie wiadomo, czy za jakieś dwa lata nie spotkałbym kogoś i nie odszedł.

- O czym ty mówisz? O co ci chodzi? - Holly z napięciem popatrzyła mu w twarz. - Ty też miałeś romanse?

- Nie nazwałbym tego romansami - sprostował. - Powiedzmy, że miałem nastawione anteny. Nie byłem w stu procentach zaangażowany w to małżeństwo. Nie chciałem niczego niszczyć, kiedy Jacob jest mały, ale nie wiem, co by było, gdyby trafiła się odpowiednia osoba.

- Rany! - sapnęła Holly. - Nie miałam pojęcia.

- Trudno zakończyć małżeństwo, kiedy w grę nie wchodzi trzecia osoba - dodał Mark. - Właściwie zaryzykowałbym stwierdzenie, że to niemożliwe.

- Dziwnie się tego słucha - zauważyła Holly. - Zawsze myślałam, że jesteście szczęśliwi.

Mark odchylił się na oparcie i zastanawiał przez chwilę.

- Byliśmy szczęśliwi, na ile to możliwe w wypadku pary, w której każda ze stron wylądowała w związku z niewłaściwą osobą.

- Naprawdę tak uważasz? Że wy dwoje nie powinniście byli się pobrać?

- Chybabym tego tak nie ujął, nawet po tym wszystkim - powiedział Mark. - Mamy przecież Jacoba z tego układu.

- Jak on sobie radzi?

Mark zaskoczył samego siebie i wszystkich wokół, domagając się prawa do wspólnego sprawowania opieki nad dzieckiem. Jacob spędzał więc u niego wszystkie weekendy oraz popołudnia w co drugą środę. Byli wtedy sami. Mark powiedział Holly, że kiedy syn jest u niego, poświęca mu cały czas. Wrzuca komórkę do szuflady ze skarpetkami i wykonuje wszelkie zajęcia, które niegdyś uważał za ogłupiające; wpada w kołowrót posiłków, pieluch, drzemek oraz kąpieli, spacerów do parku i z powrotem, bajek na dobranoc, które na nale-

gania Jacoba czyta trzy razy z rzędu. Wiele godzin spędzał z synem na dywanie w salonie; Jacob siedział przygarbiony na pieluszcze, a Mark leżał wyciągnięty na brzuchu i zajmowali się czymś, na co dawny Mark byłby gotów poświęcić dziesięć minut, a mianowicie bawili się w katastrofy samochodzikami matchboxami.

- Jestem w męskiej grupie wsparcia - wyjął Mark.

- Zgłosiłeś się na grupową terapię? Mark przytaknął skinieniem głowy.

- Siedmiu mężczyzn w różnym wieku, z kompletnie różnych środowisk, a każdy z własnymi problemami. Wzorem Indian mamy „mówiący patyk”, i puszczamy go w koło. -Holly domyśliła się, że musiał dostrzec niedowierzanie na jej twarzy, bo dodał: - Poważnie. Ma pióra na czubku i wszystko jak należy. - Zamilkł na chwilę, po czym odezwał się zamyślonym tonem: - Wcześniej za żadne skarby bym się na coś takiego nie zgodził, a to najlepsze, co mi się przytrafiło. Przesypiałem życie. Ale z tym już koniec.

- To dobrze.

- Nie zrozum mnie źle. Byłem wstrząśnięty, kiedy Amanda oznajmiła mi, że odchodzi, lecz to jedna z tych rzeczy, których nauczyłem się od mojej grupy. Niektórzy ludzie muszą przeżyć wstrząs. Wstrząs jest niedocenianym doświadczeniem - zauważył.

Holly przechyliła głowę i zastanawiała się nad jego słowami. Chyba miał rację. Zapewne sama inaczej by to ujęła, lecz błędem, jaki ludzie zdawali się obecnie popełniać, była niechęć do chociażby chwilowego odczuwania wstrząsu, gdy znajdowali się we wstrząsających sytuacjach.

- W innych czasach nasze małżeństwo prawdopodobnie by przetrwało, ale teraz sprawy mają się inaczej. Ludzie są mniej skłonni trwać w nieszczęściu.

- A z drugiej strony tyłu jest nieszczęśliwych ludzi.

- I w tym właśnie sęk - podsumował Mark.

Po rozstaniu z Markiem Holly poszła na rynek przy Union Square. Październik dobiegał końca i coraz trudniej było o jarmuż, kabaczki, kolby ozdobnej kukurydzy, buraki, rzepę i inne różności do duszenia, a także o miód, saszetki z lawendą i o ręcznie robione mydło, prawie nieosiągalne. Holly stała, patrząc na miód, nie całkiem pewna, czy chce być jedną z tych kobiet, które kupują prawdziwy miód, gdy ktoś zawołał ją po imieniu.

Podniosła głowę i zobaczyła Spence'a.

- Cześć - przywitała go.

- Cześć - odpowiedział. - Co tu robisz?

- Właściwie nic. Miałam chęć ugotować zupę, ale chyba już mi przeszło. - Wskazała sąsiedni stragan z warzywami. - Nie chce mi się targać do domu pękatych siat. A ty?

- Przechodziłem obok, zobaczyłem te wszystkie stoiska i wzięła mnie ochota na jabłko. Gość nie chciał mi sprzedać jednego, no i... - Spence pokazał torebkę z brązowego papieru. - Kupiłem sześć.

- I tu cię mają! - Holly pokiwała głową.

- Wiesz, to zabawne - mówił Spence. - Szedłem sobie i myślałem, że nigdy w życiu nie miałem sześciu jabłek naraz.

Odeszli od straganu z miodem i przystanęli na środku rynku.

- Co u ciebie? - spytała Holly.

- W porządku.

- Co się stało z tamtą dziewczyną? - zainteresowała się Holly. - Jak jej było? No, tą z Boulder.

- Cathleen - podsunął Spence.

- Cathleen - powtórzyła Holly. - Nieźle popaprana. Miałeś od niej jakieś wiadomości?

- Prawdę mówiąc, jesteśmy zaręczeni.

- O kurde! - Holly zacisnęła powieki. - Przepraszam, wyrwało mi się. Nie miałam pojęcia.

- W porządku - uspokoił ją Spence. - Głupio jej, że tak do ciebie wydzwaniała.

- Była zdenerwowana. Nic się nie stało. Polubiłam ją. Podobał mi się jej hart ducha - zapewniła Holly.

- Ona też cię polubiła.

- A jak się to...jak się to...?

- Poukładało?

- No właśnie.

- Sam właściwie nie wiem - wyznał Spence. - Przez jakiś czas w ogóle nie rozmawialiśmy, a kiedy zaczęliśmy na nowo, jakby opadła mgła i wszystko nabrało wyrazistości.

- Och, byłabym zapomniała! - zawołała Holly. Trzepnęła go, i to całkiem mocno, w lewe ramię. Zrobił zaskoczoną minę. - To za oszukiwanie mnie w Włoszech.

- Naprawdę myślałem, że ci o tym mówiłem - powiedział, rozcierając ramię.

- Mówisz poważnie? - dociekała Holly. - Nie ściemniasz?

- Nie. Naprawdę. Byłem przekonany, że ci powiedziałem. Wpatrywała się w niego. Był taki wysoki, że musiała zadrzeć głowę. Pamiętała, jak fajnie mieć wysokiego faceta.

- Spence, czy ty mnie w ogóle znasz? - zapytała po chwili, niby żartem, tak przynajmniej wynikało z tonu jej głosu, ale w rzeczywistości chciała usłyszeć poważną odpowiedź.

- O co ci chodzi?

- Opisz scenę, w której mi mówisz, że sypiałeś z kimś podczas wycieczki do Włoch. Po prostu odśwież mi pamięć. Jak zareagowałam? - naciskała. - Nawrzeszczałam na ciebie? Wykopałam z domu? Rzuciłam w ciebie czymś tłukącym?

- No właśnie! - podchwycił. - Widocznie dlatego ci jednak nie powiedziałem.

Zeszli z rynku i przystanęli na środku przyległego terenu, pokrytego szarym asfaltem. W lecie, gdy przyjeżdżało więcej

handlarzy, rynek wylewał się na plac, który teraz świecił pustkami.

- Ale wiesz, myślę, że dotknęłaś istoty rzeczy - zauważył Spence.

- W jakim sensie?

- Chyba nawzajem się nie znaleźliśmy - zawyrokował. - Z pewnością. I myślę, że na tym polegał nasz problem.

- Czemu tak uważasz?

- Okay, powiem ci, że przeczytałem twoją książkę i zabawne, ale to wcale nie jestem ja. Wygląd, to, co robiłem, co lubiłem, szkoły, do jakich chodziłem, i takie tam, owszem, to się zgadza, ale w sumie mnie nie poznałaś.

- Nie?

- Dziwnie się czułem, czytając. Jakby zawiodła cię wyobraźnia. Nie potrafiłaś wejść w moją skórę. Mówię poważnie, Holly. Trzeba się zdobyć na więcej tolerancji dla ludzi - podsumował. Spojrzał jej w twarz. Oczy miała szeroko otwarte, nieruchome, jakby chłoneła jego słowa, więc zaryzykował: - Nie chcę wchodzić w nie swoje sprawy, lecz Cathleen mi powiedziała, jak było z twoim mężem. Że któregoś dnia odszedł, tak po prostu, i widzisz, może po części dlatego do tego doszło. Musisz, no wiesz, pozwolić ludziom być sobą. Wszystkim się zdarza źle postępować z tysiąca różnych powodów. Przynajmniej postaraj się to zrozumieć.

Holly wciąż stała nieruchomo.

- Nawet teraz cię okłamałem - wyznał Spence. - Wiedziałem, że nie mówiłem ci o tym, co było we Włoszech. Nie miałem ochoty zmagać się z twoim... Nieważne. Jakkolwiek to nazwać, nie miałem na to ochoty.

Minął ich mężczyzna z małą dziewczynką niesioną na barana. Za nim szła kobieta w bezrękawniku, wioząca na wózku ogromną dynię.

- Nie mówię, że to wszystko twoja wina - tłumaczył Spence. - Rzeczywiście czasem mijam się z prawdą. Przy-

najmniej tak było, co widzę, patrząc wstecz. Ale pracuję nad tym.

- Tak?

Przytaknął skinieniem głowy.

- Nie chcę umrzeć samotny. - Uniósł papierową torbę. - Chcę być facetem z sześcioma jabłkami.

Holly pokiwała głową.

- Przepraszam za Włochy - powiedział. - Byłem ci winien przynajmniej prawdę.

- Nie ma sprawy. Niemniej dzięki - odparła Holly. - A ja przepraszam, jeśli uraziłam cię moją książką.

- Nie przejmuj się. Proszę, poczęstuj się. Podał jej jabłko, a ona wytarła je o rękaw.

- A co się stało z tamtą drugą dziewczyną? - zainteresowała się Holly.

- Tą od zdjęć?

- Z Molly? - spytał Spence. - Była w zakładzie. Krótko. Słyszałem, że już z nią lepiej.

Na rogu ulicy miał swoje stoisko sprzedawca pieczonych kasztanów, których zapach przypominał o zimie, ale w taki miły sposób, kojarzący się ze świętami, padającym śniegiem i ogniem strzelającym w kominku.

- Hmm... - zadumała się Holly. - Więc naprawdę się żenisz. Jestem z ciebie dumna, Spence.

- Wiesz, coś lata w powietrzu. Pamiętasz Betsy Silverstein? Jest z facetem, którego poznała w siłowni - powiedział Spence. - W przyszłym miesiącu przenoszą się do Austin, gdzie mieszka teraz jej młodszy brat, Lucas. Odwiedzili go kilkakrotnie i zakochali się w tym miejscu.

Czasami Holly zaczynała dostrzegać ład w splotach wydarzeń, zauważać powstający z nich wzór. I była coraz bardziej skłonna przyznać rację tym wszystkim ludziom, którzy utrzymywali, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Życie przypomina gobelin i trochę za późno dostrzegasz, że wszystkie wątki łączą się ze sobą tylko w pozornie przypadkowy sposób

i wzajemnie na siebie wpływają w niewielkim, ale ważnym stopniu. A może zaczynasz oglądanie od pogmatwanej lewej strony gobelinu i dopiero umierając, odwracasz go i wtedy ukazuje się twym oczom ogromny jednorożec w uroczym zakątku z gruszą w tle. Holly wiedziała, że często posługiwano się tą metaforą, lecz sama wolała myśleć jedynie o wątkach i nie przejmować się jednorożcem. Jednorożec zapewne sam zadba o siebie.

- Bądź tak dobra i nie pisz o tym - poprosił Spence.

- O czym?

- O tym. O wszystkim. O telefonach Cathleen. O Molly. O mnie.

Holly po chwili namysłu pokiwała głową.

- Wyszłaby z tego niezła historia.

- Holly!

- Ze szczęśliwym zakończeniem. Przynajmniej dla ciebie i Cathleen. Odeszlibyście w zachód słońca. W moim życiu ostatnio brakuje szczęśliwych zakończeń.

Spence czujnie popatrzył jej w twarz i westchnął.

- Hmm, skoro już musisz, to chociaż tym razem lepiej mnie zakamufluj - poprosił.

- Dobrze.

- Nie chcę więcej gniewnych telefonów od matki.

- Będziesz nierozpoznawalny. Obiecuję.

- I nie opisuj żadnych żenujących sytuacji.

Holly odgryzła spory kęs jabłka, pogryzła i połknęła.

- A mogę wrzucić ten motyw, jak płaczesz za każdym razem, kiedy oglądasz *Dom nie do poznania*?

- W żadnym wypadku! Absolutnie nie - zaprotestował. Spojrzał na nią. - Skąd o tym wiesz?

- Cathleen mi powiedziała przez telefon któregoś wieczoru.

- Jasny gwint!

- Cathleen dużo mi opowiadała - rzekła Holly, wgryzając się w jabłko i uśmiechając się jednocześnie.

Dzieciaki na smyczy

Kilka dni po przypadkowym spotkaniu Holly ze Spence'em zadzwonił telefon.

- Słyszałem o Chesterze - odezwał się Dwa Pióra. - Chciałem ci powiedzieć, że według mnie postąpiłaś właściwie.

- Dziękuję.

- Wyobrażam sobie, jakie to było dla ciebie trudne.

- No taak, ale nie mogłam nie oddać go dziecku - powiedziała Holly. - To nie jego wina. Ani Chestera. Jemu też nie mogłam tego zrobić.

To prawda. Kiedy znaleźli się na West Endzie, Chester napiął smycz i prawie zaciągnął Holly pod adres wydrukowany na wizytówce, którą tamta kobieta zostawiła tydzień wcześniej. Gdy weszli do holu, małe pazurki drapały po marmurowej posadzce, usiłując złapać przyczepność, i Holly praktycznie została wciągnięta do windy, która czekała otwarta. Odźwierny powitał ich szerokim uśmiechem i usłużnie zawołał: „Mieszkanie 8B”. Widok Chestera tarzającego się na podłodze z małym chłopczykiem o imieniu Malcolm upewnił Holly, że postąpiła właściwie. Ale to marna pociecha, kiedy oznacza utratę czegoś, co się kocha.

- Pomyślałem sobie, że może jesteś gotowa na nowego psa - powiedział Dwa Pióra.

- Nie ma mowy!
- Czemu?
- Nie mogłabym przechodzić przez to wszystko jeszcze raz - wyjaśniła. - To było bardzo bolesne. Skończyłam z psami.
- Hmm. Przemyśl to - kusił Dwa Pióra. - Szczerze mówiąc, mam na myśli konkretnego psa.
- Masz psa, którego niby ja miałabym wziąć?
- Tak.
- Co mu jest? - spytała bezbarwnym tonem.
- Nic. Jego pana przenoszą do Dżakarty i musi go zostawić. To czekoladowy labrador, właściwie jeszcze szczeniak. Myślę, że polubiłabyś go.
- Taak. Nie, nie sądzę, dzięki.
- Mógłbym go przyprowadzić któregoś dnia po pracy. Wybraliśmy się na krótki spacer po parku. Bez zobowiązań.
- Holly milczała przez chwilę.
- Możesz go przyprowadzić, ale zapewniam cię, że nie mam zamiaru brać kolejnego psa.

Leonard namawiał Holly, żeby przeniosła się do Londynu i wraz z nim pisała scenariusz do nowego serialu. Ponawiał tę propozycję każdego tygodnia podczas rozmów telefonicznych, odbywanych regularnie w niedzielne wieczory, a tym razem żarliwą prośbę okraszył perspektywą zarobienia znacznej sumy dolarów. Propozycja była kusząca. Holly poleciała odwiedzić Leonarda w czasie emisji pilota i poczuła się miłe zaskoczona, widząc, że posłużyła za pierwowzór jednej z głównych bohaterek. Serial był zabawny, a Leonard, chociaż narzekał na wszystko - na sieć telewizyjną, na studio, na aktorów, na ruch uliczny, na Anglików i na wilgoć - według niej kwitł. Miał stałego partnera, uroczego faceta imieniem James, który zajmował się jakimiś ważnymi sprawami finansowymi w City, lubił gotować i miał instynkt kwoki, co bardzo Holly uspokoiło. Opieka nad Leonardem sprawiała mu

wyraźną przyjemność, a Leonard, jakkolwiek wyglądała prawda, wydawał się odnosić korzyść z tej opieki.

Holly spędziła w Londynie tydzień. Wieczorami wychodziła z Leonardem i Jamesem, a w ciągu dnia snuła się po mieście, zaglądając do księgarni oraz sklepów z antykami, i tylko dwa razy zrobiła coś zdecydowanie kulturalnego: zwiedziła Tate Gallery i dom Keatsa w Hampstead. Uporczywie wracała myślami do tego, co powiedział jej Jack, zanim się rozstali, a mianowicie, że ona wierzy w Boga, lecz nie wierzy w Jego dobroć. Miała wrażenie, że tak właśnie jest. Nie wierzyła, że Bóg jest dobry, przynajmniej nie w znaczący sposób. W każdym razie nie ten Bóg, z którym wzrastała i który zadomowił się w jej świadomości wiele lat temu i zdecydowanie nie chciał jej opuścić. A skoro Bóg nie jest dobry, to tylko idiota lub masochista będzie w Niego wierzył, nieprawdaż? Więc jeśli nie wierzy się, że Bóg jest dobry, najlepiej i najzdrowiej podążać własną drogą.

Zaczynała powoli godzić się z faktem, że jednak jest religijna. Wyglądało na to, że ta część jej mentalności nie da się zmienić. Natomiast coraz częściej nachodziła ją myśl, że być może Bóg wcale nie chciał, by się Go bać, słuchać czy nawet wielbić. Może chciał jedynie prowokować do refleksji? Czy nie należało wziąć pod uwagę i takiej ewentualności? Czy nie dlatego właśnie wszystko było takie zagmatwane? Czemu istniało tak wiele możliwości wyboru i tak wiele sprzecznych idei? Ludzie byli święcie przekonani, że to oni mają rację, a cała reszta się myli. Inni nawet nie próbowali czegokolwiek szukać, bo ci, którzy znaleźli, wydawali się tak cholernie nieatrakcyjni. Kto wie, czy wiara w Boga i jednoczesne potykanie się o problem „jak” nie była darem?

Podróż od „wiedzieć” do „nie wiedzieć” nie była równoznaczna z utratą wiary. Nie oznaczała również, że w nic się nie wierzy. Chociaż z zewnątrz tak właśnie to mogło wyglądać. Holly była przekonana, że jest w tym różnica. Wiara

powinna prowadzić przez życie i wskazywać sposób na zgłębienie tajemnicy kryjącej się za tym wszystkim. Skoro więc miała przeżyć życie bez komfortu dogmatu - bo, owszem, czasem tęskniła za dogmatem, tym ciepłym, przytulnym kocym pełnej i całkowitej pewności - w takim razie mogła przynajmniej sama wytyczać swoją drogę. Nie musiała się cofać, na pewno natomiast musiała posuwać się do przodu.

Dwa Pióra stawił się w bladożółtej koszuli i w dżinsach. Proste włosy, uwolnione z kucyka, ledwo dotykały ramion. Bez białego fartucha i z rozwiązanymi włosami wyglądał jakoś inaczej. Holly z początku usiłowała określić tę zmianę, lecz szybko dała sobie spokój. Musiała przyznać, że szczeniak, którego przyprowadził, był naprawdę słodki; miał grube łapy, zwisający język i gęstą, lśniącą brązową sierść. Dwa Pióra chciał oddać jej smycz, ale odmówiła. Owszem, zgodziła się na spacer, ale na tym koniec.

- Zawsze mnie dziwi, że nie widuje się więcej dzieci na smyczy - zauważył Dwa Pióra.

Szli w stronę parku i akurat udało im się wyminąć bliźniaków płaczących się po chodniku. Matka usiłowała ich okiełznać, popychając jednocześnie podwójną spacerówkę z zakupami.

Holly zastanawiała się przez moment.

- Według mnie albo wszystkie dzieci powinno się prowadzić na smyczy, albo żadnych - powiedziała.

- Właśnie. To powinno być albo zakazane, albo obowiązkowe.

- Głosuję za obowiązkiem - zdecydowała Holly. - Ustawa o smyczach dla maluchów na Manhattanie.

Gdy weszli do parku, Dwa Pióra znów podał Holly smycz i tym razem ją wzięła. Była dość długa, zrobiona z szorstkiego niebieskiego nylonu. Odruchowo owinęła ją wokół nadgarstka i mocno uchwyciła. Poczowała szarpnięcie na drugim

końcu i na moment ścisnęło się jej gardło z tęsknoty za Chesterem. Ale szła dalej i równo oddychała. Często w życiu tak bywa - myślała. Starasz się iść i oddychać, aż nagle, któregoś dnia, znowu czujesz muśnięcie wiatru na policzku.

- Jak on się wabi? - zapytała po chwili.

- Majtek.

Holly spojrzała na Dwa Pióra.

- Błagam, powiedz, że żartujesz!

- Niestety, nie.

- Majtek? - powtórzyła. - Kto daje psu na imię Majtek? Pies obejrzał się na Holly, lecz ona szła dalej.

- Chyba dlatego, że się majta - rzekł Dwa Pióra. - Kiedy idzie na smyczy. Nie sądzę, aby to miało coś wspólnego z... uhm... majtkami.

Majtek rzeczywiście się majtał. Poruszał się sprężyście, a kiedy szedł, całe jego ciało zdawało się podskakiwać. Chwilami sprawiał wrażenie, jakby równocześnie odrywał od ziemi wszystkie cztery łapy.

- Ha, nie mogłabym tego zmienić - powiedziała Holly cichutko, prawie do siebie. - Byłby zdezorientowany. Wyraźnie reaguje na imię.

- Na próbę zawołała: - Majtek! - i obserwowała, jak szczeniak przystaje i ogląda się wyczekująco. - Widzisz? To nie byłoby wobec niego w porządku. Co z kolei oznacza, że na resztę życia utknęłabym z psem, który wabi się Majtek. Wszyscy myśleliby, że to ja go tak nazwałam, i zastanawialiby się, co za człowiek, kto... kto... - Holly szukała zakończenia dla swej myśli. - Kto daje psu na imię Majtek. Ja sama nie wiem, kto to był.

- Jeśli ci to ulży, to wiedz, że facet, który nazwał go Majtkiem, ten, co się przeniósł do Dżakarty, wydawał mi się stosunkowo normalny.

Skręcili w prawo, wybierając jedną ze ścieżek wijących się po zachodnich obrzeżach parku. Wcześniej padał deszcz i teraz wszystko lśniło od wilgoci, a liście zdawały się jaskra-

wozielone na tle szarego płaskiego nieba. Majtek dreptał obok nich. Bładoróżowy język zwisał mu z pyska. Wydawał się szczęśliwy. Byłoby miło - przemknęło przez myśl Holly -mieć szczęśliwego psa.

- Głośno dyszy - zauważyła.

- Dość.

- Czy to normalne?

- Z punktu widzenia medycyny? - podchwycił Dwa Pióra. - Powiedziałbym, że raczej tak. Mieści się w normie.

W pewnej odległości przed nimi para turystów stała nieruchomo, fotografując wiewiórkę. Holly także przystanąła, żeby Majtek nie wystraszył im obiektu zainteresowania.

- Wiesz, nie mogę się powstrzymać - zaczęła - żeby będąc z tobą tu, w parku, nie zapytać, czy potrafisz bezszelestnie chodzić po suchych liściach, gałązkach i innych patykach.

- Nie możesz się powstrzymać? - powtórzył Dwa Pióra.

- Niestety, nie.

- Hmm, w takim razie odpowiadam. Nie mam pojęcia. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Naprawdę? Nigdy? Uśmiechnął się.

- Chciałbym, żebyś poszła ze mną na kolację - oznajmił.

- Oboje z Majtkiem będziemy się zachowywać cichutko, jeśli byś zechciał spróbować - powiedziała, również się uśmiechając.

- Myślałem o piątkowym wieczorze.

Holly pochyliła się, żeby pogłaskać psa. Podrapała go za uszami, a on natychmiast przewrócił się na grzbiet i machając łapami w powietrzu, wypiął brzuch. Uklękła przy nim na mokrej trawie, czując kolanami, jak wilgoć przenika przez dzinsy. Gładziła Majtkę i drapała na przemian, a on odrzucał głowę do tyłu, wyraźnie zachwycony.

- Jestem skończoną frajerką - wyznała.